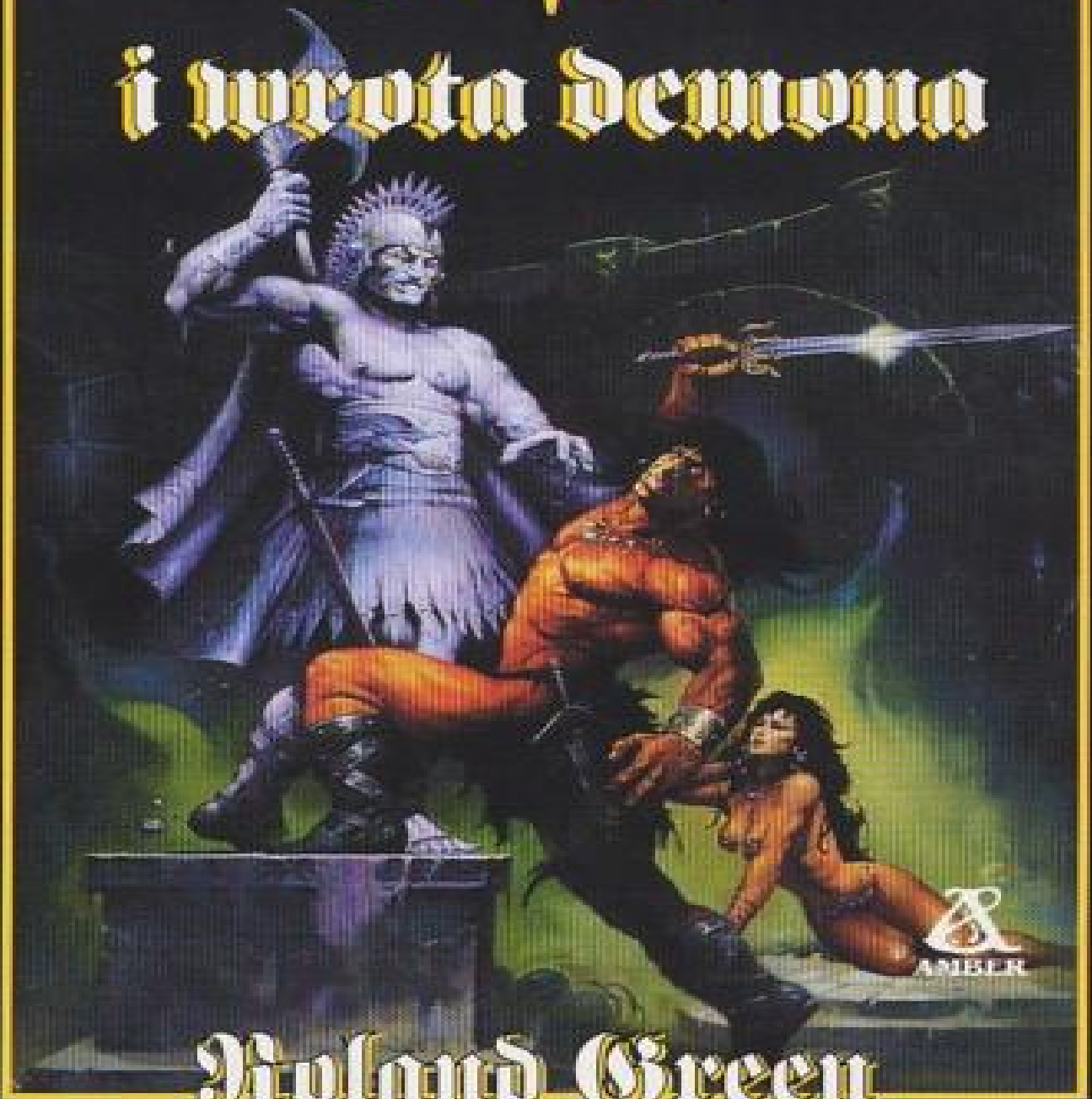


# Conan

## i marta demonica



Roland Green



# **CONAN I WROTA DEMONA**

Tytuł oryginału CONAN AT THE DEMON'S GATE

Przekład Maciej Pintara

# PROLOG

Pustkowie Piktów za panowania

Conana Drugiego, znanego jako Conn

Nazywam się Nidaros i jestem synem człowieka, który wolał się do mnie nie przyznawać.

Zapewne był szlachetnie urodzonym mężem posiadającym na tyle zasobny trzos i

wystarczające wpływy na Dworze, by mnie awansowano. Inaczej służyłbym w szeregach Dziesiątej Gwardii Rzeki Czarnej, zamiast dowodzić kompanią.

Na skraju Pustkowie Piktów patrole na wysuniętych placówkach granicznych zawsze

oczekują nadejścia wiosny. Piktowie ukryci w swych ojczystych lasach nie stanowią łatwego celu nawet wtedy, gdy nie trzeba zmagać się ze śniegiem i mrozem.

W szóstym roku panowania Conna, syna Conana, króla Aquilonii, Wielkiego Księcia

Poitanii, Protektora Bossonii i posiadacza zbyt wielu innych tytułów, by was teraz obarczać tą wiedzą, wiosna nadeszła wcześniej. Zdecydowano (kto dokładnie, tego nie wiem, ale to bez znaczenia), że mamy rozpocząć patrole natychmiast.

Oderwałem oczy od nieba i spojrzałem na posłańca (oficera elitarniej jednostki Czarnych Dragonów, przybocznej gwardii królewskiej), po czym znów podniosłem wzrok ku chmurom.

— Natychmiast?

— Natychmiast.

— Ziemia nie wyschła jeszcze na tyle, by mogli stąpać po niej żołnierze.

— Ale Piktom to nie przeszkadza. Już napadają na farmy wzdłuż Srebrnego Dopływu.

W duchu życzyłem sobie, żeby demony porwały na kraj świata Srebrny Dopływ i

wszystkich żyjących tam poitańskich kolonistów. Nie chciało mi się wierzyć, że cała Poitania jest tak przeludniona, by ktoś przy zdrowych zmysłach musiał przenosić się na tereny, gdzie Piktowie mogą mu któregoś wieczoru napluć do zupy.

Posłaniec zdawał się czytać w moich myślach. Klepnął pieczęć zdobiącą pergamin. Nie wątpiłem w to, że dokument jest prawdziwy, ale miałem wątpliwości, czy jego autor jest w pełni władz umysłowych.

— Rozkaz to rozkaz — powiedziałem. — Ale nawet wszyscy generałowie w dziesięciu

królestwach razem wzięci nie zmieniają faktu, że ziemia jest mokra. Bosonodzy Piktowie potrafią dotrzeć tam, gdzie obuci żołnierze w pełnym rynsztunku zapadną się po czubek głowy.

— Rozkazy nie mówią, jak mają być wyposażone patrole — odparł oficer. — Ani jak daleko mają zajść.

Rozdziawiłem usta. Czarny Dragon mający olej w głowie stanowił taki sam cud natury, jak dwugłowe ciele albo dziecko z jednym ptasim skrzydłem zamiast ręki. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Mam krewniaków, którzy walczyli z Piktami w czasach, gdy Conan Wielki dowodził na granicy — rzekł. — Przy ogniskach opowiadali mi różne historie i nie wszystkie zdążyłem zapamiętać.

— I ja nie zapominałem, co spotkało przyjaciół, którzy szukali suchego gruntu i wpadli w zasadzki Piktów — odrzekłem. Dodałem kilka szczegółów, spodziewając się, że Dragon zblednie i poprosi o wybaczenie. Od czasów wojen toczonych w pierwszych latach

panowania Conana, Czarni Dragoni zazwyczaj trzymali się w pobliżu pałacu. Niewielu z nich w wieku mego rozmówcy (a musiał liczyć około trzydziestu wiosen, zatem dziesięć mniej ode mnie) zdobyło doświadczenie na polu bitwy.

Zamiast tego skinął głową.

— Nigdy nie posądzałem mych krewnych o to, że kłamali. Ale co innego słuchać

opowieści, a co innego zobaczyć coś na własne oczy. — Zmarszczył czoło. — Ostatnim celem mojej podróży jest teraz następny fort. Jeśli nie wyruszycie do mego powrotu, czy będę mógł przyłączyć się do was?

— Skoro sam sobie jesteś panem... — zacząłem.

— Jestem.

Nie przeszłoby mi przez gardło, że podejrzewam, iż przysłał go tu na przeszpiegi ktoś wysoki rangą, może nawet ktoś na Dworze. Ani też nie miałem wielkiej ochoty wygłaszać takiego zarzutu. Ufałem moim ludziom (w połowie Bossończykom, w połowie najlepszym najemnikom z Gunderlandii) i moim sierżantom, jak sobie samemu.

Tylko pech mógł sprawić, że do mocodawcy tego gościa dotrą nieprzychylne meldunki. A gdyby spotkało nas coś złego, nikt nie wróciłby żywy z tutejszej głuszy.

Co więcej, ten człowiek wydawał się wart przyjęcia w nasze szeregi. Sądząc po jego wzroście i szerokich barach, mógł być czystej krwi Gunderlandczykiem lub nawet

Cymmerianinem. Nie byłem w stanie dostrzec jego włosów ukrytych pod przemoczonym od deszczu kapturem ani koloru oczu. Lampa w moim szałasie rzucała zbyt nikłe światło.

Jednak mocno pleciona kolczuga na napięstkach przybysza wyglądała na solidną, a miecz i sztylet u pasa też nie sprawiały wrażenia paradnych, lecz przydatnych w boju. Odzież jeźdźca nosiła ślady długiej podróży, może i potyczek. To wszystko nie uchroniłoby go przed strzałą Pikta, gdyby opuściło go szczęście, ale też świadczyło o tym, że nie tylko na nie liczy. Taki człowiek zdążył już odebrać pierwszą lekcję wojennego rzemiosła na Pograniczu i z czasem mógł się nauczyć więcej.

— Będiesz tu mile widziany, ale musisz się pospieszyć. Jeśli szybko wyruszymy, może uda nam się pochwycić jakąś grupę myśliwych polujących w tych lasach. Żaden Pikt nie stanowi łatwej zdobyczy, lecz taki z pustym żołądkiem prędzej wpadnie nam w ręce.

Dokończyliśmy wino, wznosząc toast za bezpieczną podróż mego gościa i za udane łowy po jego szczęśliwym powrocie do nas. Mój drugi sierżant odprowadził posłańca do konia, a pierwszy i trzeci wezwali ludzi pod broń.

Ciemne, burzowe chmury gromadziły się na zachodzie tego ranka, gdy wreszcie natknęliśmy się na Piktów, albo to oni natknęli się na nas.

Spotkanie nastąpiło w nie najdogodniejszej dla nas chwili, gdyż w sile dwudziestu ludzi właśnie maszerowaliśmy uzupełnić zapasy wody. Prowadziłem oddział, bo akurat wypadła moja kolej, a Sarabos z Czarnych Dragonów przyłączył się do nas dlatego, że chciał. Nie życzyłem sobie, by dwaj dowódcy jednocześnie oddalali się od obozu, ale w końcu Sarabos nie miał u nas żadnego stopnia.

Jednak gdy uderzyli Piktowie, moi ludzie bez szemrania słuchali jego rozkazów. Wrogowie natarli tuż po tym, jak wybraliśmy miejsce na następny postój. Mieliśmy zatrzymać się na kawałku otwartej przestrzeni u stóp skalistego wzgórza.

Wypadli na nas z lasu, wyjąc tak, że mogliby obudzić umarłego albo wpędzić do grobu żywych. Towarzyszył im grad strzał i włóczni. Wiedząc, że nasze łuki mają taki sam zasięg jak ich, zdołali nas podejść pod osłoną maskujących ich drzew. Zrobili to tak cicho, jak to potrafią tylko oni albo polujące koty.

Nasi łucznicy zdążyli wystrzelić ledwo raz, kiedy tamci wypuścili pięciokrotnie więcej strzał. Piktowie wciąż woleli używać grotów z krzemienia, ale spróbujcie przekonać trafionego taką strzałą, że to dziecinna zabawka. To, że niewiele ucierpieliśmy, zawdzięczaliśmy raczej naszym zbrojom niż marnej jakości broni Piktów. Natarły na nas dwa różne klany i, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, tuż po pierwszym ataku nastąpił

drugi. Znając ich zwyczaje, zostaliśmy ostrzeżeni i uniknęliśmy okrążenia. Puściliśmy się biegiem ku temu otwartemu skrawkowi ziemi u podnóża wzniesienia. Wydawał się jedynym miejscem na sformowanie obrony.

Nasze łuki przetrzebiły nieco szeregi pierwszego klanu. Mieli wśród swoich zabitych i rannych. Padali w konwulsjach pośród paproci i zmurszałych pni. Przedzierając się przez gęstwinę, straciliśmy jednego człowieka. Towarzysze ponieśli go dalej. Pokonaliśmy kilkaset kroków bez następnych ofiar.

Drugi klan przypuścił szturm niemal natychmiast. Tym razem nie zasypał nas strzałami, lecz uderzył z bliska, wynurzywszy się z ukrycia. Jak większość Piktów, ci również mieli pióra i tatuaże. Ich ciała okrywały jedynie przepaski, barwy wojenne i niewiele więcej. Ale jak na mój gust, stanowczo zbyt wielu wymachiwało metalowymi mieczami i nożami. Część broni była zdobyczna, lecz posiadali również śmiertelne narzędzia własnego wyrobu, sporządzone z brązu i miedzi.

Nie wiem, jak długo trwała bitwa. Walczyłem mieczem i buzdyganem o krótkiej rękojeści.

Chroniła mnie solidna aquilońska kolczuga i zingaryjski hełm. Ten rynsztunek dobrze mi się przysłużył. Wielu zginęło z mojej ręki i tylko dwukrotnie zostałem draśnięty przez wrogów.

Inni mieli mniej szczęścia. Sześciu naszych straciło w potyczce życie lub zostało rannych.

Starcie zakończyło się korzystnie dla nas, gdyż zwyczajem Piktów dwa atakujące klany nie uzgodniły planu bitwy. Większość wodzów tego plemienia prędzej podałyby na stół gulasz z własnych synów, niż przyjęłyby rozkazy od innego wodza.

Toteż nie znalazł się nikt, kto mógłby rozkazać pierwszemu klanowi, by jego łucznicy powstrzymali się od wypuszczania strzał, — dopóki drugi klan nie odstąpi od nas. Pierwszy klan znów zaczął strzelać i strzały spadły zarówno na wrogów, jak i przyjaciół. Większość przeciwników chroniła zbroja, choć jeden z Gunderlandczyków zginął ze strzałą w oku.

Natomiast przyjaciele byli przeważnie nadzy, więc całe zastępy Piktów padły, wyjąc lub jęcząc z piktyjskimi strzałami tkwiącymi w ich gardłach.

Sarabos skoczył w sam środek tej bratobójczej rzezi z mieczem w jednej dłoni i długim sztyletem w drugiej. Widziałem, jak ściął głowę jednemu Piktowi, rozplątał ciało drugiemu i odrąbał ramię trzeciemu. Czwartemu złamał nogę, kopiąc go jak wściekły muł. Poruszał się pewnie i zadawał ciosy płynnymi ruchami, a wokół niego rósł krąg zabitych lub śmiertelnie rannych.

W końcu wsunął miecz do pochwy, pochwycił leżącego Gunderlandczyka jak młynarz podnoszący worek ziarna i wskazał pobliskie skały.

— Chyba słyszałem twój rozkaz, że mamy wycofać się tamtędy — zagadnął do mnie. — W parowie na południe stąd widzę przynajmniej jedną jaskinię — wyciągnął przed siebie ramię poplamione krwią.

Miał lepszy wzrok niż ja, ale do jego uszu nie mógł dotrzeć taki rozkaz, bo go nie wydałem.

Podziękowałem mu skinieniem głowy za to, że podtrzymał mój autorytet wśród naszych ocalałych ludzi. Dołączyłem do tylnych straży, a Sarabos ze swym ładunkiem ruszył przodem w górę zbocza.

Planowałem dotarcie na szczyt wzgórza i zapalenie tam pochodni dymnych. W ten sposób zawiadomilibyśmy naszych w obozie, gdzie jesteśmy. Zdążyliby przybyć z odsieczą, zanim pozostali przy życiu Piktowie znajdą w sobie tyle odwagi, by podążyć naszym tropem.

Conan Wielki miał swoje ulubione powiedzenie: „Człowiek może planować bitwę, jak mu się podoba, ale Przeznaczenie i tak splunie mu do piwa” (choć nie używał słowa „splunie”).

Nigdy nie twierdził, że sam to wymyślił i zapewne tak nie było. Mógł to ułożyć Kull z Atlantydy podczas wojen z Ludźmi–Wężami z Valuzji.

To, co napłuło tego dnia do naszego kufla, miało postać burzy. Chmury nadciągnęły nad wzgórze, zanim wdrapaliśmy się na szczyt. Gdy Sarabos układał na ziemi martwego

Gunderlandczyka, spadły pierwsze krople deszczu.

Nad naszymi głowami zagrział piorun. Spojrzałem na przecinającą niebo błyskawicę i splunąłem, mimo że zaschło mi w ustach. Gdybyśmy pięli się wyżej w naszych zbrojach pośród tych gromów, sami zapłonęlibyśmy jak pochodnie.

Popatrzyłem w dół, by ocenić, jak daleko są nasi prześladowcy. Ku memu zaskoczeniu wzięli nogi za pas, jakbyśmy zamienili się w stado demonów i deptali im po piętach, a nie oni nam. Zostawili nawet broń poległych, co może się zdarzyć tylko naprawdę przerażonym Piktom.

Nagle przyszło mi do głowy, że to, co tak wystraszyło Piktów, równie dobrze napędzić może stracha Aquilończykom. Na twarzach wokół mnie dostrzegłem tę samą obawę, lecz klnę się na honor mych ludzi i ich krewnych, że nikt ani słowem nie wspomniał o lęku.

W karnym szyku ruszyliśmy na poszukiwanie jaskini. Na szczęście znaleźliśmy ją

nieopodal, gdyż deszcz zamienił się w ulewę. Mało brakowało, a nawet najlepsza skórzana odzież, natłuszczona wełna ani zbroja nie uchroniłyby nas przed przemoknięciem do suchej nitki.

Ostatnie kroki dzielące nas od groty pokonaliśmy w beładnym pośpiechu, nie bacząc na rycerską godność. W suchym wnętrzu, gdy tylko deszcz przestał bębnić w nasze hehny i mącić nam w głowach, natychmiast zrobiłem z ludźmi porządek. Wystawiłem warty u

wejścia i w głębi jaskini oraz poleciłem przeznaczyć najbardziej czyste i suche miejsce dla rannych. Tym, którzy nie stali na straży ani nie opatrywali towarzyszy, pozwoliłem rozebrać się, osuszyć i zająć czyszczeniem broni i zbroi.

Sam zająłem się sprawdzaniem zapasów jedzenia i wody. Wyruszając z obozu, każdy z nas zabrał dwudniową rację solonego mięsa i sucharów oraz pełną manierkę, nie licząc tych, które mieliśmy napęlić. Gdyby Piktowie nie odcięli nas od strumieni, uzupełnilibyśmy zapasy w wezbranych od deszczu potokach. Woda mogła również płynąć w głębi groty ciągnącej się daleko pod skałami.

Takie miejsca w kraju Piktów przecinały zazwyczaj podziemne strumyki i...

— Kapitanie! Tutaj, z tyłu!

Słowa te wykrzyknął jeden z Bossończyków, trzymających tylną straż. Nie należał do tych, co łatwo dają się zaskoczyć i nastraszyć. Poderwałem ludzi na nogi i z bronią w pogotowiu podążyliśmy za



głosem wartownika.

W kręgu światła pochodni ujrzałem obrobione skały. Wydawały się zbyt kunsztownie ciosane, jak na umiejętności Piktów i zbyt świeżo rzeźbione, by pochodziły z czasów najazdów hyboryjskich. Dostrzegłem belki, wejścia i ławy oraz dziwacznie poskręcane figury.

Zapaliłem drugą pochodnię, pamiętając, że to ostatnia, której mogę użyć, bo inaczej nie zawiadomimy obozu o naszym położeniu, gdy ustanie deszcz. Kiedy zrobiło się jaśniej, zrozumiałem. Figury nie wyginały się dla zabawy. Ta grotka stanowiła niegdyś miejsce kultu czicieli Set. Rozpoznałem stygijskie hieroglify i bardziej zawiłe znaki, których znaczenia nie znałem ani nie miałem życzenia poznawać.

Postąpiłem krok naprzód i odkryłem, że grotka ciągnie się głębiej i prowadzi łukiem do pomieszczenia przypominającego komnatę. Blask pochodni wyłowił z mroku jakiś wielki pionowy kształt. Zrobiłem jeszcze dwa kroki...

— O Cromie!

Wbrew moim obawom postać nie wyobrażała Wielkiego Węża. Przede mną stał posąg

naturalnej wielkości wojownika o budowie olbrzyma. Jego broń i odzież stanowiły osobliwą mieszaninę na wpół Pikta, na wpół mieszkańca Czarnego Wybrzeża. U pasa zwisał mu potężny hyboryjski miecz.

Bez trudu odgadłem imię wojownika. Widziałem tę twarz podczas trzech różnych kampanii.

Starszą, zmęczoną, z grzywą siwych włosów, ozdobioną kiedyś wąsami, a swego czasu i brodą, ale rozpoznałem ją od razu.

Usłyszałem miękki, cichy krok skradającej się pantery i odwróciłem się. Za mną stał

Sarabos. Ściągnął kaptur i rozwiązał włosy. W świetle pochodni zobaczyłem, że są kruczoczarne. Barwa jego oczu też przestała być dla mnie tajemnicą. Ich niebieski kolor przypominał lód, który widziałem kiedyś w jednej z grot Gunderlandii. Gdy w skupieniu przyglądał się postaci, te oczy zdawały się płonąć wewnętrznym blaskiem.

Pomyślałem, że nie na darmo wezwałem najwyższego boga Cymmerii i patrona naszego zmarłego króla. Przyszło mi też do głowy, że Sarabos z Czarnych Dragonów bez wątpienia dużo łatwiej niż ja może przywołać imię swego ojca.

To jednak nie wyjaśniało, co postać Conana robi w tej jaskini, gdzie jeszcze nie stanęła stopa cywilizowanego człowieka. Stygijscy czarnoksiężnicy byli cywilizowani tylko przez uprzejmość, a plotka głosiła, że niektórzy z nich nie całkiem należeli do rodzaju ludzkiego.

Deszcz i nawet czyhający na zewnątrz Piktowie wydali się nagle mniej straszni, a jaskinia bardziej bezpieczna.

Czarne Wybrzeże, wiele lat wcześniej

Mężczyzna przemykał pod osłoną wielkich cienistych drzew rosnących nad Umfangu ze zwinnością polującego lwa. W istocie bardzo go przypominał, gdy bezszelestnie stawiał

kroki, potrząsał grzywą czarnych włosów opadających na szerokie, opalone ramiona i czujnie wypatrywał zdobyczy lub przeciwnika.

Jednak jego bystre oczy nie przywodziły na myśl ani lwa, ani mieszkańca Czarnych Królestw. Miały niebieską barwę i chłodne spojrzenie człowieka z Północy, które mogłoby zmrozić króla zwierząt. Wielu ludzi doświadczyło już tego na sobie, a ci, którzy nie potraktowali ostrzeżenia poważnie, zginęli, zanim mieli okazję pobrać następną lekcję.

Mężczyzna oddalił się od drzew i brzegu rzeki. Skierował się ku polanie, na której wiele lat temu zwałił się leśny olbrzym. Martwe drzewo opłoty już liany i pokryły młode pędy szybko rozrastającej się w dżungli roślinności, lecz pod leżący pień wciąż docierało słońce.

Skradający się człowiek znalazł się o długość włóczni od padających z góry promieni słonecznych, kiedy zamarł i zaczął obserwować kępę paproci. Zdobył już wystarczające doświadczenie podczas pobytu w lasach, by wiedzieć, że dziś musi czuwać w innym miejscu.

Paprocie zbyt długo nosiły ślady jego obecności, a kilka razy omal nie przyplacił życiem własnych błędów.

W prawo czy w lewo? Postanowił skrócić w lewo. Będzie mógł opuścić szlak i dojść do innej odległej polany. Nigdy nie widział tu nikogo więcej poza garstką tubylców i zwierzętami, z którymi był sobie w stanie poradzić gołymi rękami. Ale też dżungla nigdy nie szczędziła przykrych niespodzianek nieostrożnym.

Poruszał się teraz ciszej i jeszcze bardziej czujnie niż przedtem. Wspiął się na korzeń, by pozostawić jak najmniej śladów, przeskoczył na suchą ziemię, gdzie łatwo mógł zatrzeć ślady stóp, wreszcie chwycił się liany i w powietrzu pokonał odległość dobrych sześciu kroków.

Pnącze obniżyło się pod jego ciężarem, ale nie pękło.

W końcu dotarł do celu. Zmrużył niebieskie oczy, obserwując polanę. Nie dostrzegł

żadnych zmian ani najmniejszych oznak czyjejś obecności. Przedostał się na korzenie następnego olbrzymiego drzewa, przycupnął tam i znieruchomiał. Jego muskularne kończyny stopiły się z tłem, jakby stanowiły odnogi korzeni.

Jego kryjówkę mogły zdradzić tylko rozglądające się uważnie oczy. Ale gdyby wróg podszedł na tyle blisko, by to zauważyć, nie zdążyłby wykonać żadnego ruchu. Na kolanach mężczyzny spoczywał miecz, u pasa wisiał sztylet, a o drzewo oparte były dwie włócznie własnej roboty. Zanim

ktokolwiek wyczułby niebezpieczeństwo, padłby.

Mężczyzna miał jeszcze coś wspólnego z lwem. Na tych ziemiach jego imię brzmiało

„Amra”, czyli lew. Oznaczało również zasłużonego na polu bitwy, choć nie lubił dłużej roztrząsać walk stoczonych w przeszłości.

Jednak jego prawdziwe imię pasowało do oczu barwy północnego lodu. Nazywał się Conan i jego ojczyzną była zimna Cymmeria.

Kubwande, syn D'beno, nosił nakrycie głowy i przepaskę na biodrach ze skóry zebry.

Wyróżniało go to jako iqako, co w języku Bamula oznaczało „wodza niższej rangi”.

Miał również mocną tarczę ze skóry dzika, dwie włócznie z ostrymi żelaznymi końcami i maczugę rzeźbioną w znaki odpędzające zły urok. Kostki jego nóg zdobiły pióra zabarwione sokiem z jagód i korzeni, znanych tylko czarownikom plemienia Bamula. Spodziewał się, że jeszcze przed zachodem słońca przyda mu się zarówno broń, jak i ochrona przed złymi czarami.

Nie dość, że polowano na potężnego dzika, niemniej groźnego od wielkich kotów siejących spustoszenie w domostwach Bamula,

to jeszcze myśliwych prowadził qamu („wódz wyższej rangi”) imieniem Idosso.

Qamu nie był śmiertelnym wrogiem Kubwande, gdyż nawet Idosso wiedział, że człowiek czasem musi spać. A kiedy śpi, lepiej, żeby tych, którzy życzą mu śmierci było mniej niż tych, co go strzegą. Obaj wojownicy dobrze wiedzieli, że Idosso pragnie zostać nowym naczelnym wodzem plemienia Bamula, a Kubwande wolałby, żeby ten zaszczytny tytuł

przypadł komuś innemu. Na razie jednak nie doprowadziło to do krwawego starcia między nimi. W istocie Kubwande pogodził się z myślą, że bogowie i ludzie uhonorują Idosso, pod warunkiem jednak, że będzie słuchał jego rad.

W końcu polowanie na dzika w towarzystwie Idosso uznał za całkiem korzystne. Jego rywal górował posturą i siłą nad garstką Bamula i wprawdzie łatwo wpadał w gniew, lecz nie brakowało mu sprytu. Nawet głupiec musiałby przyznać, że to niebezpieczny człowiek, widząc bielejące czaszki wrogów zdobiące na zewnątrz chaty należące do Idosso.

Kubwande nie był głupi i wolał, żeby jego czaszka pozostała na swoim miejscu. A to oznaczało, że nie należy rzucać starszemu wodzowi wyzwania, dopóki nie ma szansy na zwycięstwo.

Lecz może obejdzie się bez walki na śmierć i życie? Kubwande wiedział, że Idosso ma wielu wrogów wśród krewnych swych ofiar. Nawet jeśli sami nie wystąpią przeciwko niemu, mogą zostać wysłuchani przez ważniejszych wodzów. Kubwande nie był wiejską dziewczką, lecz doświadczonym wojownikiem i przedstawiał dla plemienia Bamula o wiele większą wartość żywy niż martwy.

Oczywiście o wszystkim zadecydują bogowie, ale dopóki nie postanowili inaczej,

Kubwande musiał sam troszczyć się o swoje życie. Dziś życzył sobie udanych łowów uwiecznionych zdobyczą w postaci wielkiego dzika. A smakowitego zapachu pieczonego mięsa nie zatruje mu nawet obecność Idosso.

Na myśl o czekającej uczcie Kubwande oblizwał wargi. Wyobraził sobie, że ciska włócznią między łopatki dzika oddalonego o pięćdziesiąt kroków na prawo od niego. Trafione zwierzę powlokło się jeszcze kawałek, opadło na kolana, przewróciło się na bok i wierzgając dokonało żywota wśród paproci...

— Kubwande! — rozległ się głos Idosso. — Czy między nami a Zjadaczami Ryb panuje pokój?

Kubwande nie drgnął, ale zawstydził się. Nie powinien bujać w obłokach, tylko uważać na to, co się dzieje wokół niego.

— Zjadacze Ryb nie są groźni nawet jako wrogowie — odparł. — A zwłaszcza po ostatniej bitwie, jaką z nimi stoczyliśmy.

Idosso uśmiechnął się szeroko, odsłaniając rzeźbione przednie zęby. Takie rytualne nacięcia nosił ten, kto zabił lwa za pomocą włóczni. To on poprowadził Bamula do zwycięskiej walki ze Zjadaczami Ryb i własnoręcznie uśmiercił sześciu wojowników.

Kubwande pomyślał, że człowiek, który tak lubi pochlebstwa nie nadaje się na naczelnego wodza, ale mógł dziś wykorzystać tę wadę rywala. Lepiej, żeby podczas polowania między myśliwymi nie doszło do zwady.

Nadszedł czas, by sprawdzić tyły. Kubwande i sześciu innych wojowników zatrzymało się, odwróciło za siebie i z uniesionymi włóczniami popatrzyło na szlak. Jeden zadał w piszczałkę zrobioną z kości. Jej przeraźliwy dźwięk wywołał wrzawę wśród ptaków, ale nie przywołał ani ludzi, ani duchów.

By zakończyć rytuał, Kubwande trzykrotnie zakręcił maczugą nad głową i cisnął ją w głąb ścieżki. Uderzyła w drzewo z taką siłą, że odbiła się od pnia i wylądowała u jego stóp.

Wszystkie znaki sprzyjały im. Nie podążał za nimi nikt, kogo należałoby się obawiać. To dobrze, gdy poluje się na dzika.

Conan z Cymmerii zwykle zapadał w drzemkę tak łatwo, jak kot, ale leżąc pomiędzy korzeniami drzewa pozostał czujny. Obserwował polanę. Nie była to jedna z jego stałych, starannie wybranych kryjówek, gdzie zastawiał liczne pułapki. Tam nikt nie mógł się prześliznąć, nie budząc go.

Znajdował się o pół dnia drogi od najbliższej z nich. Przebywał teraz na ziemiach plemienia, zwanego Zjadaczami Ryb. Tubylcy nie mogli stanowić dla niego wielkiego zagrożenia, nawet gdyby bardzo chcieli, lecz strach potrafi dodać sił słabym i uczynić ich śmiertelnie niebezpiecznymi.

Na te tereny zapuszczali się również członkowie plemienia Bamula, jakby ta kraina należała do nich. Nikt na Czarnym Wybrzeżu nie śmiał ich lekceważyć.

Conan znał Bamulę tylko z opowieści ich wrogów, ale na pokładzie „Tygryscy” służyło kilku wojowników z plemion nastawionych nieprzyjaźnie do nich. Belit mówiła, że Bamula proponowali jej dobrą cenę za tych ludzi, lecz odrzuciła ofertę.

— Nikogo nie sprzedam Bamula — dodała. — Gdybym miała z nimi handlować, to mogłabym od nich kupować i to za cenę, jaką płacę Stygijczykom.

Monetą w rozliczeniach ze Stygią były krew i stal, śmierć i strach. Dopóki Belit żyła. Teraz prochy jej i reszty załogi „Tygryscy” unosiły się gdzieś na morzach. Kości dawnych kamratów Conana bieleły w dżunglach nad brzegami rzeki Zarkheba i pamięć Cymmerianina zachowała... Co?

Wspomnienia o kobiecie, z którą dzielił więcej niż kiedykolwiek mógłby sobie wymarzyć.

O wiele więcej niż łożo, choć już samo to przyprawiłoby niejednego mężczyznę o bezsenne noce. Wspomnienia o... najwspanialszym kompanie, którego nie sposób zapomnieć.

Conan pomyślał, że duch Belit nie pogardziłby chyba takim określeniem, tak jak jej ciało nie gardziło jego pieszczotami, a załoga dowódczymi zdolnościami Cymmerianina...

To były dobre czasy, ale odeszły w przeszłość. Żaden z synów Cymmerii nie oplakuje długo tego, co minęło. Kraje Północy nie oferują mieszkańcom lekkiego życia, a zwłaszcza ten.

Conan odesłał Belit do domu, na wody oceanu na okręcie, który stanowił jej dumę i był postrachem całego stygijskiego wybrzeża.

Było, minęło. Lecz gdy przytknął pochodnię do pokładu „Tygryscy” wiedział, że nieprędko postawi nogę na statku. Zabrał ze sobą wspomnienia, broń i znajomość Czarnego Wybrzeża, nabytą dzięki kamratom z załogi, zarzucił na ramię żeglarski worek i ruszył w głąb lądu.

Odgłos skradającego się myśliwego lub zwierzęcia wyrwał go z zadumy. Tylko lekko odwrócił głowę. Nie musiał zmieniać pozycji, by widzieć całą polanę.

Kroki zbliżały się. Ktoś stąpał lekko i pewnie. Conan uniósł palec i sprawdził, skąd wieje słaby wiatr. Upewnił się, że słuch go nie zawodzi. Ktoś podążał szlakiem w jego kierunku.

Wprawnym uchem mógł już wyłowić liczbę nadchodzących gości. Z pewnością było ich więcej niż jeden. Ale nie tyłu, by się ich obawiać. Nawet jeśli to nie Zjadacze Ryb.

Cymmerianin czekał. Jeżeli to Bamula polują tak daleko na ziemi Zjadaczy Ryb, warto o tym wiedzieć. Ale nie warto z nimi walczyć. Tylko w bajkach dla grzecznych dzieci pojedynczy bohater jest zdolny pokonać całe plemię. Lecz spokojny żywot w ostępach dzikiej dżungli Czarnego Wybrzeża może przejść do historii jak Belit, a...

Na polanie pojawiły się trzy kobiety. Każda niosła na głowie dzban, a na biodrze koszyk przywiązany skośnie do ramienia. Ten rzemień stanowił ich całe odzienie powyżej talii. Od pasa do

kolan ich nogi owinięte były tkaniną. Wyglądały całkiem nieźle. Dobrze zbudowana kobieta zawsze cieszy męskie oko, bez względu na kolor skóry.

Zdjęły z głów dzbany, odwiązały koszyki i ustawiły je w krąg na środku polany. Potem uklęknęły przodem do złożonej ofiary i siedmiokrotnie padły twarzą na ziemię. Z lewego ucha każdej kobiety zwieszał się kolczyk z surowego złota, a nos jednej z nich zdobiło kółko z kości słoniowej przeplatanej złotem.

Wstały, potrząsając piersiami tak, że nawet kamienny posąg wytrzeszczyłby oczy, i rozejrzały się. Conan zastanawiał się, na co czekają, czego się spodziewają lub kogo mają nadzieję spotkać.

W końcu pomyślał, że na pewno nie jego. Jeszcze nie trafił na kobietę, która gorąco powitałaby mężczyznę wyskakującego nagle z ukrycia po to, by ją śmiertelnie nastraszyć.

Czuwanie w ciszy przeciągało się. Conan właśnie dostrzegł, że kobieta z kółkiem w nosie ma niebieskie pióra wplecione w mocno kręcone włosy, gdy nagle instynkt ostrzegł go przed niebezpieczeństwem.

Ta zupełna cisza trwała zbyt długo. Zamarły wszystkie codzienne odgłosy dżungli, a to oznaczało, że nadciąga coś niezwykłego lub groźnego.

Ani obecność Conana, ani dziewcząt nie mogła być tego powodem. Trudno było odgadnąć, co czai się w głuszy, lecz Conan wysunął się z kryjówki i sięgnął po włócznię. Nawet wąż pozazdrościłby mu zwinności i umiejętności poruszania się bez najmniejszego szelestu.

Kobiety nic nie usłyszały.

Wtem wszystkie obróciły się gwałtownie, choć do uszu Cymmerianina nie dotarł żaden dźwięk. Po chwili zniknęły w głębi ścieżki. Conan zdążył tylko zobaczyć powiewającą spódniczkę ostatniej z nich.

Gdyby nie dzbany i koszyki pozostawione na łące, gotów byłby pomyśleć, że dziewczyny przyśniły mu się na skutek nadmiaru kiepskiego wina lub pustki w żołądku.

Lecz w dżungli nie było wina, choć tubylcy mieli całkiem mocne piwo, zdolne porządnie zaspokoić spragnionego. Pusty żołądek to co innego. Conanowi właśnie zaburczało w brzuchu i przypomniał sobie, że w drodze do domu powinien sprawdzić zastawione sidła. W

tych gorących lasach schwytna zwierzyna zdychała bardzo szybko, a jeszcze prędzej przestawała się nadawać do jedzenia.

Myśl o piwie kazała Conanowi spojrzeć na dzbany. Nie zaszkodzi sprawdzić, co przyniosły kobiety. Jeśli zawartość będzie podejrzana, okoliczne małpy wypróbują, czy to nie trucizna.

Conan rozglądał się czujnie, podchodząc do złożonej ofiary. Jego długie ramiona bezgłośnie odsuwały gałązki i listki. Pochwycił koszyk i dzban i wycofał się w gęstwinę. Stąpił z powrotem tak ostrożnie, jakby posuwał się po delikatnej pajęczej sieci rozwieszanej nad przepaścią.

Ukrył się w cieniu i wyciągnął drewniany korek zamykający naczynie. Płyn pachniał jak piwo, ale dla pewności wylał trochę na wierzchnią część dłoni. Polizał rękę koniuszkiem języka...

Wtedy zauważył znaki na dzbanach i koszykach. Symbole plemienia Zjadaczy Ryb

świadczące o tym, że to ofiara złożona nieznanemu duchowi. Plemię czciło pięciu głównych bogów, a każdy miał swój znak. Szósty symbol poświęcony był duchom, zarówno dobremu, jak i złemu. Nie przypominał pięciu pozostałych.

Piwo, placki kukurydziane, owoce i suszone ryby stanowiłyby przyjemną odmianę w jadłospisie Conana, gdyby nie to, że zostały skradzione niemal samym bogom.

Cymmerianin nie przepadał za kapłanami i ich gadaniną i wątpił, by bogów obchodziło to, co ludzie robią, a czego nie robią. Ale powiedział Belit całkiem szczerze: „Nie będę deptał

cieni bogów” i kto wie, na czyj cień mógłby nadepnąć, popełniając tę drobną kradzież?

Istnieją mądrzy i głupi złodzieje i Conan tylko dlatego wciąż buszował w lasach Czarnego Wybrzeża, że wiele lat temu w Zingarze nauczył się, na czym polega różnica. Należał do tych pierwszych, więc postanowił zwrócić dary.

Zrobił pierwszy krok, gdy z głębi ścieżki dobiegł go kobiecy krzyk. Potem usłyszał okrzyki wojenne w języku Bamula. Towarzyszyły im nie znane mu wściekłe pomruki. Wrzask

powtórzył się.

Chwycił broń i dary wypadły mu z rąk. Trudno, duchy same je podniosą, jeśli przyjdzie im na ochota. Jednym skokiem poszybował ponad pozostałymi dzbanami i koszykami i pniem drzewa.

Liany oplotły jego nogi jak węże, lecz wyrwał się bez hałasu i nawet nie zwolnił.

Trzymając w lewej ręce włócznię, a w prawej miecz, podążał wzdłuż szlaku.

Kubwande i wojownicy stanowiący tylną straż odwrócili się, słysząc nagły zgiełk. Unieśli tarcze i włócznie, spodziewając się, że lada chwila z dżungli wysypią się wrogowie lub przynajmniej ujawni się sprawca zamieszania. Zżerała ich ciekawość, lecz honor

wojowników Bamula kazał im czekać i czuwać, skoro przysięgli, że to właśnie będą robić.

Tylko baby bez przerwy strzelają oczami na wszystkie strony.

Z obowiązku krycia tyłów zwolnił ich ryk Idosso. — Wszyscy naprzód! — Chęć

sprawdzenia, co dzieje się z przodu, dodała Kubwande „skrzydeł. Popędził na czele swych ludzi na wezwanie starszego wodza.

Nie od razu stało się jasne, jakiego rodzaju pomocy potrzebuje Idosso. Trzymał za kółko w nosie kobietę z plemienia Zjadaczy Ryb i ciągnął ją za spódniczkę. Inny wojownik klęczał na plecach drugiej kobiety.

Była zupełnie naga, a jej nadgarstki krępował rzemień służący do noszenia koszyka.

Wojownik zabierał się do wiązania kostek kobiety resztką jej własnego skąpego odzienia.

— Idosso! Nadejdzie smutny dzień dla plemienia Bamula, jeśli taki wódz, jak ty nie poradzi sobie z dwiema kobietami Zjadaczy Ryb! — zawołał Kubwande. Miał nadzieję, że

pochlebstwo złagodzi ton tego stwierdzenia.

Kobieta pojmana przez Idosso kopnęła go bosą stopą w pachwinę. Cios był tak silny, że wielki wódz zamruczał wściekle i mocniej zacisnął dłonie.

Kubwande wstrzymał oddech. Słyszał, co Idosso potrafi zrobić złapanej kobiecie, gdy wpadnie w złość. Wolałby tego nie oglądać. Nie życzył sobie nawet, żeby to się w ogóle zdarzyło. Ale nie mógł temu zapobiec, nie rzucając Idosso wyzwania.

— Były trzy kobiety — oświadczył Idosso. — Składały dary nieznanemu duchowi. Potem coś je wystraszyło. Nie chcą powiedzieć co.

— Jeśli to jest tak groźne dla nich, jak dla nas, to powiedzą bez tortur. A jeżeli to coś zagraża tylko nam, to prędzej umrą niż nas ostrzegą.

— To może trochę potrwać — warknął Idosso.

— Nie ma na to czasu, skoro jedna uciekła i zawiadomi swoich — odrzekł Kubwande. —

Prawda, że to tylko Zjadacze Ryb...

Kobieta leżąca na ziemi pokazała obraźliwym gestem, co Kubwande może zrobić ze swoją męskością. Ta, którą trzymał Idosso, miała najwyraźniej ochotę napluć komuś w twarz.

Kubwande wołał, żeby do tego nie doszło.

— ...i jeden Bamula jest wart tyle, co ich dziesięciu. Ale zapuściliśmy się tak daleko na ich ziemie, że może wypaść ich stu na każdego z nas. A wtedy zamiast odpowiedzi na pytania usłyszymy pieśń pochwalną nad naszymi kośćmi.

— Racja. A kości nie zadowolą ciało kobiety. — Idosso puścił kółko w nosie dziewczyny i chwycił ją za ramiona. Mimo że nadal wymierzała mu kopniaki, swą wielką dłonią

unieruchomił jej oba nadgarstki jednocześnie.

— A teraz, dziewczyno, postaraj się, żebyśmy byli dla ciebie mili. Co was tu sprowadziło i co



wystraszyło?

Kubwande dostrzegł na twarzy kobiety mieszaninę nienawiści, zwątpienia i strachu.

Zdecydowała się mówić, zanim Idosso zrobi z nią coś więcej niż wykręcanie nadgarstków.

Postąpiła mądrze.

— My... my przyszłyśmy złożyć ofiarę nieznanemu duchowi, który przybrał postać mężczyzny — wyznała.

— Postać mężczyzny? Kiedy? Jakiego mężczyzny?

Kubwande wyrzucił z siebie te pytania, zanim Idosso zdążył otworzyć usta.

Idosso zgromił wzrokiem młodszego wodza, ale nie zdołał posunąć się dalej. Rozległ się trzask łamanych gałęzi i wszyscy chwycili za broń. Zaslona liści rozerwała się i na ścieżkę wypadł chudy, ciemnoskóry mężczyzna. Miał na sobie tylko białą, ubrudzoną przepaskę na biodra. Kubwande zobaczył krew na jego ramionach i udach.

Krew widniała również na szablach ogromnego dzika, który pojawił się w chwilę później.

Nawet wojownicy Bamula potrzebowali czasu, by zebrać w sobie tyle odwagi, żeby stawić czoło zwierzęciu o takich rozmiarach. Sięgało Idosso do pasa, a posiwiała szczecina wskazywała, że ma dość lat, by dysponować zarówno wielką siłą, jak i sprytem.

Inny człowiek, ścigający dziką bestię, nie zawahał się. Włócznia nieznanego natychmiast przecięła powietrze, jakby jego pewne ramię i oko nie musiały czekać, co podpowie im rozum.

Tylko zmiana kierunku uratowała dzika przed zabójczym ciosem. Włócznia utkwiła głęboko w boku zwierzęcia, lecz nie pozbawiła go życia.

Ranny potwór zakręcił się w miejscu i zakwiczał z bólu i wściekłości. Pochylił łeb i zaszarżował na swego prześladowcę. Kubwande uniósł swoją włócznię, lecz zorientował się, że może ugodzić jednego z towarzyszy lub obcego. Gdy nieznanomy wycelował i cisnął

następną włócznią w kark zwierzęcia, Kubwande po raz pierwszy mógł przyjrzeć się śmiałkowi.

Nikt z oddziału Bamula, z wyjątkiem Idosso, nie dorównałby temu mężczyźnie. Włosy miał czarne jak mieszkaniec dżungli, ale długie i proste, a cerę tak bladą, jak żaden z synów Czarnych Królestw.

Kubwande nie znał również kraju, gdzie mógłby się narodzić ktoś o tak dzikich, niebieskich oczach przywodzących na myśl lwa, gdyby nie ich barwa.

Wojownik Bamula pomyślał, że teraz już wie, jaką postać przybrał nieznany duch.

## II

Conan ledwo miał czas dostrzec coś dziwnego w wyglądzie rannego mężczyzny, pierwszej ofiary dzika. Potem musiał skupić całą uwagę na bestii, żeby nie być następną.

Zwykły miecz nie stanowił najlepszej broni w starciu z osłabionym, lecz wciąż groźnym dzikiem, gdyby rozjuszone zwierzę znalazło się zbyt blisko. Jego kły mogły jeszcze zadać śmiertelne ciosy. Tylko łut szczęścia pozwoliłby Conanowi utrzymać potwora na odległość wyciągniętego ramienia.

Łut szczęścia lub... jedno szybkie, celne cięcie.

Dzik zaatakował. Conan oburącz ścisnął miecz, choć jego dwie wielkie dłonie z trudem mieściły się na rękojeści.

Racice bestii zryły ziemię, gdy przypuściła szturm. Conan przykucnął, zamachnął się i jednocześnie odskoczył w bok. Jego szybkie, zwinne ruchy przypominały atakującą żmiję.

Ostrze miecza przecięło przednie nogi dzika. Pchane siłą rozpędu zwierzę nie zdołało się zatrzymać i walnęło ryjem w drzewo. Osunęło się na ziemię, wierzgając szaleńczo krwawymi kikutami i tylnymi nogami.

Miecz Cymmerianina opadł na nie z góry jak topór kata i rozplątał szczeciniasty kark.

Mięso oddzieliło się od kości, ryk zamilkł i dzik znieruchomiał.

Conan sprawdził, czy nie wyszczerbił ostrza, po czym otarł je szybko o skórę zwierzęcia.

Dobra broń miała w dżungli ciężkie zadanie, podobnie jak na morzu.

Miecz stanowił tylko część jego arsenału, ale najbardziej mu odpowiadał. Powinien mu służyć, dopóki rdza nie schrupie ostrza jak krokodyl małego dziecka.

Dopiero, gdy Cymmerianin upewnił się, że broń jest w należytym stanie, podniósł się i spojrzał na stojących w pobliżu ludzi. Po nakryciach głowy i tatuażach rozpoznał

wojowników Bamula. Przyglądali mu się czujnie, z uniesionymi włóczniami. Lepiej było wykonać pokojowy gest, zanim jedna z nich poszybuje w jego stronę.

Conan wsunął miecz do pochwy i skrzyżował ręce na piersi.

— Jam jest Conan z Cymmerii. Przybywam w pokoju. Przyjmijcie w darze tego dzika.

Większość włóczni i tarcz powędrowała nieco w dół. Bamula zdawali się rozumieć jego słowa. Ale czy mu wierzyli? Miał nadzieję, że piracki żargon, którego nauczył się na pokładzie „Tygrysicy” wystarczy. Załoga składała się z członków wielu plemion i

posługiwała się językiem stanowiącym mieszaninę ojczystej mowy każdego z nich z

domieszką wyrazów shemickich, a nawet stygijskich.

Zanim Conan zdążył powiedzieć coś więcej, z rąk najwyższego Bamula wyrwała się

kobieta i pobiegła w kierunku Cymmerianina. Jeden z wojowników cisnął za nią włócznią.

Miecz Conana błysnął w powietrzu szybciej niż myśl przelatująca przez głowę.

Włócznia opadła na ziemię przecięta na pół równiutko niczym kiełbasa u rzeźnika. Kobieta rzuciła się do stóp Conana. Łkała i mamrotała tak bezładnie, że ledwo mógł zrozumieć jedno słowo na pięć. Wyglądało na to, że błaga go o pomoc. Gdyby wziął ją w obronę, z pewnością nie spodobałoby się to grupie Bamula.

Mimo to, Cymmerianin jeszcze nigdy nie pozostawił potrzebującej kobiety bez opieki.

Lekko dotknął stopą jej karku. Taki gest podpatrzył u Belit, gdy brała w swoje posiadanie niektórych jeńców.

Wysoki Bamula zmarszczył brwi. — To twoja kobieta? — spytał.

— Mógłbym cię zapytać o to samo — odrzekł Conan. — Nie odbieram mężczyznom ich

kobiet, ale jestem ciekaw, co tu robi Bamula z dziewczyną z plemienia Zjadaczy Ryb.

— Jestem Idosso, qamu plemienia Bamula, panów tej ziemi — oświadczył wojownik. —

Dziewczyna to moja zdobycz.

— O ile mi wiadomo, ta ziemia należy do Zjadaczy Ryb — stwierdził Conan.

— Zjadacze Ryb posiadają tylko to, na co pozwalają im Bamula — odpowiedział Idosso.

Conan dopiero teraz dostrzegł drugą kobietę. Leżała pomiędzy wojownikami związana i zupełnie naga. Jej oczy zapłonęły gniewem. Dziewczyna u stóp Cymmerianina uniosła głowę.

Delikatnie przydusił ją z powrotem do ziemi.

Idosso wyglądał na człowieka o długim języku i porywczym usposobieniu. Takich lepiej nie denerwować bez potrzeby.

— Wybatzcie mi, qamu Idosso i qamu Conanie — odezwał się jeden z wojowników. — Ale wydaje mi się, że powinniśmy pomyśleć o tym nieszczęśniku — wskazał ofiarę dzika. Ranny mężczyzna siedział, opierając się plecami o drzewo. Miał zamknięte oczy.

— Mamrocze coś w języku, którego nie znam.

Idosso groźnie zmarszczył czoło, słysząc, że jego podwładny nadał Conanowi zaszczytny tytuł

przysługujący wodzowi. Cymmerianin zwiertzył w tym jakiś chytry podstęp. Wojownik, który wygłosił ostatecznie zdanie nie należał do osiłków i nie dorównywał posturą ani Idosso, ani tym bardziej Conanowi. Lecz sprawiał wrażenie bystrego i przebiegłego. Cymmerianin odkrył to w jego oczach. Te cechy mogły okazać się tak przydatne, jak siła fizyczna.

— Dlaczego zwracasz się do mnie...? — zaczął Conan.

— Mówi do ciebie Kubwande, syn D'beno, i qako plemienia Bamula, jak wcześniej mój ojciec — przedstawił się wojownik i wykonał kilka gestów, zapewne, by formalnościom stało się zadość. Cymmerianin nie zrozumiał jednak ich znaczenia.

Za to doskonale rozumiał, jakie znaczenie ma w jego sytuacji uprzejmość. Naprzeciw niego stało dwudziestu uzbrojonych, gotowych do walki ludzi. Sądząc po wyglądzie, Bamula zasługiwali na swoją reputację.

Kubwande nie miał aż tak szczerego spojrzenia jak Belit, lecz chyba tak jak ona pierwszy zamierzał przyjaźnie powitać Conana wśród obcych.

— Kubwande, pomogę temu rannemu człowiekowi, jeśli mi powiesz, dlaczego sądzisz, że znam jego mowę. Nie sięgnę również po nic, co należy do członków plemienia Bamula. Nie przeleję też krwi żadnego z waszych wojowników, o ile nikt nie będzie żądał mojej.

Przysięgam na Croma i Mitrę.

Kilku Bamula najwyraźniej znało te dwa imiona. Conan zauważył, że wykonali gesty, jakby chcieli odpędzić zło. Obie kobiety wpatrywały się w niego szeroko otwartymi oczami.

— One mówią, że jesteś nieznanym duchem plemienia Zjadaczy Ryb w ludzkim ciele —

wyjaśnił Kubwande. — Spotkaliśmy je, gdy wracały z miejsca, gdzie złożyły ci w ofierze jedzenie.

— Jest w tym część prawdy — przyznał Conan. — Mam ludzką postać i potrzebna mi

żywność. Lecz nie tak bardzo, jak temu biednemu człowiekowi potrzebna jest pomoc.

Cymmerianin uklęknął przy rannym. Mężczyzna umierał. Conan znał ten widok z wielu pól bitewnych. Dzik nie oszczędził nieszczęśnika i nawet trzech królewscy medycy nie byliby w stanie zachować go przy życiu.

Conan nie miał aż takich umiejętności, ale nieraz wylizwał się z ran i opiekował niejednym rannym kamratem. Jego silne ręce delikatnie opatrywały poszarpane miejsca na ciele obcego.

Jednocześnie nasłuchiwał słów mogących wyjaśnić tajemnicę pojawienia się tutaj tego człowieka.

A w istocie była to zagadka. Ubiór i wygląd mężczyzny wskazywały, że pochodzi z Vendhii odległej o pół roku drogi od Czarnego Wybrzeża! Może był zbiegłym niewolnikiem ze Stygii, gdzie ludzie wszystkich ras na ziemi (a plotka głosiła, że również spoza ziemi) cierpieli pod butem miejscowych

właściciele niewolników?

Lecz Stygia również leżała szmat drogi od tej dzikiej dżungli. Co więcej, na ciele przybysza nie widniały ślady dalekiej podróży ani bicza nadzorcy niewolników. Pod brązową skórą tego szczupłego człowieka rysowały się mocne mięśnie. Z pewnością nie głodował i nie miał dłoni zniszczonych przez lata ciężkiej pracy.

Mężczyzna zaczął majaczyć. Niewyraźnie przyzywał swą matkę. Tajemnica pogłębiała się.

Conan upewnił się, że ma do czynienia z mieszkańcem Vendhii.

Cymmerianin spędził w tym kraju dość czasu, by nie tylko pozbawić kilku bogaczy cennych klejnotów, lecz także poznać uroki towarzystwa tamtejszych ulicznych kobiet i smak wojaczki. Zdążył nauczyć się języka.

Niestety, konający mówił od rzeczy. Conan wiedział, że ani groźbami, ani potrząsaniem nie przywróci nieprzytomnemu jasności umysłu. Człowiek musi być posłuszny woli bogów. Jeśli ten umierający na obcej ziemi nieznajomy ma mu coś zdradzić, to tak się stanie. Ale jeśli miał zabrać swój sekret do grobu, Conan nie, zamierzał winić go za to.

Nagle nieszczęśnik szeroko otworzył oczy i usiadł prosto. Z jego ust wyrwał się okrzyk nieopisanej grozy. Tak gwałtownie wyciągnął do góry obandażowane ramię, że opatrunek rozdarł się i z rany pociekła krew. Conan spojrzał w kierunku wskazanym przez mężczyznę, ale zobaczył tylko niebo nad dżunglą.

— Wrota! — wrzasnął ranny. — Wrota demonów! Znów się otwierają! Demon was wzywa! Strzeżcie się go, strzeżcie...

Krew zabulgotała w gardle cudzoziemca i pojawiła się w kącikach ust. Jego ręka opadła bezwładnie. Niewidzące oczy pozostały otwarte.

Conan chciał zaniknąć martwe powieki, gdy poczuł szturchnięcie w plecy. Za nim stał młody wojownik Bamula, trzymając oburącz włócznię. Jego dłonie lekko drżały.

Cymmerianin wyprostował się wolno. Młodzieniec uniósł włócznię i jej szpic dotknął piersi Conana.

Dwie wielkie pięści zatoczyły kolejno szeroki łuk. Jedna trafiła wojownika w brzuch. Gdy zgiął się wpół, druga wylądowała na jego szczęce. Poleciał do tyłu, wpadł między swych towarzyszy i zaplątał się w liany.

Conan odczekał krótką chwilę i, widząc, że przeciwnik oddycha, podniósł jego włócznię.

Bez wysiłku złamał ją na pół.

— Następny, który mnie dotknie, zje własną dzidę — ostrzegł. — Bamula nie mają opinii głupców, co zatem odebrało im rozum?

Kubwande popatrzył na niego bez mrugnięcia okiem.

— On myślał, że jesteś demonem, skoro znasz mowę tamtego. Demon. Przybysz z Vendhii wspomniał o wrotach demonów.

A to dopiero zagadka!

Conan spojrział na leżącego wojownika. Młodzian wstawał z ziemi.

— Taki ze mnie demon, jak z ciebie — warknął Cymmerianin. Podszedł do dzika i

wyszarpnął swoją włócznię. — Słyszałeś kiedyś o Amrze, białym wojowniku i towarzyszu Belit z „Tygryscy”?

Nawet tu, w głębi lądu, ta nazwa działała na mieszkańców Czarnych Królestw jak magiczne zaklęcie. Młody mężczyzna potakująco skinął głową. Dwaj inni pomogli mu stanąć na własnych nogach.

Prawdę mówiąc, Conan nie był pewien, czy nic mu już nie grozi. Jeśli ktoś z plemienia Bamula kiedykolwiek ucierpiał za sprawą Belit lub jej ludzi, nadal znajdował się w niebezpieczeństwie. Wprawdzie nie znał takiego przypadku i dostatecznie długo żeglował, walczył i kochał się z nią, by poznać jej wszystkie sekrety, ale coś mogła przed nim zataić.

Nigdy nie wie się, jaką niespodziankę zgotuje człowiekowi los.

Lecz gdyby przyszło mu podążyć śladem zmarłego mieszkańca Vendhii, miałby

przynajmniej okazję zapytać cudzoziemca, co znaczyła jego nieprzytomna paplanina.

Na otaczających go czarnych twarzach nie dostrzegł jednak wrogości. Kubwande okazał

nawet radosne zdziwienie.

— To naprawdę ty?!

— We własnej osobie. Nie obawiajcie się, nie jestem ani duchem Zjadaczy Ryb, ani demonem.

— Ech... — westchnął Idosso. — Dotarły do nas wieści, że Belit nie żyje, a „Tygryscy”

już nie ma. Ani jej załogi.

— To prawda — przytaknął ponuro Conan. — Padła ofiarą złych czarów i umarła od tego wraz z większością swoich ludzi. Pomściłem zabitych, odesłałem do domu żywych, a ciało Belit i jej okręt oddałem morzu.

Gdy snuł barwną opowieść o ostatnim rejsie „Tygryscy”, nie widział już zgromadzonych wokół wojowników Bamula. Kiedy skończył, oni również zdawali się nie dostrzegać tego, co ich otacza. Oczami wyobraźni patrzyli na płonący wrak pogrążający się w głębinach oceanu, które stały się grobowcem Królowej Czarnego Wybrzeża.

— Czy pośród pozostałych przy życiu byli jacyś Bamula? — przerwał w końcu ciszę

Kubwande.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odrzekł Conan. — Niektórzy z ocalałych członków załogi zamierzali zdobyć nowy okręt i wyruszyć przeciwko Stygii. Ja dostałem znak od bogów, żeby udać się w głąb łądu i poszukać nowych przyjaciół.

W rzeczywistości, po stracie ukochanej towarzyszki życia, nie miał już ochoty oglądać morza. Ale poza tym powiedział Bamula całą prawdę, na jaką zasługiwali i jeśli mu nie wierzyli, mogli posłać go w ślady Belit!

Czy to historia opowiedziana przez Cymmerianina, czy też wyraz jego oczu lub stwardniałe od trzymania włóczni dłonie sprawiły, że Bamula odłożyli broń i tarcze. Dwaj z nich podnieśli martwego przybysza z Vendhii. Inni sklecieli z włóczni nosze, by zabrać dzika.

— Przyłączysz się do nas, Amra? — spytał Kubwande, gdy wojownicy byli gotowi do drogi.

Conan pokręcił głową i wręczył mu jedną z włóczni.

— Przyjmij to jako dowód mojej przyjaźni, ale nie prosz mnie, bym z wami poszedł. Mam wizję, że powinienem jeszcze przez jakiś czas pozostawać z dala od ludzi.

— Ale Zjadacze Ryb... — wtrącił się młody wojownik, który wcześniej przypłacił swą zuchwałość wobec Conana bolącą szczęką i żołądkiem.

Cymmerianin roześmiał się, widząc troskę w oczach młodzieńca.

— Nie jestem gorszy od żadnego z Bamula, a któż z was lęka się Zjadaczy Ryb?

Ostre spojrzenia dwóch kobiet i uniesiona ręka Idosso przypomniały mu o ostatniej sprawie.

— Życzyłbym sobie, by te kobiety same mogły zdecydować, do kogo chcą należeć. Tę prośbę również podpowiedziała mi moja wizja.

Kobiety popatrzyły na siebie, potem na Idosso, w końcu na Conana. Ta z ozdobą w nosie wskazała Idosso.

Cymmerianin od dawna wiedział, że kobiety nie mają więcej rozsądku niż mężczyźni, ale ten wybór wydawał się wyjątkowo głupi.



— Mogę znać powód?

— Jesteś wybrańcem bogów, Amra — odrzekła. — Kobiety nie mogą uważać cię za zwykłego mężczyznę. Idosso to tylko wojownik... — na te słowa wódz chrząknął jak dzik — i nie... nie...

— Nie włada językami demonów?

Kobiety pobladyły, gdy Idosso ryknął śmiechem. Conan przeklął je w duchu i z trudem powstrzymał się od ostrej odpowiedzi pod adresem wielkiego wodza.

— Niech i tak będzie. Ale jestem tym kobietom coś winien za złożoną ofiarę. Jeśli będą źle traktowane, dowiem się o tym, a sprawcy odpowiedzą mi za to.

Swobodna poza Idosso wskazywała, że niewiele sobie z tego robi. Conan zastanawiał się, czy nie powinien postawić bardziej kategorycznych żądań wbrew woli kobiet. Idosso wyglądał na brutalnego pana i władcę, ale w obliczu utraty zdobyczy mógł wpaść w szał. Nie dlatego, że w Czarnych Królestwach brakowało kobiet, lecz z nadmiaru pychy.

Cymmerianin widział w życiu więcej takich ludzi niż chciałby pamiętać i niemało z nich zginęło z jego ręki. Jednak zbyt pochopne dorzucenie Idosso do tego grona nie zjednałoby mu przyjaciół wśród Bamula. A w przeciwieństwie do Zjadaczy Ryb, Bamula wiedzieli kim jest, gdzie przebywa i dokąd wysłać tylu wojowników, by zmusić go do desperackiej ucieczki lub ostatniej beznadziejnej walki.

— Niech tak będzie — mruknął Idosso. Potem zaczął coś mówić tak gwałtownie i szybko, że Conan nie mógł go zrozumieć. Wojownicy nie mieli z tym problemu. W jednej chwili sformowali szereg i oddalili się!

Cymmerianin popatrzył na miejsca, gdzie widniały plamy krwi zabitego dzika i zmarłego przybysza z Vendhii. Przewiesił włócznię przez ramię, wyciągnął miecz i swobodnym krokiem powędrował tam, skąd przyszedł.

Po drodze bez wahania posilił się tym, co kobiety złożyły w ofierze. Stwierdził jednak, że przynajmniej jednego z piekarzy Zjadaczy Ryb należałoby wychłostać!

### III

Daleko na pomocy, czarownik imieniem Lysenius siedział w swej grocie urządzonej na wzór stygijskiej świątyni i kłął w żywy kamień.

Nikt w Czarnych Królestwach nie słyszał tych wściekłych przekleństw, a gdyby nawet ktoś je usłyszał, nie zrozumiałby ich. Docierały tylko do uszu jego córki Scyry i to o wiele za często, by mogły ją jeszcze śmieszyć czy denerwować.

Niektóre z przekleństw znali już Piktowie. Dolatywały do nich czasem, niesione nocnym wiatrem. Wtedy wykonywali gesty odpędzające zło i mówili jeden drugiemu, że tym razem gniew białego szamana musi chyba doprowadzić do otwartej wojny między nim a samymi bogami.

A gdyby do tego doszło, to woleliby znaleźć się jak najdalej od pola bitwy.

Po spotkaniu z Bamula Conan nie tracił czasu na zastanawianie się, czy uznali go za przyjaciela czy wroga, za człowieka czy istotę pozaziemską. Tego rodzaju rozważania pozostawiał zwykle mędrcom i ludziom uczonym w piśmie, którzy nie mieli nic lepszego do roboty.

Tu, w Czarnych Królestwach, nie było ani jednych, ani drugich. Dni upływały mu na jedzeniu, spaniu, polowaniach, kąpielach w strumieniach, doglądaniu sideł i dbaniu o broń.

Zjadacze Ryb nie złożyli więcej ofiar, ale wokół miał dość dojrzałych owoców i tłustej zwierzyny. Tylko głupiec głodowałby na tej ziemi.

Cymmerianin nie należał do głupców, toteż odżywiał się dobrze. Potrafił też mieć oczy z tyłu głowy i uszy na łokciach i kolanach, ilekroć opuszczał którąś ze swoich kryjówek.

Pewnego dnia Zjadacze Ryb mogli nie tylko nie złożyć ofiary, ale i zacząć interesować się tym, dlaczego ich kobiety miały taki kaprys, by odejść z Idosso. Uznawał to wprawdzie za mało prawdopodobne i wątpił, by nastąpiło szybko. Nie w kraju, gdzie jeden pirat z

„Tygryscy” mógłby za Swą część łupów kupić harem zdolny zadziwić możnych z Iranistanu.

Lecz, ostrożność nakazywała liczyć się z takim niebezpieczeństwem.

Istniały też inne niebezpieczeństwa, jak lamparty, krokodyle, dzikie pszczoły czy trujące pnącza. Ale one grożą zwykle tylko tym, którzy się z nimi nie liczą.

Wśród wojowników Bamula niektórzy rozmawiali o białym mężczyźnie uważanym za boga przez Zjadaczy Ryb. Nie nazywali go jednak „Amra”, gdyż oddział Idosso przysiągł sobie na wszystkie świętości zachować to imię w sekrecie. Idosso i Kubwande zobowiązali również kobiety do trzymania języka za zębami. Zagrozili im straszliwymi i długotrwałymi karami, jeśli nie dotrzymają słowa. Kubwande obiecał im dodatkowo złoto i jedną z kobiet Idosso jako osobistą służącą.

Idosso uważał, że obiecywanie kobietom nagrody zamiast kary to pomysł szaleńca. Ale tym razem

zgodził się na to.

Dziwiło go jednak, dlaczego Kubwande upiera się, by trzymać w tajemnicy fakt, że Conan jest przypuszczalnie słynnym Amrą. Zapytał go o to szeptem, żeby nikt nie usłyszał.

— To proste nawet dla Zjadacza Ryb — odparł Kubwande, po czym przeprosił Idosso za to porównanie.

— Przyjdzie dzień, gdy będziesz mnie błagał, żebym nie przybił ci twego niewyparzonego języka włócznią do podniebienia — warknął Idosso. — Nie jestem oswojoną małpą.

Przynajmniej do czasu, kiedy mógłbyś mnie sprzedać Stygijczykom. Ale jeśli kiedykolwiek sprzedasz mnie komuś, Kubwande, to pójdziesz tam razem ze mną.

Kubwande uspokoił wodza, że jest tak daleki od sprzedawania lub kupowania kogokolwiek z wyjątkiem kilku kobiet więcej, jak Góry Księżycowe od chaty, w której właśnie popijają piwo podawane przez kobiety z plemienia Zjadaczy Ryb.

Idosso chrząknął coś na znak zgody.

Młodszy wódz przystąpił do rzeczy. — Czy wiemy na pewno, że „Tygryscy” i jej właścicielki już nie ma? Czy ktoś widział jej kości?

— Jeżeli Amra mówił prawdę, to zadał sobie sporo trudu, żeby nikt ich nie znalazł.

— Jeżeli. A może jest jej szpiegiem. A ona tymczasem zbiera nowych ludzi i szykuje okręty do wyprawy w górę rzeki.

— Poczestujemy jej nowych i starych ludzi włóczniami, jak się tu pojawią — odparł Idosso, przeżuając placek kukurydziany. — I ją też, skoro jest tak zuchwała, jak o niej mówią.

— Czy powinniśmy to robić, zanim dowiemy się, czego szuka na tych ziemiach? Pamiętaj, że ma w załodze wojowników z tuzina plemion — przypomniał Kubwande. — Żadne plemię nie uważa jej za wroga. A my nie jesteśmy większymi przyjaciółmi Stygijczyków niż ona.

Czy minął choć jeden rok, odkąd obaj zostaliśmy wojownikami, żebyśmy nie przepędzali stąd łowców niewolników, poszturchując włóczniami tych, co się ociągali ze znalezieniem drogi do własnego kraju?

Idosso roześmiał się na wspomnienie tych kampanii. Sam prowadził niejedną taką wyprawę i zdobył sobie dobrą reputację.

— Więc powiadasz, że Amra szpieguje dla kogoś, kto jest jego przyjacielem?

— Nic innego nie przychodzi mi do głowy. A dopóki czegoś nie wymyślę, ten człowiek będzie dla mnie jak sztylet ukryty pod przepaską na biodrach. Nie widać go, dopóki we właściwym momencie

nie zada śmiertelnego ciosu.

Kubwande zauważył, że Idosso usiłuje pojąć znaczenie tych słów. Czekał cierpliwie, aż wódz sam zrozumie, o co mu chodzi. Wolał mu nie podpowiadać.

— He! — wykrzyknął w końcu Idosso i uniósł tykwę z piwem tak wysoko, że zawadziła o kryty trawą dach chaty. — Zatrzymamy tajemnicę Amry i tylko z nami będzie mógł

rozmawiać. Jeśli jego nałożnica ma do zaoferowania przyjaźń, to sprzedają nam. Ktokolwiek uczyni z Królowej Czarnego Wybrzeża przyjaciółkę Bamula...

Nie dokończył. Nie musiał. Zachowując w tajemnicy istnienie Amry miał w zanadrzu sztylet, który mógł wbić w brzuchy rywali ubiegających się o tron naczelnego wodza wykonany z kości słoniowej. Myśląc o tym, Idosso był zadowolony, że kieruje się ambicją.

Kubwande znał jego myśli i był z kolei zadowolony, że może kierować Idosso.

Przynajmniej tak długo, jak będzie to konieczne. Nie można wiecznie żyć w pokoju z takim człowiekiem. Nawet, jeśli udaje się przyjaciela. Idosso zbyt szybko wpadał w gniew, za to zbyt wolno myślał.

Lecz krwawa rozprawa przypominała ukryty sztylet lub Amrę. Można będzie uderzyć

dopiero we właściwym czasie.

Conan nie miał pojęcia o intrygach wśród wodzów Bamula. Nawet, gdyby o nich wiedział, obchodziłyby go o wiele mniej, niż się tego spodziewał Kubwande. Przynajmniej dopóki nikt nie obrażał pamięci Belit.

W przeciwnym razie jego gniew wziąłby górę nad obojętnością i dla plemienia Bamula nastałby sądny dzień, zanim Cymmerianin padłby pod ciosami ich włóczy, o ile w ogóle dałby się pokonać. W przeszłości równie groźni wrogowie ufali swej przewadze liczebnej, a potem kończyli jako karma dla sępów i nie mieli już okazji nauczyć się rozumu.

Conan zamierzał zostawić Bamula w spokoju. Miał nadzieję, że oni uczynią to samo i nie dadzą mu powodu do zmiany postanowienia, traktując źle dwie kobiety. Poza tym, mogli robić, co im się podoba: walczyć z sąsiadami, żyć z nimi w zgodzie, bić się między sobą, wojować z demonami lub samymi bogami.

Jemu nic do tego.

Teraz bardziej obawiał się Zjadaczy Ryb. Bez wątplenia z czasem poznają prawdę o zniknięciu kobiet i będą chcieli zemścić się na wrogu słabszym od Bamula. Conan zwiększył

liczbę pułapek na ścieżkach wokół swych kryjówek.

Sypiał czujnie i nawet we śnie nie wypuszczał broni z ręki.

W niektórych strumieniach zastawił potrzaski. Na „Tygryscy” znajdowały się łupy nie tylko w postaci złota i klejnotów.

Żeglowała obładowana także innymi zdobyczami — bronią, sprzętem rybackim i żywnością. Mimo to, podczas długich rejsów często brakowało jedzenia. Zagarnięte zapasy wyczerpywały się. Wtedy za burtę wędrowały sieci i liny, a połów trafiał do żołądków wilków morskich dowodzonych przez Belit. Zjadano wszystko od razu lub dopiero po namoczeniu w beczkach ze słoną wodą.

Belit zawsze żartowała, że ryby to dobra potrawa dla kochanków i nalegała, żeby Conan spożywał ich jak najwięcej. On uważał, że chyba tylko mężczyzna przymierający głodem straciłby zainteresowanie taką kobietą jak ona. Ale nie sprzeciwiał się jej i... coraz bardziej przyzwyczajał się do ryb.

Więc kiedy znalazł głęboki strumień, nie szerszy niż dwie długości włóczni, obfitujący w dziwne, ale dorodne ryby, zaczął je łapać. Do tego celu wystarczyły mu gałązki i trzciny powiązane trawą i pnączami. Posmarował je sokiem roślinnym, żeby nie przegniły.

Wkrótce zastawił trzy takie pułapki. Umieścił je niedaleko od siebie, by móc sprawdzać połów o świcie i o zmroku. Były dobrze ukryte przed amatorami cudzej własności.

Przynajmniej rodzaju ludzkiego.

Nocną ciszę przerwał odgłos grzmotu. Conan obudził się natychmiast. Jego niemal zwierzęcy instynkt podpowiedział mu, że coś nie jest w porządku.

Nie tylko nie spadł deszcz, ale nawet nie powiał najłżejszy wiatr. Trudno było stwierdzić, czy na niebie są chmury, gdyż zasłaniały je drzewa. Żeby się o tym przekonać, Conan musiałby się wspiąć wyżej niż wierzchołki strzelistych sosen rosnących w Królestwach Kresowych.

Uważnie nasłuchiwał. Z ciemności dochodziły tylko głosy ptaków i bzykanie owadów szukających nocą w dżungli partnera lub pożywienia.

Cymmerianin zsunął się z hamaka stanowiącego jeden z niewielu luksusów zabranych z pokładu „Tygryscy” przed jej ostatnim rejsiem. Bezszelestnie stawiając kroki, sięgnął po broń. Jego ruchy przypominały lamparta, a w nocy widział jak kot.

Po pierwszym huku grzmotu cisza trwała zbyt długo. Piorun nigdy nie wydaje pojedynczego dźwięku.

Wśród ciemności czaiło się coś nienaturalnego. W każdym razie coś sprzecznego z naturą dżungli. Conan nie wiedział, czy zdoła pokonać to „coś”, ani czy w ogóle warto z tym walczyć. Ale jedno wiedział na pewno: zawsze lepiej być myśliwym niż zwierzyną.

Szerokim łukiem okrążył swą kryjówkę i zbliżył się do największego strumienia w okolicy.

Skradał się tak ostrożnie, że ledwo muskał paprocie, wysokie trawy, gałęzie i pnącza. Żaden z wielkich kotów żyjących w dżungli nie poruszałby się ciszej w poszukiwaniu zdobyczy.

Obserwował otaczającą go gęstwinę z mieczem w jednej dłoni i włócznią w drugiej. Dwie zapasowe wisiały na jego plecach, a za pasem tkwił sztylet. Cymmerianin nie pozwoliłby się zaskoczyć nawet lampartowi rzucającemu się na niego z drzewa. Dysponował dostateczną ilością stali i co jakiś czas spoglądał w górę.

Dotarł do połowy kręgu, który zataczał, ale niczego nie znalazł. Zaczął podejrzewać, że zawiódł go słuch lub że dżungla spletała mu figla. Wypuścił się na zwiady na próżno.

Mimo to, posuwał się naprzód. Trzymając się tej ścieżki, mógł znaleźć się przy strumieniu i sprawdzić połów. Zaoszczędziłby sobie spaceru o świcie. Wiedział też, że dżungle Czarnych Królestw kryją wiele nie znanych mu tajemnic. Przebył daleką drogę od młodego złodzieja z Zamory, gdzie kradł jeszcze jako chłopiec, ale wciąż musiał się uczyć nowych rzeczy.

Gdzieś przed nim ozwały się groźne pomruki. W pierwszej chwili Conan pomyślał, że coś przeszkodziło jednemu z wielkich kotów w polowaniu lub zalotach. Potem usłyszał tak basowe porykiwanie, jakiego nie wydaje żaden z najpotężniejszych mieszkańców dżungli.

To prawda, że hipopotamy, słonie czy krokodyle są większe od wielkich kotów. Ale te stworzenia nie ryczą. Stwardniała, pokryta bliznami, ręka Conana zacisnęła się mocniej na rękojeści miecza.

Cymmerianin skręcił ze szlaku i ukrył się w zaroślach. Miał teraz dobre pole obserwacji, sam nie będąc widziany. Jeśli to zwykła ziemska bestia, w porządku. Ale jeśli nie...?

Przypomniał sobie pojedynczy grzmot i paplaninę przybysza z Vendhii o „wrotach demonów”.

Wielka bestia należała do zwierząt stworzonych przez naturę i nie była dla Conana niczym nowym. Widział już takie. Tyle że żadna naturalna siła nie mogła jej tu sprowadzić.

Oczom Cymmerianina ukazał się bowiem ogromny niedźwiedź polarny z dalekiej pomocy.

Takie stworzenia nie zamieszkiwały nie tylko Cymmerii, ale nawet ziem Aesiru czy Vaniru.

Najtwardsi ludzie z pomocy zdolni całymi dniami wymieniać ciosy i całymi nocami podnosić rogi napełnione miodem pitnym chodzili na palcach w obecności takiego niedźwiedzia.

Zwierzę dwukrotnie przewyższało rosnącego mężczyznę i ważyło pięciokrotnie więcej.

Poruszało się z szybkością fretki, miało zęby długości palca, a z jego łap wielkości półmiska wystawały pazury przypominające sztylety.

Nic takiego nie pojawiło się jeszcze nigdy w Czarnych Królestwach. O ile Conanowi było wiadomo, również w żadnym kraju leżącym o pół roku drogi stąd. W takiej odległości nie znajdowały się też żadne pokryte śniegiem i lodem góry mogące dać schronienie tej bestii.

Cielsko niedźwiedzia nie nosiło śladów długiej wędrówki. Zwierzę wyglądało na dobrze odżywione. Grube, białe futro lśniło od wilgoci, a w czarnych, chłodnych ślepiach nie czaiło się wyczerpanie. Conan walczył już z węzami patrzącymi na niego cieplejszym wzrokiem niż ta bestia.

Cymmerianin pamiętał z opowiadań, że niedźwiedzie polarne przepadają za rybami. Toteż nie zdziwił się, gdy zwierzę zanurzyło łapę w strumieniu i wyciągnęło pułapkę wraz ze złowioną zawartością. Potem upuściło zdobycz na brzeg. Ryby rzucały się i trzepotały ogonami i płetwami.

Łapa niedźwiedzia opadła jak topór. Mocne trzciny i solidne węzły puściły, a wokół rozsypały się ryby. Jedna wyleciała wysoko w góry. Olbrzym cofnął się, rozdziawił pysk i połknął ją w powietrzu z łatwością, z jaką chłopcy z Argos chwytają piłkę podczas turniejów ulicznych.

W tym momencie czułe miejsca na ciele zwierzęcia zostały wystawione na szybki cios.

Mogłaby w nie ugodzić włócznia lub strzała. Na rzut włócznią było za daleko, ale Conan nie zamierzał biadolić, że nie ma łuku i marnować takiej okazji.

Muskularne ramię Cymmerianina wykonało błyskawiczny zamach. Włócznia wystrzeliła w przestrzeń z siłą strzały wypuszczonej z najcięższego bossońskiego łuku i minęła cel o szerokość dłoni. Gdyby poszybowała trochę bardziej w lewo lub w prawo, walka zostałaby rozstrzygnięta, zanim się na dobre rozpoczęła.

Pech chciał, że Conan źle wymierzył lub może zniósł ją nagły podmuch wiatru. Przebiła futro i skórę niedźwiedzia i uderzyła w żebro, nie wyrządzając mu krzywdy.

Bestia zrobiła krok do tyłu, wydała z siebie potworny ryk i jednym ruchem potężnej łapy wyszarpnęła włócznię z ciała. Broń znów śmignęła w powietrzu i wbiła się w drzewo na głębokość palca.

Niedźwiedź przypuścił atak na Cymmerianina. Zdawało się, że kieruje nim jakaś pozaziemska moc, a nie tylko instynkt. Conan nie zmierzył się jeszcze z tak oszalałym zwierzęciem.

Cisnął drugą włócznię, dziękując Cromowi, że zabrał ze sobą trzy. Niedźwiedź skręcił i nadlatująca broń ledwo drasnęła jego futro i skórę.

Teraz Cymmerianin użył miecza. Dźgał bestię ostrzem, choć nie nadawało się najlepiej do tego celu. Było jednak dłuższe niż zasięg przednich łap olbrzyma. Opowieści z dalekiej północy mówiły nie tylko o ulubionym pożywieniu niedźwiedzi. Conan słyszał, że jeszcze nikt nie wydostał się żywy z tych pazurów.

Ostrze miecza zagłębiło się w ciele bestii. Zwierzę obróciło się i zaryczało jak wszystkie ognie w ciemnej otchłani Set. Conan wyszarpnął miecz i z nadzieją zadał następny cios.

Niedźwiedź znów natarł i odtrącił broń łapą.

Cymmerianinomal nie stracił czucia w ramieniu. Mało brakowało, a uderzenie wybiłoby mu miecz z dłoni. Uniósł trzecią włócznię i wycelował w ślepią bestii. Tym razem nie chybił.

Niedźwiedź wyprostował się i cofnął. W zakrwawionym oczodole tkwiła włócznia. Conan miał okazję dźgnąć go jeszcze raz, ale wołał nie ryzykować. Zwierzę przypierało go do kilku grubych drzew. Gdyby źle wymierzył cios, a bestia rzuciłaby się na niego, pozbawiłby się szansy ucieczki.

Odskoczył w bok i przeciął mieczem przednią prawą łapę olbrzyma. Ostrze odrąbało pazury i niedźwiedź znów zaryczał. Zamachnął się wściekle krwawym kikutem, ale Conan zdążył

dać susa w wąską szczelinę między drzewami. Jego masywna postać ledwo się w niej zmieściła.

Pośród drzew wielkie cielsko niedźwiedzia pozbawiało go przewagi. Nie mogło się wcisnąć tam, gdzie Conan. Zwinny Cymmerianin potrafił zniknąć z pola widzenia na wpół ślepej bestii i w ciemności zaatakować ją z ukrycia.

Musiał rozprawić się z tym potworem, jeśli tylko Mitra pozwoli mu uniknąć spotkania z jego pazurami. Żaden człowiek nie byłby bezpieczny, gdyby w dżungli grasował niedźwiedź

polarny. A Conan bardzo wątpił, by Zjadaczom Ryb udało się położyć temu kres.

Zwierzę nie miało zamiaru rezygnować z pościgu za Cymmerianinem. Rany rozwścieczyły je. Conan nie sądził, by kierowało się czymkolwiek poza chęcią rozdarcia na strzępy tego, kto zadał mu ból.

Niedźwiedź okazał się bardziej niezdarny niż można było oczekiwać. Może w obcej krainie stracił węch wśród nowych zapachów i gubił trop. A może, jak wiele stworzeń żyjących na dalekiej pomocy, przesypiał porę, zwaną Bezkresną Nocą i źle widział w ciemności.

W końcu Conan stracił cierpliwość i nadzieję na zwabienie bestii w pułapkę, gdzie mógłby ją pokonać bez ryzyka dla siebie. Wydawało mu się, że ta zabawa w chowanego trwa pół

nocy. Wyczerpał już wszystkie zaklęcia kierowane do najwyższych bogów każdego ze znanych mu krajów, a niedźwiedź co najmniej piąty raz ominął zasadzkę.

— Na Erlika! Zdobędę skórę tej bestii i zrobię z niej nowy hamak! — przysięgnął sobie.

Rozerwał ścianę pnączy, wydostał się na ścieżkę i... stanął oko w oko ze Zjadaczami Ryb.

Było ich przynajmniej czterdziestu. Siedzieli przycupnięci na polanie z włóczniami i maczugami w pogotowiu.

Conan zaklął głośno, ale jego przekleństwa zagłuszyły wrzaski Zjadaczy Ryb, którzy zerwali się na równe nogi, wymachując bronią.

— To Amra! Kradnie kobiety i sprowadza demony!



— Zabić człowieka–lwa!

— Zanurzyć włócznie w jego krwi!

Jak na lud powszechnie uważany za nastawiony pokojowo, Zjadacze Ryb wyjątkowo gorliwie rwali się do wojny z Cymmerianinem.

Conan nigdy nie szukał z nimi zwady i nie rozumiał, dlaczego nazywają go tym, co sprowadza demony. Strach odebrał im rozum, pomyślał.

— Ha! — zagrzmiął. Uciszyli się i na razie wstrzymali z atakiem. — Nie jestem demonem, ale wśród tych drzew kryje się coś straszniejszego od każdego demona, jakiego kiedykolwiek widziałem! To coś mogłoby pożreć lwa! Jeśli tego nie zabijecie, pożre was i wasze dzieci!

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo znów podniosła się wrzawa. Cymmerianin miał wielką ochotę zostawić tych głupców z niedźwiedziem i odejść w swoją stronę. Niech się sami z nim zabawią.

Ale zawierając pokój z Bamula, obraził Zjadaczy Ryb. Nie powinien ich dodatkowo narażać na niebezpieczeństwo.

W następnej chwili sprawy wymknęły mu się z rąk. Z dżungli wypadł niedźwiedź. Ociekał

krwią i ryczał jak wulkan podczas erupcji. Zjadacze Ryb przestali wrzeszczeć na Conana, za to zaczęli krzyczeć z przerażenia. Bestia rzuciła się na nich i w okamgnieniu rozległy się również okrzyki konających.

Pierwsza szarża niedźwiedzia pozbawiła życia dwóch z nich. Inni odnieśli rany zadane pazurami lub zostali podeptani przez pierzchających w popłochu współplemieńców. Kilku cisnęło włócznie, ale z niezbyt dobrym skutkiem. Nie wbiły się dość głęboko.

Niedźwiedź kręcił się w kółko i obiema łapami wymierzał ciosy. Wśród czarnych

wojowników przybywało rannych, lecz nie wszyscy ulegli panice. Conan zobaczył młodego mężczyznę, prawie chłopca, który podbiegł do bestii i wbił w jej zdrową łapę długi rybacki trójząb.

Zwierzę odwróciło się natychmiast i śmiałek zgiął z okrzykiem bólu na ustach. Szczęki zgiętego wpół niedźwiedzia zacisnęły się na jego brzuchu i kły rozszarpały trzewia nieszczęśnika. Bestia potrząsnęła łbem, odrzuciła na bok ciało i rozejrzała się za nową ofiarą.

Cymmerianin musiał przyznać, że Zjadacze Ryb potrafią w potrzebie walczyć z desperacką odwagą. Nie mieli jednak odpowiedniej broni i umiejętności, by zmierzyć się z takim stworzeniem. Jemu też nie byłoby łatwo przechytrzyć niedźwiedzia na otwartej przestrzeni, gdzie bestia mogła atakować we wszystkich kierunkach i dosięgnąć każdego, kto podejdzie na odległość jej wyciągniętych łap.

Mimo upalnej nocy, Conan poczuł na plecach zimny dreszcz. Czyżby umierający przybysz z Vendhii mówił prawdę? Czy demony rzeczywiście mają wrota, przez które zsyłają ludzi i zwierzęta tam,

gdzie nie ich miejsce?

Ale bez względu na to, czy niedźwiedzia przysłały demony czy nie, był stworzeniem z krwi i kości. A takie można zabić. Conan wiedział, że jeśli jest inaczej, nie zobaczy już wschodu słońca.

Zjadacze Ryb otoczyli zwierzę szerokim kołem. Co odważniejsi wskakiwali do środka kręgu i wyciągali stamtąd trupy towarzyszy. Najbardziej zuchwali dźgali bestię włóczniami, ale brawura kosztowała ich utratę życia. Niedźwiedź wciąż miał jedno oko, dużo energii i zbyt grube futro, by mogły mu zaszkodzić lekkie dzidy.

Conan odczekał chwilę, żeby się upewnić, że Zjadacze Ryb go widzą. Nie był tylko całkiem pewny, czy odróżniają go od niedźwiedzia. A nawet jeśli tak, to wątpił, by powstrzymali się od rzucania włóczniami.

Co do jednego nie miał wątpliwości: honor wojownika nakazywał uśmiercić bestię.

Kiedy rzucił się w kierunku niedźwiedzia, w powietrzu śmignęły kolejne dzidy. Dwie chybiły, a jedną pochwycił w locie. Czwarta drasnęła go w ramię. Biegł tak szybko, że Zjadacze Ryb nie mogli dokładnie celować. W końcu znalazł się przy zwierzęciu. W jednej ręce dzierżył miecz, w drugiej wysoko uniesioną włócznię.

Od niedźwiedzia też był szybszy. Zanim bestia odwróciła się w jego stronę, Conan wydał triumfalny okrzyk. Jego donośny krzyk najwidoczniej przeraził zwierzę. Potrzęsęło łbem z zaskoczenia i bólu, jakby rany pozbawiły go wreszcie serca do walki.

Conan zbliżył się niemal na odległość wyciągniętego ramienia i rzucił włócznię. Wbiła się głęboko w futro i skórę. Niedźwiedź obrócił się, schylił łeb i kłapnął zakrwawionymi szczękami, chcąc wyrwać tkwiącą w jego boku broń. Wtedy wystawił kark na cios.

Nawet dobry miecz trzymany oburącz przez Cymmerianina nie wystarczył do powalenia takiego olbrzyma jednym śmiertelnym cięciem. Conan omal nie zginął. Gdy z całą siłą opuścił ostrze, niedźwiedź zapomniał o włóczni, poznał starego wroga i rzucił się na niego.

Po zadaniu ciosu Conan odskoczył do tyłu, ale dosięgła go jedna łapa. Na szczęście prawa, pozbawiona pazurów. Inaczej zostałby wypatroszony jak jagnię, a jego ciało opadłoby na zwłoki Zjadaczy Ryb.

To był ostatni atak niedźwiedzia. Z przeciętego karku buchnęła krew, plamiąc brudne białe futro. Osunął się na ziemię i ułożył łeb na łapach. Zaryczał i przewrócił się na bok.

Conan spojrział w gasnące oko zwierzęcia i miał wielką ochotę odśpiewać mu pieśń śmierci, jak pokonanemu ludzkiemu wrogowi. To stworzenie zostało porwane ze swej krainy i przeniesione do obcej dżungli. Starzło się po prostu przeżyć i stawiało czoło śmierci z odwagą godną wojownika.

Nagle wokół niedźwiedzia zaroilo się od Zjadaczy Ryb i Conan stracił martwe zwierzę z widoku. Wszyscy dźgali zwłoki włóczniami i walili maczugami. Z wyjątkiem jednego mężczyzny. Był starszy

i drobniejszy niż większość jego towarzyszy, a na głowie miał

wymyślne nakrycie z piór, wyższe niż on sam.

Wycelował w Conana misternie rzeźbioną laskę i zawołał: — To wojna między demonami!

Zabić Amrę i będzie z tym koniec! On uśmiercił swego zbuntowanego sługę, a teraz jego kolej, by umrzeć! Przynajmniej tak go zrozumiał Cymmerianin. Minęło trochę czasu, zanim sens tych słów dotarł do Zjadaczy Ryb owładniętych żądzą krwi, zaślepionych wściekłością i odurzonych zwycięstwem. Conan natomiast pojął od razu, że wdzięczność Zjadaczy Ryb może przyjąć postać włóczni wbitych w jego gardło. Wolał nie czekać na taką zapłatę.

— O Cromie! — warknął i splunął na ziemię. Stary wódz odskoczył w tył, jakby

spodziewał się, że z tego miejsca buchną płomienie. Cymmerianin chwycił włócznię i wódz odskoczył jeszcze dalej. Ale nie dość daleko. Rzucona włócznia przeszła jego fantazyjny pióropusz i nakrycie głowy nadziało się na szpic, jak przynęta na haczyk rybaka. Włócznia poszybowała przed siebie i trafiła w drzewo. Wbiła się głęboko w pień, zadrżała i zastygła ze zwisającymi z niej piórami.

Zjadacze Ryb przyglądali się temu z rozdziawionymi ustami. Zanim się otrząsnęli, Conan zrobił w tył zwrot i pomaszerował w kierunku strumienia. Jeśli niedźwiedź nie pożarł

wszystkich ryb, miałby pożywienie na drogę do Bamula.

Nie doszedł jeszcze na brzeg, gdy znów rozległ się pojedynczy grzmot. Przetoczył się po niebie i zamarł z wolna wśród zwykłych nocnych odgłosów dżungli. Cymmerianin przystanął, przygotował broń i obejrzał się. Ale nie dojrzał na ścieżce ani ścigających go Zjadaczy Ryb, ani demonów, ani niedźwiedzi.

Nie usłyszał nic podejrzanego, a grzmot nie powtórzył się. Niedźwiedź polarny był martwy, ale cokolwiek przeniosło go z dalekiej, mroźnej pomocy do Czarnych Królestw, musiało wciąż czaić się w dżungli.

## IV

— Więc Zjadacze Ryb nie ścigali cię? — zapytał Bamula, którego Conan nie rozpoznawał.

Cymmerianin ściągnął brwi. Chętnie obluzowałby mu kilka zębów. Ciemnoskórzy

mieszkańcy Czarnych Królestw mieli te same zalety i wady, co wszystkie znane mu ludy.

Jedną z wad było zadawanie tych samych pytań po dziesięć razy tylko po to, by usłyszeć swój własny głos.

— Czy to izba obrachunkowa w Shem, czy chata zebrania rady plemienia Bamula? —

warknął i spojrzał na Kubwande. — A może ktoś zapomniał powtórzyć pozostałym tego, co już mówiłem?

Kubwande bezradnie rozłożył ręce. — Powiedziałem to, o co mnie pytali.

— Następnym razem przygnieć ich do ziemi i wykrzycz im to do ucha, albo ja to zrobię za ciebie — podsunął Conan i uśmiechnął się szeroko, żeby jego słowa nie zabrzmiały jak groźba.

Ale wojownicy Bamula nie odprężyli się. Ci twardzi ludzie dobrze wiedzieli, że żaden z nich nie potrafiłby dokonać choćby połowy tego, co Amra. To stawiało go ponad każdym wojownikiem zasiadającym w radzie. Nawet jeśli tylko połowa jego opowieści była prawdą.

— Zjadacze Ryb nie ścigali mnie — ciągnął Conan. — Ale jeżeli waszym zdaniem to

oznacza, że dobrze mi życzą, albo uważają mnie za swojego człowieka wśród Bamula, to lepiej przemyślcie to jeszcze raz. Inaczej uznam, że wasze głowy są puste jak opróżnione dzbany po piwie!

Cymmerianin przesunął wzrokiem po zebranych. Był ciekaw, czy ktoś potraktuje poważnie tę obrazę i rzuci mu wyzwanie. Ale nikt się nie odezwał. Po dłuższej chwili ciszy rozległ się głośny śmiech Idosso. Conan poczuł na sobie jego oddech przesycony piwem.

— To jasne, że Zjadacze Ryb nie gonili tego lwa w ludzkim ciele — odezwał się wódz. —

Mają tyle odwagi co kozy. A czy lew mógłby służyć kozom?! Prędzej ja niż on!

To był sygnał dla Bamula, że mogą wybuchnąć śmiechem. Conan obserwował, jak patrzą na Idosso. Najwyraźniej wszyscy zebrani tu wojownicy i mniej ważni wodzowie należeli do lojalnych wobec wielkiego qamu. I z pewnością zarówno Idosso, jak i jego poplecznicy oczekiwali, że Cymmerianin powiększy ich szeregi w zamian za zapewnienie mu

bezpieczeństwa pośród członków plemienia.

Również pod tym względem lud Czarnych Królestw przypominał Conanowi inne narody, które znał i z którymi walczył.

Tym razem miał wielką ochotę chlusnąć Idosso piwem w twarz i na dokładkę poczęstować go porcją aquilońskiej stali. Sztylet Conana był bliżej jego dłoni niż ktokolwiek z Bamula mógłby się spodziewać. Cymmerianin zaczynał już tracić cierpliwość do tych bałwanów traktujących go jak półgłówka.

Tylko jeden spośród nich wydawał się trzeźwo myśleć. Conan i pamiętał, że jego imię brzmi Kubwande. Młody wódz właśnie przemówił.

— Wątpię, by po spotkaniu z niedźwiedziem więcej niż połowa Zjadaczy Ryb mogła chodzić, a co dopiero walczyć. A któż z nas odważyłby się ścigać tego urażonego lwa, mając ze sobą mniej niż dwudziestu towarzyszy? Chyba tylko Idosso, bo kto jeszcze?

Każdy Bamula widocznie uważał, że należy zgodzić się z Kubwande, żeby przypodobać się Idosso. Wszyscy pokiwali głowami i wyciągnęli w kierunku Conana tykwy lub drewniane naczynia z piwem. Nikomu nie odmówił. Żadna ilość tego miejscowego napoju nie mąciła mu umysłu. Mógł wypić tyle, że wystarczyłoby na zatopienie „Tygryscy”.

— Więcej piwa! — ryknął ktoś i pozostali podchwycili okrzyk. Jeden zaczął walić w bęben.

Zasłona z trawy zawieszona w drzwiach rozchyliła się i do izby weszły dwie kobiety. Ich strój składał się tylko z ciężkich kolczyków z kości słoniowej i naszyjników z drewnianych, czerwonych paciorków. Obie były bardzo młode i smukłe, ale jedna poruszała się jak siedemdziesięcioletnia staruszka.

Conan przyjrzał się im bliżej i rozpoznał kobiety z plemienia Zjadaczy Ryb, które pozwolił zabrać Idosso. Ta o powolnych ruchach również go poznała. Cymmerianin dostrzegł w jej spojrzeniu, że życzy mu, żeby spadł na niego gniew wszystkich bogów i żeby rozszarpały go kły i pazury pięćdziesięciu demonów. Jej stosunek do Conana bardzo się zmienił od ostatniego spotkania. Wtedy najwyraźniej myślała, że to on pokaże kły i pazury, jeśli kobiet

— ty zostaną z nim, a nie z Idosso.

— Ho! — krzyknął Idosso. — To tak się patrzy na zaprzysiężonego gościa, Świeża Rybo?!

Tak cię uczyłem?!

Conan nie przypominał sobie, żeby przychodząc tutaj składał i jakkolwiek przysięgę, ale wołał nie nazywać Idosso kłamcą. Za to kobieta najwidoczniej pamiętała dużo więcej i nie były to miłe wspomnienia. Ukłęknęła, a Idosso zerwał się na równe nogi i uniósł swą wielką pięść. Taki cios mógł roztrzaskać jej czaszkę lub złamać kark.

Ale uderzenie nie nastąpiło. Idosso już wystarczająco obraził honor Cymmerianina, brutalnie obchodząc się z kobietą. Na jej gładkiej, posmarowanej oliwą skórze widniały liczne sińce. Słowo dane Conanowi okazało się bezwartościowe. Wódz nie traktował kobiet tak, jak obiecał. A Conan nie zamierzał pozwolić, by dalej cierpiały. Nawet za cenę pokoju z Bamula.

Ramię Cymmerianina wystrzeliło przed siebie i pięć mocnych palców zacisnęło się na nadgarstku Idosso. Conan uniósł się, pociągnął wodza za jego własnym ciosem i Idosso stracił

równowagę. Bamula upadłby twarzą na ziemię u stóp kobiet, gdyby Cymmerianin nie przytrzymał go z przodu, a Kubwande i reszta z tyłu.

— Ośmieliłeś się...! — zaczął któryś z wojowników.

Conan nie dał mu skończyć. — Te kobiety przysły do mnie. Pozwoliłem im odejść do ciebie, Idosso, bo wyraźnie bały się mnie. A ty obiecałeś traktować je jak należy. Teraz widzę, że mają powód, żeby bardziej obawiać się ciebie niż mnie.

Idosso parsknął i wyrwał się pomocnikom. — Każdy mężczyzna robiłby z nimi to samo. A może twoja krew jest tak mleczna jak twoja skóra, Mały Lewku, skoro nic nie wiesz o kobietach?

Conan puścił jego rękę i cofnął się. Kobiety wpatrywały się w niego z szeroko otwartymi ustami. Na ich twarzach malowało się przerażenie zmieszane z nadzieją. — Jeśli chcesz poznać kolor mojej krwi, Idosso, to spróbuj — zachęcił Cymmerianin. — Albo dotrzymaj danego mi słowa i pamiętaj, co obiecałeś tym kobietom.

Idosso wyglądał, jakby miał ochotę skoczyć na Conana, dopóki jego oczy nie napotkały spojrzenia Kubwande. Zaklął siarczyście i zrezygnował z walki. Potem złapał obie kobiety za kolczyki, poderwał je na nogi i pchnął w kierunku Cymmerianina. Opadły na kolana u stóp swego obrońcy, krzywiąc się z bólu. Z ich uszu ciekła krew. Każda objęła Conana za łydkę.

— Weź je sobie i obyś miał wiele uciechy z tych resztek z pańskiego stołu! — wysapał

wściekle Idosso. — Zabieraj je i wynoś się z ziemi Bamula, zanim zapadnie noc, bo inaczej...

Wódz nie zdążył wypowiedzieć groźby, do chaty bowiem wdarł się zlany potem wojownik i padł do jego stóp. Idosso ze zdumienia rozdziawił usta. Kubwande skinął na przybysza, żeby się podniósł.

— A to co? — parsknął wielki Bamula.

— Demony znów uderzyły... — wybełkotał mężczyzna. — Wzięły wioskę w Dolinie

Martwego Słonia...

— Wzięły?! — krzyknął Conan. — Chcesz powiedzieć, że ja zdobyły?

Przybysz albo go nie zrozumiał, albo uznał za nieupoważnionego do zadawania pytań.

Dopiero, gdy Kubwande znów dał sygnał, zaczął mówić.

Conan słuchał opowieści o ataku bestii z koszmarnego snu. Przypominały małpy, ale miały łuskę i ostre zęby olbrzymich jaszczurów, a apetyt wygłodniałych lwów. Dwudziestu wieśniaków zginęło, a

drugie tyle odniosło rany. Spichlerze zostały ograbione, chaty zniszczone, a żywy inwentarz przetrzebiony. Szkody były takie, jak po napaści zastępu wrogich wojowników.

Cymmerianin zauważył, że wojownicy przypatrują mu się badawczo, jakby chcieli

wyczytać z jego twarzy, czy wiedział o tym wcześniej. Wyglądało na to, że nie tylko Zjadacze Ryb uważają go za takiego głupca, który ma konszachty z demonami!

Conan zaklął pod nosem, życząc sobie z całej duszy, by wraz z kobietami znalazł się jak najdalej od ziemi Bamula. Ale nawet, gdyby zwrócił kobiety ich krewnym i

współplemioncom, Zjadacze Ryb nie dysponowali takimi siłami, żeby je ochronić.

Cymmerianin przeklinał wszystkie kobiety na ziemi z wyjątkiem tej jednej, której duch przechadzał się teraz wśród duchów innych dzielnych wojowników.

Gdyby nie te dwie dziewczyny, nie szukałby zwady z Idosso. Miałby wolny wybór i

mógłby pozostać wśród Bamula albo odejść, gdzie oczy poniosą i zapomnieć o tym plemienu na zawsze.

— Idosso, mój przyjacielu — odezwał się po namyśle. — Te dwie dorodne niewiasty to zbyt hojny dar. Zanim przyjmę ten podarunek, muszę na niego zasłużyć.

— A zatem...? — mruknął Idosso. Jego pomruk wciąż przywodził na myśl groźnego

niedźwiedzia, lecz już nie rozwścieczonego lub głodnego, tylko raczej obudzonego z drzemki.

— Zatem powinniśmy wszyscy razem wyruszyć do Doliny Martwego Słonia i zobaczyć

dzieło demonów — podsunął Conan. — Dopiero, gdy pomogę Bamula pokonać te

nieziemskie bestie, zabiorę do siebie kobiety. Ale, na Croma, najpierw sam zdobędę sobie miejsce do życia, zanim zaprowadzę tam jakąś niewiastę! Conan z Cymmerii nie przyjmuje darów rzuconych mu jak psu kość! Niech lepiej każdy Bamula o tym pamięta!

Patrząc wojownikom prosto w oczy, Conan bez trudu odgadł, co myślą. Ich spojrzenia mówiły wyraźnie: ta wyprawa z pewnością pokaże, czy Amra to wielki wojownik, czy przyjaciel demonów.

Tylko ze wzroku Kubwande nie sposób było coś wyczytać. Cymmerianin zastanawiał się, czy jego życie wśród tego plemienia byłoby łatwiejsze, gdyby młodszy wódz nie umknął

przed jednym z tych demonów w ciele jaszczuromałpy.

Ale każdy dostaje to, co mu sądzone. Los Conana zależał od woli Croma i Cymmerianin musiał się z tym pogodzić, a nie popychać ku śmierci kogoś, kto nie wyrządził mu żadnej krzywdy.

Spojrzał w dół na kobiety. Z ich oczu mógł jeszcze łatwiej niż z oczu wojowników odczytać, co myślą. Pragnęły, żeby Conan otrzymał na tyle zaszczytny tytuł, by mocje chronić. Po tym krótkim okresie, gdy pozostawały na łasce Idosso, nie robiło im różnicy, czy Cymmerianin jest biały czy czarny, brązowy czy czerwony, żółty jak lud Khitai, czy nakrapiany jak Ludzie Psy ze starych baśni, byle tylko wziął je pod opiekę.

Conan podniósł je z ziemi i otoczył ramieniem. — No więc... — warknął do

zgrupowanych wojowników. — Co na to powiedzą Bamula? Będą stać i gapić się, dopóki sam nie znajdę włóczni i placków i nie wyruszę, mając do pomocy tylko dwie słabe niewiasty?

Wyglądało na to, że Bamula nie miałoby nic przeciwko temu.

Na północy, w kraju Piktów, Lysenius wyczerpał swój zapas przekleństw. Stało się to w chwili, gdy cierpliwość jego córki też się wyczerpała. Scyra odważyła się nawet zwrócić mu ostro uwagę, że marnuje tylko siły i straszy Piktów, którzy go słyszą.

— Ci, co są tak blisko to tchórze! — odparł. — Lepiej, żeby umarli ze strachu, zanim spłodzą tchórzliwych synów!

— Niektórzy na pewno to zrobią — powiedziała z uśmiechem. — Ilu z nich mogłoby mnie poślubić?

Uśmiech przybladł na jej twarzy, kiedy ojciec szturchnął ją w bok. Niezbyt mocno, ale też niezbyt lekko. — Nie żartuj, dziewczyno. Poszłoby za nami dziesięć klanów, gdyby ich wodzowie wieli nadzieję, że urodzisz im synów.

Na jej obliczu pozostał cień uśmiechu, dopóki ojciec nie odwrócił się. Nie zmieniła pozycji i nie opuściła głowy nawet wtedy, gdy wyszedł z komnaty i oddalił się korytarzem.

Wiedziała, że udał się do innej komnaty, by zmagać się ze zwojami stygijskich papirusów.

Nie całkiem na próżno. Wciąż z wielką gorliwością starał się opanować sztukę posługiwania się zaklęciem władającym przejściem między światami. Nie wystarczyła mu umiejętność używania go na chybił trafił. Pragnął nauczyć się, jak przenosić coś (lub kogoś) z jednego wybranego miejsca na ziemi do drugiego!

Dziewczyna wzdrygnęła się, nie tylko z powodu chłodu panującego w grocie.

Słyszała, jak ojciec pomrukiwał w nocy, że złożenie krwawej ofiary pomaga w opanowaniu tego i innych zaklęć. Najlepiej poświęcić kogoś z najbliższej rodziny, a poza nią ojciec nie miał żadnych żyjących krewnych. Nie tylko w tym zimnym kraju, do którego przywędrowali razem, bo ich los w ojczyźnie był przesądzony, ale na całym świecie.

Krew kogoś z rodziny, lub... krew wielu ofiar. Czyżby przyszło jej wybierać między złożeniem w ofierze siebie a poślubieniem krzywonożnego wodza Piktów, by zdobyć krew jego dwudziestu wojowników, żon lub niewolników?



Drżenie ustąpiło, ale dziewczyna czuła teraz mdłości. Jak nigdy przedtem pragnęła pogłębić swą wiedzę na temat magicznej mocy ojca.

Niewiele jej opowiadał. Zbyt mało, by mogła się dowiedzieć tyle, ile chciała. Sama uczyła się potajemnie i bardzo ostrożnie, bo i nawet przed rozpoczęciem poszukiwań zaklęcia otwierającego wrota demonów wiedziała, że niewłaściwe posługiwanie się magią to

niewybaczalny występki.

Lecz ostrożność miała swoją cenę. Spędzała czas wśród papirusów i fiolek kosztem innych zajęć. A po śmierci matki na jej barkach spoczywało mnóstwo obowiązków. Od chwili, gdy przed laty ludzie uzbrojeni w łuki i sznury przyszedli po jej ojca, żaden sługa nie odważyłby się spędzić choćby jednej nocy w Grocie Czarownika. Gotowała, sprzątała, prała i cerowała odzież, a po pracy przy blasku świecy uczyła się mało znaczących zaklęć.

Ale te czary już jej nie wystarczały. Do czego mogły się przydać? Do podgrzania zupy lub do zwabienia ptaków w sidła? Choć, czemu nie? Każda zaoszczędzona kropla jej potu, każda wolna chwila, oznaczała możliwość pogłębiania wiedzy.

Ojciec nie interesował się, jak sobie radzi z pracami domowymi. Zauważyłby tylko, że coś zrobiła źle. Zawsze taki był, nawet przed śmiercią matki.

Mamo, mogłaś oszczędzić mnie i ojca, nie odchodząc z tego świata. Może cię nie doceniał, ale gdybyś żyła, nie zżerałaby go żądza, żeby cię pomścić.

Lecz to było tylko głupie dziewczęce życzenie, a ona bardzo szybko przestawała być głupią dziewczynką. Każdy dzień przybliżał ją do chwili, gdy stanie się mądrą kobietą albo zginie.

Lub też... będzie żałowała, że nią była.

Kubwande nie był zaskoczony, że człowiek, zwany Conanem lub Amrą, zabrał ze sobą dwie kobiety z plemienia Zjadaczy Ryb, gdy wyruszyli do Doliny Martwego Słonia. Nikt, kto śmiał podnieść na Idosso rękę w ich obronie, nie zostawiłby ich w wiosce, gdzie wielki wódz miał tuzin oddanych przyjaciół gotowych zabić je z zemsty za to, że go znieważono.

Rzecz jasna, to nie ci przyjaciele zostaliby zwycięzcami. To ich krew splamiłaby ścieżki wioski i to ich kości znaleziono by nad ranem na skraju dżungli ogryzione przez hieny.

Część tych, których Idosso uważał za swoich zaprzysiężonych popleczników, była związana jeszcze mocniejszymi przysięgami z Kubwande (a pozyskanie przychylności czarowników i czarownic odbierających te przysięgi kosztowało młodszego wodza wiele dorodnych krów).

Inni przyjaźnili się tylko z Kubwande, z nikim więcej spośród Bamula. Ludzie, którzy bali się podzielić los tych, co okradają czarowników lub sypiają z własnymi siostrami, gotowi byli zrobić dla człowieka znającego ich sekrety znacznie więcej niż pilnowanie kobiet Zjadaczy Ryb.

Oczywiście przelanie krwi przyjaciół Idosso w celu zatrzymania Conana wśród Bamula stanowiło

ryzykowną grę. Ale odkąd Kubwande poznał smak hazardu, nigdy nie grał innymi kośćmi niż własnoręcznie rzeźbione i innymi muszlami niż własnoręcznie malowane. Teraz jego pionkami w grze byli ludzie, ale ich też własnoręcznie ukształtował i nie mogli go niczym zaskoczyć.

Kubwande niepokoiło tylko jedno: czy aby biały wojownik we jest bardziej biegły w grze i to o dużo wyższe stawki niż on i ktokolwiek z Bamula.

Po dwóch dniach szybkiego marszu wojownicy i kobiety dotarli do Doliny Martwego

Słonia i trzeba było zapomnieć o wszelkich osobistych rozgrywkach.

Wioska przedstawiała taki widok, że nawet Cymmerianinowi, który oglądał w życiu więcej krwawych pobojuwisk niż liczył lat, przeszły ciarki po plecach. Tyle że tu przynajmniej nie zginęli ani jego przyjaciele, ani sprzymierzeńcy, lecz ludzie zupełnie mu obcy.

Już z odległości dwóch dalekich rzutów włócznią każdy poznałby, że w dolinie padły martwe nie tylko słonie. Nieco bliżej, w powietrzu unosił się tak gęsty odór śmierci, że można go było krajać nożem.

Nie wszystkie chaty zostały spalone, zrównane z ziemią lub stały się grobowcami mieszkańców. Niektóre ocalały i w ich ciemnych wnętrzach Conan dostrzegł ukrywające się postaci.

Kilku najodważniejszych wieśniaków, ośmielonych przybyciem oddziału Bamula, wyszło na światło dzienne szarego poranka. Unikał jednak jak ognia zbliżania się do środka wsi, gdzie gęsto zalegały trupy.

Kiedy słońce wzeszło wyżej i mgła się rozwiła, a niebo zmieniło barwę z szarej na niebieską, zaczęły się zlatywać owady. Jeden widok na zawsze pozostał w pamięci Conana: niespełna roczne dziecko rozprute od gardła po brzuch z wyrwaną ze stawu nóżką.

Nad niewidzącymi oczami małego trupa brzęczały muchy, a po czerniejącym ciele pełzały jakieś mniej znane robaki. Zwłoki już wcześniej poszarpały inne stworzenia żywiące się padliną.

Pośród ludzkich zwłok leżała martwa jaszczuromalpa. Pokonując obrzydzenie wywołane odorem, Conan zbliżył się do niej na długość włóczni i przyjrzał się dokładnie nieżywemu

„demonowi”. Tak, jak zawsze zauważał nie znaną mu broń i zbroję zabitego wroga, teraz dostrzegł mocne i słabe punkty bestii.

Ramiona zwierzęcia nie różniły się od przednich łap zwykłej małpy, ale tak długich tylnych kończyn i grubego ogona Conan jeszcze nie widział u żadnego stworzenia tego gatunku. Od podstawy ogona do karku grzbiet potwora pokrywały krótkie kolce przechodzące w grzebień na szczycie czaszki. Conan szturchnął włócznią łuskę chroniącą tułów stwora. Była bardziej odporna na przebicie niż skóra małpy, ale ostra broń mogła przez nią przejść. Świadczyło o tym pół tuzina strzał i tyleż włóczni sterczących ze zwłok. Czaszkę roztrzaskało potwornie silne uderzenie maczugą.

Conan rozchylił włócznią pysk zwierzęcia. Na zębach zobaczył zastygłą krew i kawałki ludzkiego ciała, ale brudne kły bardziej przypominały mu lamparta niż goryla. W swej ojczyźnie te stworzenia musiały żywić się mięsem.

— Ale nie w tym kraju — powiedział sam do siebie. — Na Croma, nie w tym kraju! Nigdy więcej!

— He...? — zapytał Idosso, po czym pokrył zmieszanie, wznosząc swój ulubiony okrzyk wojenny. Ptaki, pożywiające się padliną na obrzeżach wioski, poderwały się w powietrze z piskiem i

wrzaskiem. Wieśniacy wzdrygnęli się, jakby Idosso nagle zamienił się w jedną z jaszczuromałp.

— I co, Amra? — warknął wódz. — Czy to obwąchiwanie i poszturchiwanie coś ci dało?

Mówią, że masz więcej zmysłów niż zwykły człowiek.

— Ci, co nic nie wiedzą, zwykle dużo gadają — odparł Conan. Kiedy Idosso łypnął na niego wilkiem, dodał. — Ale tacy mądrzy ludzie jak ty i ja nie słuchają ich.

Ta dyplomatyczna odpowiedź przyniosła oczekiwany skutek. Idosso przestał patrzeć na Cymmerianina spode łba i tylko zmarszczył brwi jak człowiek, który zastanawia się, co dalej począć. Conan już wiedział, ale wątpił, by Idosso z wdzięcznością przyjął jego rady.

— Plecy, ochraniać kobiety i dzieci! — krzyknął wódz. — Piers i brzuch, okrążyć wioskę!

Ramiona, do mnie! — Zwyczajem Bamula, każdy duży oddział dzielił się podczas wyprawy wojennej na cztery pododdziały, nazywane częściami ciała. Ramionami zwano przednią straż, czyli zwiadowców. Piers i brzuch określały główną formację uderzeniową złożoną z najsilniejszych i najbardziej bitnych wojowników. Plecy zamykały maszerujący pochód.

Składały się z bardzo młodych wojowników, którym niedawno wręczono włócznie, lub ze starych mężczyzn, którzy wkrótce mieli wsunąć swe dzidy pod dachy własnych chat. Rytuał

ten oznaczał u Bamula, że człowiek jest już za stary, by walczyć.

Cymmerianin nie był zaskoczony, że obaj wodzowie są w innych pododdziałach.

Kubwande kroczył z ramionami, Idosso zaś z brzuchem.

Conan nie odzywał się, gdy ludzie rozbiegli się, by wykonać rozkazy wodza. Wycofał się ze środka wsi, żeby nie musieć dłużej zatykać nosa.

Niektórzy Bamula sprawiali wrażenie dobrze znających wojenne rzemiosło. Poruszali się na tyle szybko i czujnie, że zadowoliliby każdego dowódcę. Inni po prostu udawali, że robią, co mogą.

Taką mieszankę Conan widywał już w różnych armiach, z wyjątkiem tych formacji, gdzie służyli doborowi żołnierze lub hałastra wyłapywana z ulic i gospodarstw przez królewskich sierżantów.

Bamula nie pokonaliby zaprawionych w boju przeciwników z cywilizowanych krajów, ale też nie musieli. W wojnach plemiennych i starciach z łowcami niewolników,

przeprawiającymi się czasem przez morze lub granicę stygijską, radzili sobie wystarczająco dobrze. Teraz miało się okazać, czy równie dobrze poradzą sobie z czekającym ich zadaniem przepędzenia demonów, a w każdym razie stworzeń zesłanych na ich ziemie za sprawą magii tak nikczemnej, jak każdy demon.

Conan podszedł do Idosso i oddał mu honory należne wodzowi tylko nieznacznie

przewyższającym go rangą. Wykonał też inne kurtuazyjne gesty podpatrzone na „Tygrysicy”

u wojowników Suba. Miał nadzieję, że w kraju Bamula nie zostaną odebrane jako obraźliwe.

— Mów, Amra — zezwolił Idosso. Jego głos brzmiał władczo, ale Conan uchwycił w nim nutę znużenia bojami, jakie musiał toczyć, by zostać wodzem.

Cymmerianin przynajmniej raz współczuł zwalitemu Bamula. Nie zapomniał własnych bitew z czasów, gdy był jeszcze młodym dowódcą ani nieopisanej przyjemności, jaką sprawiało mu stawianie czoła nowym wyzwaniom i udawanie, że nic sobie nie robi z niebezpieczeństw.

Ta przyjemność była częścią codziennego żołnierskiego życia. Wolał ją od picia podłego wina i obłapywania podstarzałych niewiast podających do stołu. Tymczasem Idosso zdawał

się uważać ją za jedną z ulubionych kpin bogów.

— Wątpię, bym powiedział ci coś, czego sam od dawna nie wiesz — zaczął Conan. — Czy któryś z wieśniaków opowiedział, jak zabili jedną z tych bestii?

— Nie, ale czego oni mogą nauczyć naszych wojowników? Conan prawie wybaczył Idosso jego ignorancję, słysząc słowo „naszych”. Uprzejme odzywanie się do białych ludzi z pewnością nie sprawiało Idosso przyjemności, ale opanował tę umiejętność i wykorzystywał

ją, gdy wymagały tego okoliczności.

Jeśli Kubwande sądził, że wielki wódz jest za głupi na to, by być czymś więcej niż tylko marionetką w jego rękach, to mógł się srodze zawieść. A chwila, w której zrozumie swój błąd, mogła być ostatnią w jego życiu.

— Tylko bogowie to wiedzą, ale wciąż się nad tym zastanawiam — odrzekł Cymmerianin.

— Te jaszczuromałpy wyglądają na zwierzęta stworzone przez naturę, jak dzik czy niedźwiedź. Broń wojowników może je uśmiercić. Tylko ilu ludzi przy tym zginie?

— Myślisz, że wojownicy Bamula lękają się śmierci?! — Idosso nie potrząsnął bronią, wystarczył ton jego głosu.

— Zapewne mniej niż ja — stwierdził Conan. — Lecz nawet oni mogą nie chcieć ginąć, dopóki wszystkie demony nie zostaną zgładzone. Jeśli oddamy życie w starciu z tymi jaszczuromałpami, to co będzie, kiedy przez wrota demonów przybędzie następna horda potworów?

Na twarzy Idosso odmalowało się tyle niepokoju, na ile pozwalała jego mimika. Conan dalej wykorzystywał swoją przewagę.

— Każdy człowiek poczułby strach, widząc, co spotkało tę wioskę. Gdyby porwano jego kobiety i rozpruto ciało jego syna, jak to leżące tam dziecko...

Idosso spojrział w tamtą stronę i jego twarz ożyła. — Więc znajdziemy wrota demonów i zniknijmy je.

— Właśnie. A jeśli zajdzie potrzeba, zagroźmy je naszymi własnymi ciałami. Ale najpierw musimy dowiedzieć się czegoś więcej. Porozmawiajmy z wieśniakami.

Idosso stał przez chwilę jak posąg. Potem potrząsnął głową tak gwałtownie, że zdobiące ją karmazynowe pióra zatańczyły jak gałęzie na wietrze.

— Ramiona, przeszukać wioskę! — krzyknął. — Wszystkich, którzy mogą mówić do mnie!

Ale już!

Wojownicy uderzyli pięściami w ziemię u stóp wodza. Idosso splunął w to miejsce.

Mężczyźni klepnęli się otwartymi dłońmi w czoła, sformowali dwuszereg i biegiem ruszyli przed siebie, trzymając wysoko włócznie, a na ramionach tarcze.

— Czyja też mogę...? — zapytał Kubwande, który wyrósł nagle jak spod ziemi. Ale Conan nie był zaskoczony. Taki człowiek jak Kubwande musiał mieć dar bezszelestnego poruszania się.

— Nie sam — warknął Idosso. — Nie masz jaszczurze] łuski, żeby ochroniła twoje plecy przed włócznią.

Conan nie roześmiał się z dowcipu.

— Czy ja wystarczę, żeby je ochronić? — spytał tylko.

— Czy jestem godzien tego, by chronił mnie Amra...? — zaczął Kubwande, ale

Cymmerianin przerwał mu.

— Zachowaj pochlebstwa dla tego, kto będzie chciał ich słuchać — doradził.

Bamula wyglądał, jakby otrzymał policzek. Cymmerianin zastanawiał się, czy nie wyraził

się zbyt dosadnie lub czy nie powiedział czegoś, czego nie zamierzał. Jego znajomość miejscowego języka poprawiała się z każdym dniem, lecz daleko jej było do doskonałości.

— Walczyłem na wielu lądach i morzach — wyjaśnił. — Ale w rym kraju nie jestem

wojownikiem tak długo, jak ty. Na pewno wiesz więcej ode mnie, o ile nie jesteś małym dzieckiem, które trzeba nosić na rękach.

— Jeśli jest, to żadna kobieta nie spłodziła nigdy większego dziwoląga — mruknął Idosso.

— No, idźcie poszukać tego, co chcecie znaleźć. A może uważacie, że to mnie potrzebna jest niańka?

Conan i Kubwande woleli pozostawić to pytanie bez odpowiedzi.

Obaj mieli mniej do roboty, niż się spodziewali, dopóki nie doszli do przeciwległego krańca wioski. Wieśniacy z bliżej stojących chat przyjęli na siebie cały impet uderzenia jaszczuromałp i większość tych, którzy nie zginęli, wzięła nogi za pas. Pozostali tylko starcy i dzieci oraz ci, co się nimi opiekowali.

Podzieleni na pary wojownicy Bamula zajęli się nimi bardzo gorliwie. Siłą wyciągali ich z chat i grozili pobiciem maczugami, jeśli nie powiedzą, co się zdarzyło w wiosce. Kubwande zbeształ najbardziej krewkich wojowników, gdyż zamiast zbierać informacje, siali strach.

Conan zrobiłby to samo, ale młody wódz go ubiegł.

I dobrze się stało. Cymmerianin wiedział, że wieśniacy należą do plemienia Mniejszych Bamula i ich dialekt różni się od języka Większych Bamula, wśród których przebywa. Gdyby nawet mieszkańcy wioski chcieli wskazać mu drogę do wrót demonów, mógłby mieć

trudności ze zrozumieniem ich. Poza tym, za wcześnie było na sprawdzanie, czy wojownicy zechcą słuchać jego rozkazów.

Dwaj mężczyźni ostrożnie posuwali się naprzód, obserwując chaty, zagrody i pola. Chaty pozostały tu w większości nietknięte, choć świeciły pustkami, ale wiele zagrod i pól uległo zniszczeniu po przejściu jaszczuromałp. Krowy i kozy leżały w wyschniętym błocie zmieszonym z krwią. Ich rozprute brzuchy obsiadły roje much. Płoty zostały poprzewracane, a kiełkujące zboża i uprawy ignamu stratowane.

Kilkunastu wieśniaków śmieiej wychyliło głowy z chat niż mieszkańcy wioski zauważeni przez Conana wcześniej. Zobaczył wśród nich młode kobiety. Zastanawiał się, czy posłać po swoje dwie służące. Może łatwiej dowiedziałyby się czegoś od miejscowych kobiet.

Nie pojawili się żadni wojownicy, nawet brodaci starcy czy młokosy. Bez wątpienia wśród ciał rozrzuconych po splamionej krwią ziemi były zwłoki wielu z nich. Inni zapewne towarzyszu' uciekinierom. Ale Conan zastanawiał się, czy tylko tyloma wojownikami mogła się poszczycić Dolina Martwego Słonia tego ranka, gdy uderzyły jaszczuromałpy.

Nie odezwał się i przestał o tym rozmyślać. Lecz począł uważniej przyglądać się chatom. A kiedy Kubwande na niego nie patrzył, Cymmerianin obserwował go spod oka.

W kraju Piktów Lysenius dawno przestał kłąć z wściekłości i pogrążył się w posepnym milczeniu. Ale zanim zamilkł, Scyra zdążyła się dowiedzieć, że ojciec ma nowy problem z przejściem między światami.

Kiedyś problem polegał na tym, jak je otworzyć. Teraz stało otworem i nie chciało się zamknąć. Wrota rozciągały się od dalekich dżungli gdzieś na południe od Khitai aż po jakieś miejsce w sercu Czarnych Królestw. Wprawdzie samo to, że Lysenius o tym wiedział, oznaczało, iż posiada teraz znacznie więcej wiedzy niż kiedykolwiek przedtem, ale był

bezzadny jak dziecko.

Nie żeby Scyrę zbyt obchodziły dżungle i zamieszkujące je resztki rasy z epoki, zanim na ziemi pojawił się pierwszy człowiek. Ale nie był jej obojętny los Czarnych Królestw, gdzie (tak przynajmniej słyszała) roiło się od nieustraszonych wojowników, zdolnych pokonać horde potworów z taką łatwością, jak odbyć poranne ćwiczenia.

Martwiła się, że w końcu niepowodzenia doprowadzą ojca do szaleństwa. Nie bardzo wiedziała, jak temu zaradzić. Gdyby popadł w obłęd, mogłaby próbować go leczyć, lub przynajmniej opiekować się nim, ale pod warunkiem, że będzie żyła.

Nie traciła więc czasu. Mobilizowała ją świadomość, że wkrótce może być zdana tylko na własne siły, a niewiele jeszcze umiała.

Obawiała się też, że znajdzie się na łasce Piktów, a dla nich słowo „litość” równało się niemal przekleństwu. Bez trudu wykradła skóry ze schowków w grocie, a większość czarodziejskich zaklęć miała w głowie.

Kłopot sprawiały jej teraz maści i zioła. Niełatwo byłoby wynieść odpowiednią ilość bez wiedzy ojca. Później, o innej porze roku, mogłaby nazbierać je sama, gdyby utrzymał się pokój z Piktami z klanu Sów. Ale wczesną wiosną Sowy nie strzegły ziem wokół groty Lyseniusa.

Jeśli bogowie pozwolą (a przywołała wszystkich oprócz Set), uda się jej na krótko wcielić w inną postać. A gdyby ten krótki czas nie wystarczył, pozostanie jej do wyboru albo już zawsze żyć w skórze zwierzęcia, albo powrócić i narazić się na gniew ojca.

Skłonna była nawet modlić się do Set i złożyć ofiarę Władcy Węży, jeśli oszczędziłby jej tego wyboru.

Z czasem Conan zaczął się zastanawiać, czy „wioska” w Dolinie Martwego Słonia nie ciągnie się przypadkiem aż do ziem plemienia Suba lub do samego morza. Obaj z Kubwande pokonali już taki szmat drogi, że na tym terenie zmieściłoby się jedno z mniejszych miast Turami albo posiadłość ziemską magnata handlowego z Argos.

Ale przynajmniej zostawili za sobą odór jatki, a im wyżej było słońce, tym bardziej smród stawał się nie do wytrzymania. Złocista kula wzniosła się już nad wierzchołki drzew i rozproszyła resztki mgły. Obudziła też te dzienne ptaki i zwierzęta, które włóczyły się po leśnych ostępach do świtu. Ich głosy dołączyły do zwykłej wrzawy panującej w dżungli. W

końcu Conan przestał słyszeć odgłos własnych kroków i mówiąc do Kubwande musiał podnosić głos.

Zauważył, że w polu widzenia nie ma innych zwiadowców Bamula i nawet ślady ich stóp pojawiają się coraz rzadziej. Mógł je odróżnić od śladów wieśniaków; ci ostatni nosili obuwie, w którym wielki palec był odsunięty daleko od czterech pozostałych. Kubwande i Cymmerianin oddalili się spory kawałek od towarzyszy, a mogli ich potrzebować w razie spotkania z wrogiem.



Ale nie spotkali nikogo przez czas potrzebny doświadczonej tancerce w dobrej gospodzie na zrzucenie z siebie szat. Tymczasem dotarli do części wioski (lub może była to następna wioska), gdzie chaty stały schowane głęboko w młodej dżungli. Albo to dżungla zaczęła z powrotem wyrastać między nimi.

W każdym razie, chaty były niskie, nędzne i tonęły wśród drzew i pnączy. Pola zdawały się kulić pod naporem dżungli. Tylko solidne zagrody dla bydła i wybiegi dla drobiu najeżone kolcami dumnie stawiały jej czoło.

Conan widywał takie zabezpieczenia w innych krajach. Chroniły zwierzęta i ptactwo przed drapieżnikami podchodzącymi do ludzkich siedzib. Porwanie przez lamparta dziecka, służącej, czy nawet którejś z żon, można było przeboleć, ale utrata krwi lub choćby cielaka oznaczała katastrofę.

To nie było życie dla Cymmerianina. Na krótką chwilę spojrzął w przeszłość, jakby zaglądał do studni. Rozważał powody przymusowego opuszczenia ojczyzny. Gdy do niej powracał, nie znajdował nic, co mogłoby go zatrzymać i wędrował dalej. Kiedy spotkał Belit, uznał to za znak, że bogowie błogosławią jego wędrówki.

Teraz odeszła i znów wędrował sam. Nie dbał o to, kiedy i gdzie zakończy tułaczkę. Ale był

zbyt dumny na to, by dać się pokonać bez walki takiemu idiocie, jak Idosso, czy intrygantowi, jak Kubwande. A jeśli dojdzie do starcia, potomni jeszcze długo będą słuchać opowieści o nim.

Conan zrównał się z Kubwande i nawet wysunął się nieco na czoło. Nie miał potrzeby kroczyć za plecami Bamula, jakby go pilnował. Mogło to zostać poczytane za obrazę i doprowadzić do kłótni bez powodu. Ale też nie zamierzał mieć Kubwande za sobą.

Wystarczyło, że kobiety z bagażem szły daleko z tyłu, z pewnością dobrze strzeżone na rozkaz Idosso.

Teren zaczął opadać w dół i przez skórzane podeszwy Conan wyczuł, że ziemia jest mokra.

Minęli roztrzaskaną pułapkę na ryby, bardzo przypominającą tę skleconą przez

Cymmerianina i potem zniszczoną przez niedźwiedzia. Pochyłość kończyła się urwiskiem. W

dole zobaczyli ścieżkę prowadzącą przez ścianę pnączy ku małej kamienistej plaży. Dalej płynęła mulista rzeczka. Nie miała więcej niż trzydzieści kroków szerokości, ale sądząc po wartkim nurcie w jej środkowym biegu, była za głęboka, by przejść ją w bród. Poza tym, z pewnością czyhały w niej krokodyle i hipopotamy zamieszkujące większość rzek w Czarnym Lesie.

Conan przewiesił przez plecy włócznię i tarczę, żeby mieć wolne ręce i zeskoczył daleko na ścieżkę. Gdy dotknął ziemi, spod jego stóp prysnęły do wody kamyki, płosząc kolorową ławicę ryb.

— Co ty wyrabiasz?! — krzyknął Kubwande. Sprawiał wrażenie naprawdę

zaniepokojonego o bezpieczeństwo Cymmerianina.

— Szukam łodzi. Jeśli ktokolwiek przeprowiał się tutaj, musiał mieć łódź. Może zostały jakieś ślady.

Mina Kubwande mówiła sama za siebie. Uważał, że jeśli ktoś szuka tak blisko rzeki czegokolwiek poza złotem jest niespełna, rozumu. Conan rozglądał się uważnie i czasem przyklękał, by przyjrzeć się drobnemu żwirowi zalegającemu plażę. Starał się przy tym nie odwracać plecami ani do wody, ani do Kubwande.

W końcu spojrzał w dół rzeki. — Myślę, że były tu dwie łodzie. Odplynęły dawno temu.

Odciski stóp wskazują na wieśniaków. Ani śladu krokodyli czy hipopotamów.

— A jaszczuromałpy?

— Nie wiem, jak rozpoznać, czy tu były. Widzisz jakieś ślady walki?

Kubwande popatrzył na plażę, ścieżkę i roślinność. Bardzo zależało mu na tym, by uchodzić za tak dobrego tropiciela, jak Cymmerianin, ale nie chciał udawać, że widzi coś, czego nie ma. Conan zastanawiał się, czy tak nakazuje mu uczciwość, czy Bamula tylko próbuje go sobie zjednać ze strachu przed wrogami.

Roześmiał się. Uczciwość u takich ludzi, jak Kubwande była rzadka, niczym niewinność u sprzedajnych dziewczek. Bez względu na kolor skóry. A jeśli iqako liczył na to, że Conan sprzymierzy się z jednym intrygantem przeciwko drugiemu, to bardzo się mylił. Cymmerianin prędzej wyniosłby się z tego kraju, niż miałby się do tego poniżyć.

— Co cię tak rozbawiło, Amra?

Conana kusiło, żeby powiedzieć prawdę, choć wątpił, by Kubwande mu uwierzył.

— Coś mi przyszło do głowy. Czy wieśniacy nie uciekli jaszczuromałpom tylko po to, by paść ofiarą hipopotamów?

— Tylko duchy rzeczne to wiedzą. Ale nie są dziś rozmowne — Bamula wzruszył ramionami, odwrócił się i wspiął na wysoki brzeg.

Ledwo wydostał się na płaski teren, gdy wśród roślinności coś się zakotłowało i z gęstwiny wyskoczyło dziesięciu wiejskich wojowników. Niektórzy mężczyźni przeżyli atak jaszczuromałp i nie lękając się rzecznych potworów szukali teraz zemsty.

Nietrudno było zgadnąć, kogo uważają za wroga.

— Zabić władcę demonów! — wrzasnął jeden z nich i cisnął włócznią w Conana.

Cymmerianin błyskawicznie uniósł tarczę i odbił nadlatującą broń. Poszybowała wysokim łukiem i zniknęła w mętnej rzece.

Z następną poradził sobie inaczej. Chwycił ją w powietrzu, obrócił jak iranistański derwisz i odrzucił z powrotem tępym końcem w przód. Trafiła wojownika tuż ponad opaską na

biodrach. Wieśniak zgiął się wpół, upuścił tarczę i resztę broni i ciężko klapnął na ziemię.

Pozostał w pozycji siedzącej, łapiąc gwałtownie oddech, jęcząc i wymiotując jednocześnie.

Nadleciały jeszcze trzy włócznie, ale też nie sięgnęły celu. Utkwiły w twardej drewnianej tarczy Conana obciążonej grubą skórą. Żadna nawet go nie drasnęła.

— Nie trzymam z demonami! — krzyknął Cymmerianin. — Kubwande, ty mówisz ich

językiem! Powiedz im, kim jestem! I dodaj, że odrzucę im włócznie tępym końcem do przodu, żeby mogli ich użyć przeciwko prawdziwym demonom. Ale jeśli będą próbowali mnie zabić, to zginą od własnej broni.

Kubwande zawołał coś do wieśniaków. Kilku zwolniło, ale żaden nie przestał biec.

Czterech zsunęło się ze stromego brzegu i rzuciło na Conana z wysoko uniesionymi maczugami i pochylonymi włóczniami. Skoro nie udało im się dosięgnąć władcy demonów z dalszej odległości, byli gotowi walczyć i zabić go lub zginąć w bezpośrednim starciu.

Trudno bronić się przed takimi przeciwnikami bez przelania ich krwi. Tej sztuki

Cymmerianin nie opanował w takim stopniu, w jakim by sobie życzył. Przez wiele lat walczył

z wrogami próbującymi odebrać mu życie, więc nie było powodu, by ich nie zabijać.

Teraz sprawa wyglądała inaczej. Wieśniacy stracili mnóstwo ludzi podczas ataku

jaszczuromałp, a jeszcze więcej mogło zginąć w dżungli, zanim uciekinierzy powrócą. Conan nie zamierzał powiększać liczby ofiar i osłabiać obrońców wioski. Nie byli jego wrogami i wciąż dysponowali siłą liczebną. Mogli się przydać do rozwikłania tajemnicy wrót demonów.

Toteż wymachiwał tarczą i włócznią jak podczas bijatyk w karczmach, gdy stawką był

raczej honor niż życie. Ponieważ miał dłuższe ramiona niż wojownicy, początkowo szło mu całkiem dobrze.

Wyrzwał jednego tarczą w szczękę, a drugiego dźgnął w udo tępym końcem włóczni. Obaj upadli. Trzeci dostał w skroń włócznią użytą jak maczuga. Stracił pióropusz na głowie, wypuścił z rąk broń i podzielił los towarzyszy.

To uszczupliło szeregi napastników zdolnych do walki i ostudziło ich zapał. Conan zobaczył, że Kubwande rozprawia się na ścieżce z dwoma wojownikami spieszącymi na pomoc współplemieńcom. Jego włócznia i tarcza śmigwały w powietrzu tak szybko, że z trudem można było nadążyć za nim wzrokiem. Cymmerianin miał nadzieję, że Bamula nie posunie się za daleko i nie

pozbawi życia przeciwników.

Trzej następni wieśniacy zeskoczyli z brzegu na plażę. To wsparcie odbudowało

nadwątlone siły atakujących. Napastnicy rozbiegli się i zaczęli okrążyć Conana odwróconego plecami do rzeki. Jeden z nowych był jeszcze raczej chłopcem niż mężczyzną i popisywał się młodzieńczą brawurą. Wbiegł do wody, chcąc zająć Cymmerianina z tyłu.

Conan starał się patrzeć we wszystkich kierunkach naraz, gdy nagle usłyszał za sobą głośny plusk. Przerażenie w oczach wieśniaków powiedziało mu wszystko, zanim jeszcze dobiegł go ryk hipopotama.

Cymmerianin wykonał szybki obrót i jednym skokiem wydostał się z kręgu wojowników.

Któryś z wieśniaków zamachnął się na niego, ale włócznia Conana przetrąciła mu nadgarstek.

Napastnik zaskowyczał jak kopnięty pies i zatoczył się do tyłu, ściskając zakrwawioną rękę drugą dłonią.

Hipopotam zaciskał już wielkie szczęki na ciele chłopca. Cymmerianin dostrzegł jednak, że za sprawą jakiegoś kaprysu bogów nieszczęśnik dostał się między kły bestii. Żaden z długich jak sztylet i ostrych niczym brzytwa zębów nie drasnął ciała ofiary.

Conan wskoczył do rzeki, wzbijając fontanny wody. Jego uniesiona nad głową maczuga opadła z całą siłą na nos potwora. Zwierzę cofnęło się i rozdziawiło paszczę.

Nawet mięśnie potężnego ramienia Cymmerianina zaprotestowały, gdy chwycił chłopca za przepaskę na biodrach i wyszarpnął z pyska hipopotama.

Drugą ręką wbił włócznię głęboko w podniebienie bestii.

Potwór zaryczał i wzburzył wodę, jakby cała ławica rekinów rzuciła się w szale na zdobycz.

Próbował kłapać paszczą i dosięgnąć młokosa, a potem Conana, ale mocno wbita włócznia nie pozwoliła mu zewrzeć szczęk.

Cymmerianin ruszył do brzegu, trzymając chłopca w wyciągniętych ramionach. Obejrzał go i upewniwszy się, że nie został ranny, postawił na plaży.

— Nic mu nie będzie — powiedział. — Poszukajcie czarownicy, żeby się nim zajęła, to wydobrzeje. Na pewno poczuje się lepiej niż wy, kiedy następnym razem nazwiecie mnie władcą demonów!

Wieśniacy gapili się na niego z otwartymi ustami. W końcu jeden podbiegł do chłopca i objął go. Conan zauważył, że mężczyzna ma posiwiałe włosy i brodę.

Domyślił się, że to ojciec młodzieńca.

Tymczasem hipopotam miotał się w płytkiej wodzie, próbując pozbyć się włóczni. Tkwiła za głęboko, by mogła wypaść z rany, ale nie sięgnęła mózgu bestii.

Oszalałe z bólu zwierzę mogło przez wiele dni włóczyć się po rzece i zabić niejedną ofiarę, zanim samo padnie. Conan przyklęknął, wziął kilka nowych włóczni i wrócił do wody.

Sięgała mu do kolan, kiedy usłyszał głośny okrzyk i plusk. Zanim zdążył się obejrzeć, gromada wiejskich wojowników omal go nie przewróciła. Z trudem utrzymał równowagę.

Wieśniacy otoczyli kołem hipopotama. Dźgali go włóczniami i sztyletami i okładali maczugami, jakby walili w bęben.

Ryki konającej bestii słyhać było zapewne właśnie z takiej odległość, jak ich bębny. W

końcu martwe zwierzę zaczęła unosić woda zabarwiona krwią. Dopiero wspólnym wysiłkiem i z pomocą Conana udało się je odciągnąć od głównego nurtu rzeki.

— Nie porwał go prąd, ale mogą porwać krokodyle — ostrzegł Cymmerianin. — Lepiej wróćmy do wioski i sprowadźmy więcej ludzi. Wojownicy go przypilnują, a kobiety

poćwiartują mięso. Na Croma, nie po to zmagalem się z tą bestią, by krokodyle miały ucztę!

Musiał to powtórzyć trzy razy, zanim Kubwande go zrozumiał. Ale nawet wtedy Bamula ociągał się z odejściem. Ojciec chłopca nieskładnie podziękował Conanowi za uratowanie syna. Starszy mężczyzna nazywał się Bessu i był wodzem niższej rangi. Młokos miał na imię Govindue. Cymmerianin liczył na to, że obaj wstawią się za nim w Dolinie Martwego Słonia.

Niewiele mógłby zrobić na ich ziemi, mając przed sobą demony, a za sobą włócznie wieśniaków.

Conan zdążył przetrząsnąć zarośla, wśród których ukrywali się wieśniacy, ale niewiele znalazł. Tego się zresztą spodziewał. Tylko jedna rzecz wzbudziła jego niepokój.

Zauważył ślady prowadzące w kierunku krzaków i z powrotem. Nie były to odciski stóp wieśniaka — poznał to po złączonych palcach. Na krzewie bliżej rzeki zawisło zaś niebieskie piórko. Conan widział u mieszkańców wioski przybrania z piór, ale żaden nie nosił

niebieskich w tym odcieniu.

Z drugiej strony, rzadko trafiał się wojownik Bamula, który nie miałby w przybraniu głowy więcej piór tej barwy niż każdej innej.

Conan w skupieniu wmaszerował do wioski. Wszyscy uznali jego grobową minę za rzecz normalną po niedawnym otarciu się o śmierć w walce z rzeczną bestią. A on na wszystkie pytania miał gotową odpowiedź. Wkrótce mięso hipopotama piekło się na ogniskach i gotowało w garach, a w powietrzu unosiły się zapachy, wśród których zginął odór padliny.

# VI

Conan wdrapał się o szerokość dłoni wyżej na gałąź drzewa wznoszącego się nad dżunglą jak kościelna wieża. Gałąź zakołysała się i lekko zaskrzypiała.

Wspiął się jeszcze o krok. Teraz gałąź ugięła się, a głośnie skrzypienie nie wróżyło niczego dobrego. Przypominało dźwięk nie naoliwionych zawiasów starego grobowca w najdalszym kącie cmentarza.

Conan stwierdził, że z tego miejsca niewiele zobaczy. Ale też wiedział, że jeśli spadnie z tej wysokości, zobaczy jeszcze mniej. O ile przeżyje.

Belit nie powitałaby go z otwartymi rękami, gdyby zginął przez taki chłopięcy wybryk. A co do chłopców...

— Govindue!

— Jestem tutaj, Conanie!

— To znaczy gdzie?

— Na największej gałęzi na... chyba na tej najdalej od ciebie.

Conanowi zdawało się, że głos chłopca dochodzi z ziem innego plemienia a nie z drugiej strony drzewa, ale było ono naprawdę ogromne. Poza rym, słuch Cymmerianina przywykł do otwartych przestrzeni na lądzie i morzu. Dżungla miała magiczną moc przemieniania trzasku małej gałązki lub skapnięcia kropli wody w jakiś nienaturalny dźwięk. Trudno było odgadnąć, z jakiej odległości dochodzi, a czasem w ogóle nie dawało się tego ustalić. Conan między innymi z tego powodu nie przepadał za dżunglą, ale też nauczanie się oceny odległości w tej krainie nie przekraczało jego możliwości.

— Dobrze widzisz?

— Tak.

— A co widzisz?

— Wierzchołki wszystkich drzew na świecie, zachmurzone niebo zwiastujące deszcz i mnóstwo ptaków.

— A żadne nie wyglądają osobliwie?

Conan niemal słyszał, jak chłopak wzruszył ramionami, kiedy odpowiadał.

— Wielu z nich nie znam. A niektóre są za daleko, bym je rozpoznał. Ale nie potrafię nazwać wszystkich ptaków w dżungli.

— Pojmujesz więcej niż niektórzy wojownicy dwakroć starsi od ciebie, Govindue. Wiesz, czego nie

wiesz.

— A to takie ważne?

— Tylko jeśli chcesz żyć dwakroć dłużej niż żyjesz, chłopcze. Conanowi zdawało się, że usłyszał śmiech. Potem dobiegł go głos Govindue — Wejdiesz wyżej i dołączysz do mnie, Conanie? — Jeżeli to zrobię, następnym dźwiękiem, jaki usłyszysz, będzie odgłos mojego upadku. Bo rozprysnę się jak dojrzały melon.

— Powiedz mi, jak będziesz spadał, Conanie. Muszę to zobaczyć.

— Twój ojciec ostrzegał mnie, iż mogę żałować, że cię uratowałem. Zaczynam dostrzegać, że to mądry człowiek.

Govindue parsknął, a potem roześmiał się. Conan podejrzewał, że wyobraża sobie

Cymmerianina spadającego z najwyższego drzewa w dżungli.

Conan i Govindue nie byli jedynymi poszukiwaczami wrót demonów usadowionymi tak

wysoko nad ziemią i obserwującymi horyzont ponad skąpanymi w słońcu wierzchołkami drzew. Wielu wojowników spośród Większych i Mniejszych Bamula robiło to samo.

Wprawdzie nikt dokładnie nie wiedział, czego ma wypatrywać, ale wszyscy modlili się, by między świtem a zmrokiem nic niezwykłego nie uszło ich uwadze.

Po naradzie, kiedy już każdy z poszukiwaczy powiedział, co miał do powiedzenia i został

wysłuchany, jedno stało się jasne: wrota demonów nie są otwarte przez cały czas. Lecz gdy się otwierają, to za każdym razem prawie w tym samym miejscu.

Przeto pierwszym zadaniem było znalezienie tego miejsca. A pierwszą sugestią wysuniętą przez Conana było to, że trzeba zacząć poszukiwania z wysoka, żeby mieć dobry widok.

— W dżungli nic nie leży tak wysoko — przypomniał zebranym jeden ze zwolenników

Idosso.

— Z czubka drzewa obserwator zobaczy to samo, co z urwiska albo ze szczytu wzgórza —

odparł Conan. — Musi mieć tylko wzrok sokoła i olej w głowie. Toteż wątpię, żebyś ty coś zobaczył, nawet, gdybyś zwiślał z chmury głową w dół.

Wszysty wybuchnęli śmiechem, nawet ten Bamula, do którego Conan skierował te słowa.

Cymmerianin uznał to za dobry znak. Potulne zgadzanie się z każdym nie leżało w jego naturze.

W Nemedii czy Aquilonii (tak przynajmniej słyszał) zastęp wojowników mających takie zadanie, jak teraz poszukiwacze wrót demonów, zaznaczał każde pojawienie się tych stworów na mapach. Ale Bamula nie znali map. Conan używał ich w Turanie i później jako najemnik.

Mapy morskie były również na „Tygrysicy”, lecz nie potrafiłby nauczyć Bamula sztuki posługiwania się nimi.

Bamula znali tylko dżunglę, którą przemierzali od najmłodszych lat i swą wiedzą mogli podzielić się z Conanem. Przynajmniej jej częścią. Nie było im trudno wyobrazić sobie wielki krąg utworzony z tych miejsc, gdzie pojawiały się demony.

Toteż nawet dziecko zrozumiałoby, że wrota muszą się otwierać i zamykać gdzieś w środku tego kręgu. Pozostawało tylko obserwować krąg.

Niektórzy Bamula chcieli przypodobać się Idosso i woleli czuwać na ziemi, podobnie jak niektórzy wieśniacy pałający żądzą zemsty. Powiedzieli, że chowanie się na drzewach niczym małpy jest dobre dla niewiast albo dla mężczyzn, którzy w żyłach mają mleko zamiast krwi.

Znaleźli się nawet tacy śmiałkowie, którzy mówiąc to patrzyli jasnoskóremu

Cymmerianinowi prosto w oczy.

Kubwande potraktował ich lekceważąco. — Dżungla kryje w sobie tyle, że wszystkich plemion na tej ziemi byłoby mało, żeby strzec takiego kręgu. A demony najmniej się pilnują wysoko w górze.

— Duchy naszych zabitych krewnych będą nas nawiedzać, jeśli umkniemy przed walką! — parsknął wieśniak.

— A jeśli zostaniecie na ziemi, dołączycie do krewnych i nie zdążycie ich pomścić! —

odparł Conan. — Żaden z tych demonów nie jest łatwym łupem dla pojedynczego

wojownika. Wystąp sam przeciwko nim, a zasłużysz sobie na miano dzielnego głupca. Staw im czoło wraz z towarzyszami, a dołączysz do krewnych z krwią wrogów na włóczni!

Spojrzał na wiejskiego wodza. — Mówię prawdę, Bessu? Czyż nie zabiliście

jaszczuromałpy razem? A ci, co chcieli się mienić bohaterami, nie polegli pierwsi?

Ojciec Govindue potakująco skinął głową.

— Amra mówi prawdę. Tak było. Przysięgam na ducha mojej córki. Z tym nasieniem

demonów trzeba bić się wspólnymi siłami, a nie w pojedynkę. A wielu może przybyć i stanąć do walki jedynie wtedy, gdy dostaną sygnał. Tylko z wysoka można ich ostrzec na czas.



Obserwatorzy wdrapali się zatem na drzewa, dobosze usadowili się poniżej, by usłyszeć ich wołanie i zacząć bić w bębny, a wojownicy czekali w pobliżu, żeby usłyszeć jednych i drugich. Wrotom demonów pozostało tylko otworzyć się znowu, żeby obserwatorzy mogli je zobaczyć.

Mijał dziesiąty dzień, odkąd łowcy demonów zajęli stanowiska.

Conan nie miał zamiaru schodzić niżej i zostawiać Govindue samego tak wysoko, ale musiał poszukać sobie lepszego miejsca na drzewie. Potrzebna była mu bezpieczniejsza gałąź, zapewniająca jednocześnie dobre pole obserwacji przez zasłonę z liści.

Znalazł właśnie odpowiednią kryjówkę jakieś pięć długości włóczni poniżej, gdy usłyszał

krzyk chłopca. W głosie Govindue zaskoczenie mieszało się z trwogą. Conan ściągnął z pleców włócznię i jego potężne ramię zacisnęło się żelaznym chwytem wokół grubej gałęzi.

Drugą ręką, trzymającą włócznię, rozchylił liście.

To mógł być mały ptak oddalony na wyciągnięcie ręki. Ale instynkt myśliwego powiedział

Govindue, a potem Conanowi, że to olbrzym, tylko jeszcze bardzo daleko. Jak daleko, tego Cymmerianin nie potrafił ocenić.

Jeszcze dalej, za ptakiem, widać było nieziemski blask unoszący się nad koronami drzew.

Wyglądał jak wodospad pełen ryb o złocistych łuskach, co oczywiście było niemożliwe.

Jeśli nie patrzyli właśnie na wrota demonów, to w takim razie w dżungli musiały kryć się dwa wytwory magii. Conan wpatrywał się w blask, mrużąc oczy przed słońcem. Starał się ustalić jego położenie w stosunku do innych widocznych z góry obiektów.

Zadania nie ułatwiał mu fakt, że jedynymi takimi obiektami były wierzchołki drzew. Z

każdym dniem znał dżunglę coraz lepiej, lecz jeszcze nie opanował sztuki natychmiastowego odróżniania jednego gatunku drzewa od drugiego na odległość.

Zauważył właśnie, że jedno ma wierzchołek wyrastający w trzech kierunkach, gdy znów rozległ się krzyk Govindue. Gałęzie zakołysały się i chłopiec w okamgnieniu znalazł się tuż nad nim.

Teraz Conan też to zobaczył. Ptak szybował ku nim, jakby zwietrzył łatwy łup lub wroga.

Cymmerianin nie miał ochoty stać się tym pierwszym ani odpowiedniego ekwipunku, by zostać tym drugim. Zabrał ze sobą tylko włócznię i sztylet.

Ptak przechylił się w locie. Zdawało się, że stanął na jednym skrzydle, a każde z nich przypominało wielkością fok niedużego statku. Potem odwrócił się, pokazując odrażający, na wpół nagi brzuch koloru zakrzepłej krwi. Obrastały go rzadkie, siwe pióra o niezdrowej barwie, umazane zieloną, bagienną pianą.

Zakrzywiony dziób wyglądał na broń drapieżnej bestii. Kiedy ptak przelatował obok, Conan i jego towarzysz poczuli odór padliny.

Govindue opuścił się na gałąź Conana. Zaskrzypiała, ale nie ugięła się. Jedną ręką przytrzymał się cieńszej gałęzi, w drugiej uniósł włócznię.

Cymmerianin położył dłoń na ramieniu chłopca i pokręcił głową.

— Lepsza okazja już się nie trafi — starał się go przekonać Govindue. — Wojownicy nie unikają walki.

— My mamy inne zadanie niż walka — odrzekł Conan. Wszystko buntowało się w nim,

gdy mówił te słowa. Przez lata wojaczki wyrobił w sobie instynkt sprzeczny z tym, co powiedział. Ale taka była prawda. Dopóki ptak żył, mógł powrócić tam, skąd przyleciał: do blasku, który może być wrotami demonów, lub do jakiegoś innego miejsca łączącego w nienaturalny sposób tę dżunglę z jego domem.

Cymmerianin zastanawiał się nad tym „innym miejscem”. Nigdy nie słyszał, by dżungle Vendhii zamieszkiwały latające stwory wielkości bojowego rydwanu, choć nawet

Vendhijanie nie znali wszystkich gatunków swych ptaków. Kraj ten porastały tak przepastne lasy, że rzadko kto ważył się tam zapuszczać. A śmiałków, którzy podjęli to ryzyko, nikt już więcej nie zobaczył.

Gdy ptak nadleciał po raz drugi, Conan przyjrzał się jego szyi. Była jeszcze mniej opierzona niż brzuch i pokryta węzową łuską. Ślepia płonęły żółtym, jadowitym blaskiem i zdawały się ociekać białą posoką.

Stwór przyleciał trzeci raz i już nie skręcił. Z głośnym łopotem rozpostarł skrzydła i zawisł w powietrzu. Nagle wyciągnął długie, czteropalczaste łapy zakończone szponami i spadł na Govindue.

Nie dosięgnął celu. Chłopiec i Conan zadziałali instynktownie, jak na wojowników przystało. Jednocześnie unieśli i cisnęli włócznię. Cięższa z nich, wypchnięta potężną siłą ramienia Cymmerianina wbiła się głęboko w cuchnący brzuch ptaka. Broń Govindue trafiła w bardziej czułe miejsce — prosto w oko.

Smród padliny omal nie udusił wojowników i prawie ogłuchli od wrzasku oszalałego z bólu i wściekłości potwora. Uchwycili się gałęzi jak małpy, gdy wielkie skrzydła zaczęły trzepotać z furją. Wokół posypały się mniejsze gałązki, liście i ptasie gniazda.

Napastnik ciężko opadł niżej i zniknął z widoku, by po chwili znów się pojawić. Wznosił

się wolno, brocząc krwią z pustego oczodołu. Conan wstrzymał oddech i czekał cierpliwie, jak wielki kot śledzący swą ofiarę. Nie wiedział, czy ptak powróci i powtórzy atak, czy odleci ku

odległemu blaskowi na niebie.

Ale ranny stwór raptem złożył skrzydła, runął w dół jak kamień i skrył się w gąszczu dżungli. Rozległ się trzask łamanych gałęzi, a po chwili głucho uderzenie i drzewo Conana zdrząło jak słup palisady pod ciosem siekiery.

Przez gałęzie uniósł się ku niebu ciemny dym i swąd spalonego ciała. Conan zatkał sobie nos. Wreszcie smród rozwiął się. Govindue rozglądał się na wszystkie strony, jakby szukał

następnego ptaka. Zapomniał nawet o własnym bezpieczeństwie i Conan przygotował się do złapania go w każdej chwili, gdyby chłopiec miał zamiar spaść.

Wtem drzewo znów się zatrzęsło, jeszcze bardziej niż przedtem. Drżenie szybko ustało, ale po chwili powtórzyło się i trwało nadal.

Conan zobaczył nagle, że horyzont się przechylił. Korzenie grubsze od męskiego ramienia pękały z głośnym trzaskiem. Puściły niczym rozdarte nici i drzewo zaczęło się przewracać, jakby podciął je w tajemniczy sposób stos, na którym spłonął ptak.

Cymmerianin wyciągnął rękę i złapał Govindue. — Trzymaj się mocno, chłopcze! Nie zejdziemy w dół! Trzeba skakać!

Govindue nie odezwał się. Tym razem wiedział, że musi być posłuszny i opasał ramionami masywny tors Conana. Cymmerianin ugiął nogi, rozpostarł ręce i skoczył.

Gdy pierwsze drzewo runęło pod nimi, byli już w powietrzu i wylądowali na drugim. Gałąź uderzyła Conana w pierś, aż zaparło mu dech, i boleśnie smagnęła po rękach Govindue.

Chłopiec wyciągnął nogi, by stanąć na konarze i chwycił się jedną ręką gałęzi. Drzewo zakołysało się i zaskrzypiało, kiedy to walące się obok pociągnęło za sobą splatające je pnącza. Liany pękły, gałęzie połamały się i wszystko poleciało ku ziemi.

Do góry uniósł się dym i pył, jakby stos ze zwłokami ptaka zapłonął jeszcze raz. Conan i Govindue spojrzeli w dół na zwałony pień, szukając wzrokiem szczątków latającego stwora.

Ale zobaczyli tylko kupkę popiołu. Mogły to być spalone liście, gałęzie lub mięso. Nawet swąd rozwiął się nadzwyczaj szybko, jakby w cudowny sposób.

A raczej w magiczny sposób. Wrota demonów rzucały na dżunglę coraz więcej złych

czarów, ilekroć się otwierały. Ostatni przybysz złożył siebie w ofierze, nie wyrządzając krzywdy nikomu poza drzewami. Ale następny mógł być tak zabójczy, jak niedźwiedź

polarny i podstępny niczym jadowity wąż.

Gdy Conan zląził z drzewa, przyszło mu do głowy, że samo znalezienie wrót demonów nie musi

wcale oznaczać zwycięstwa. A z pewnością nie, jeśli strzegą ich takie potwory, jak te widziane ostatnio albo jeszcze straszniejsze.

Wówczas rodziny poszukiwaczy istotnie pograżą się w żałobie, zanim łowy dobiegną końca i wrota zostaną zamknięte.

Tej nocy Lysenius klął cicho i zapadł w sen w swej grocie na północy o wiele wcześniej niż jego córka Scyra.

Kiedy i ona wreszcie zasnęła, wiedziała już dużo więcej o przejściu między światami i przez to miała koszmarne sny. Wrota za każdym razem coraz bardziej zmieniały stworzenia, które przez nie przechodziły. Ptak nigdy przecież nie stanąłby w płomieniach w naturalny sposób.

Ojciec nie opanował sztuki posługiwania się mocami rządzącymi przejściem.

Teraz te moce rosły, przechodząc zdolność pojmowania zwykłego śmiertelnika. Wyglądało na to, że ojciec próbował połączyć przejście z Pustkowie Piktów zamiast z Vendhią i potem je zamknąć. To połączenie nie było pewne, ale nie ulegało wątpliwości, że przejście między światami pozostało otwarte. Czy tak miało zostać aż do chwili, gdy w każdym kraju, z którym będzie połączone, zapanuje chaos?

Scyra spała więc i śniła o przestawieniu wrót tak, by połączyły Pustkowie Piktów i Czarne Królestwa. Śniła o wojownikach, którzy nie zmienieni przez magiczne moce przedostają się wrotami i wspinają na wzgórze. A na ich czele kroczy olbrzym w przybraniu z piór. U boku ma miecz, a czarne, długie włosy opadają mu na tył dumnie uniesionej głowy.

Jeśli chodzi po nią, to przynajmniej nie jest Piktem. Co więcej, wygląda na wojownika, który byłby zdolny pokonać każde z trzech plemion należących do tej nikczemnej rasy.

## VII

Conan i Govindue nie byli jedynymi tropicielami wrót, którzy widzieli blask nad

wierzchołkami drzew. Inni obserwatorzy przyglądali mu się nawet dłużej, bo nie musieli walczyć z gigantycznymi ptakami: (Jednego ukąsiła żmija drzewna i umarł, i choć nie była to naturalna śmierć w gronie przeszukujących dżunglę, nie miała nic wspólnego z czarami.) Wszyscy siedzący na drzewach obserwatorzy opisali potem to, co widzieli; jedni bardziej, inni mniej dokładnie. Kubwande słuchał każdego z jednakową uwagą, a obok niego siedział

Idosso i zdawał się słuchać niemniej uważnie.

Conan też słuchał i był zadowolony, że rozpoznaje sporo miejsc, które przewędrował, zanim otworzyły się wrota demonów. Dobrze było wiedzieć, że nie zapomniał, jak szybko rozeznac się w położeniu pola walki.

Oczywiście w dżunglach szukał ucieczki od morza i gorzkich wspomnień. Lecz obce i złośliwe moce zamieniły tę ziemię w pole bitwy, a wrota demonów stanowiły klucz do pokonania tych mocy.

Teraz wyglądało na to, że wojownicy mają klucz do znalezienia tych wrót.

Tak przynajmniej powiedział Kubwande.

— Od świtu będziemy obserwować Przeprawę Hipopotamów na Afui — oznajmił. — Jedni z góry, inni z ziemi. A wszystkim przyda się najlepsza broń i odwaga w sercu.

— Zatem jesteśmy gotowi — odezwał się Idosso. — Przecież wszyscy są dobrze uzbrojeni i odważni. Niech nikt nie śmie w to wątpić!

Conan miał ochotę roześmiać się Kubwande w twarz, gdyż mina młodszego wodza

wskazywała, jak należy ukrywać gniew po obraźliwej uwadze przyjaciela. Nie byłoby to jednak rozważne. Cymmerianin zauważył, że obaj wodzowie szybko stają się zarówno rywalami, jak sprzymierzeńcami. Zamknięcie wrót demonów było marzeniem każdego z wojowników i w obliczu takiego zaszczytu dawne przyjaźnie przestałyby się liczyć.

Taka rywalizacja nie była dla Conana niczym nowym. Przez wiele lat w różnych krajach sięgał po wszystko, gdy tylko nadarzała się okazja — od pereł po przywództwo. Pewnego dnia mógłby sięgnąć nawet po tron, ale nie zależało mu na tym aż tak, jak wielu innym. Król nie był sam sobie panem w takim stopniu, jak uważała większość ludzi, za to był celem wielu wrogów.

Co Conan mógłby zdobyć w Czarnych Królestwach, sam nie bardzo wiedział, ale i nie dbał

o to. Przynajmniej tak długo, jak długo nie miał więcej wrogów, niż mógł pokonać. A to mu na razie wystarczało.

Czarne Królestwa były ojczyzną mężnych wojowników, ale Cymmeria jeszcze

mężniejszych.

Gdy o świcie wyruszyli nad rzekę Afui, zanosiło się na deszcz. Mgła podnosiła się z wolna ze ścieżek i otulała cienkim welonem kwiaty i kiście soczystych owoców o barwie purpury godnej królewskiej szaty. W dole i w górze brzęczały owady.

Conan maszerował w przedniej straży, czyli w ramionach. Nie widział obu kobiet od przedostatniej nocy, ale nie zauważył, by ktoś je skrzywdził. Może trochę schudły od dźwigania zapasów wody i jedzenia, lecz siniaki zniknęły, a ich oczy życzliwie spoglądały na wielkiego Cymmerianina.

W pobliżu Afui oddział rozdzielił się i trzy grupy podążyły różnymi szlakami.

Conan obawiał się, że może to odciąć część wojowników od pozostałych, gdyby

potrzebowali pomocy. Ale również tego, że gdyby szli razem, zbyt dużo ludzi znajdzie się jednocześnie na brzegu rzeki. Czas i bogowie mieli pokazać, co jest bardziej ryzykowne.

Idosso był w wyjątkowo dobrym humorze. Próbował nawet podśpiewywać, dopóki

Kubwande nie zwrócił mu delikatnie uwagi, żeby zachowywał się ciszej.

Conan wiedział, że młodszemu wodzowi chodzi o bliskość dzikich zwierząt, lecz wątpił, czy tylko o to. Cymmerianin nie miał słuchu, ale nawet jemu zdawało się, że głośne i basowe wycie Idosso przypomina bardziej porykiwanie parzącego się byka niż śpiew.

Szlak kończył się krętą ścieżką opadającą ku rzece. Przeszli kilkaset kroków i Conan wyprowadził swych wojowników na otwartą przestrzeń. Kiedyś była tu spora wioska, ale na długo przed rozwarciem się wrót demonów zmiotły ją z powierzchni ziemi wojny plemienne.

Jej szczątki na nowo porastała dżungla.

Nie brakowało tu dobrych kryjówek, lecz niewielu mężczyzn chciało z nich skorzystać.

Większość stanęła na brzegu i patrzyła na wodę. Drobne fale na powierzchni wskazywały, że głębiny leniwie płynącej rzeki są siedliskiem hipopotamów, krokodyli i drapieżnych ryb.

Za wodą leżał krąg pustego gruntu. Jakby jakaś ogromna bestia dużo większa od słonia odcisnęła tam swój ślad, miażdżąc młode drzewka, zarośla, kwiaty, paprocie i pnącza. Conan przyjrzał się polanie. Nie zobaczył tam zdeptanej ziemi. Ucierpiała tylko roślinność i pobliskie drzewa. Wiele z nich miało obcięte gałęzie i odartą korę i to z nienaturalną precyzją.

Wielki, biały grzyb z czarnymi, niezdrowymi plamami został przepołowiony i łażyło po nim robactwo.

Kiedy na brzegu pojawiły się pozostałe grupy, Conan rozejrzał się za przeprawą na drugą stronę. Nie

zamierzał przepływać rzeki ani oglądać tajemniczego kręgu, nie mając szybkiej drogi odwrotu. Jeśli nawet okrągła polana nie była wrotami demonów, to w każdym razie nie pasowała do dżungli.

Cymmerianin zwinął dłonie w trąbkę. — Ho! — krzyknął. — Ci z siekierami, do mnie! —

Topory Bamula miały żelazne ostrza, które zbyt łatwo się tępiły, jak na gust Conana, ale tych narzędzi było pod dostatkiem, a Bamula należeli do tęgich drwali. W niedługim czasie mogli ściąć kilka niewielkich drzew, powiązać je lianami i zbudować mostek. A zaraz potem będzie można...

Gdzie oni się podzieli?! Conan znów przyłożył dłonie do ust, potem opuścił ręce i oparł je na biodrach. Wreszcie zacisnął pięści. Siekiery niosły na plecach dwie kobiety. Jedna kuląła, druga miała podbite oko. — O Cromie!

Conan obrócił się dookoła i powiódł wzrokiem po brzegu. Wciąż miał zaciśnięte pięści, ale wolał nie dotykać miecza. Otaczało go zbyt wielu ludzi z włóczyniami. Nie zdążyłby dobyć broni. Idosso wytrzymał zimne, nienawistne spojrzenie Cymmerianina bez mrugnięcia okiem.

On również trzymał ręce z dala od broni. Lecz każdy jego mięsień i każde pióro na głowie zdawało się rzucać nieme wyzwanie przeciwnikowi.

Conan zastanawiał się, czy podburzył go Kubwande. Cymmerianin nie miał łatwego

wyboru. Walka z Idosso i nawet zwycięstwo mogło podzielić wojowników na dwa obozy i zmusić ich do podporządkowania się obcemu i to w ogniu bitwy. (Jeśli polowanie na wrota demonów nie było bitwą, to Conan prosił w duchu jakiegoś łaskawego boga, by powiedział

mu, co to w takim razie jest!).

Nie przyjąć wyzwania też nie było dobrze. Wtedy Idosso puszyłby się, że nawet mocarny Amra nie śmiał stawić mu czoło. Poza tym, ucierpiałoby również kobiety. I to z pewnością dużo bardziej niż dotychczas. Może nawet spotkałoby je coś gorszego niż bicie.

Conan pojął, że Idosso to typ człowieka, który potrzebuje silnej ręki w chwili, gdy rzuca komuś wyzwanie. Było kilku takich na pokładzie „Tygrysicy”, ale Conan wraz z kamratami szybko zrobili z nimi porządek. A wielu, wielu innych, jeszcze w wioskach Cymmerii...

Powinien był podjąć wyzwanie Idosso za pierwszym razem i ułożyć jego trupa obok

martwego przybysza z Vendhii! Ale... lepiej późno niż nigdy.

Conan odpiął klamrę pasa i miecz upadł na ziemię. Na ten widok podbiegły do niego kobiety. Jedna podniosła broń, druga wręczyła mu topór.

Idosso wyglądał na zaskoczonego. To dobrze. Kubwande nie szeptał mu do ucha. A może to wyzwanie naprawdę nie było pomysłem iqako?

— Jestem Amra. Nie wykorzystam przewagi miecza nad włóczynią.

— Ha! — prychnął pogardliwie Idosso. — Skoro tak, to poczujesz ją w swoim ciele. A po mojej włóczni żadna kobieta na ciebie nie spojrzy.

Conan wzruszył ramionami. — Raczej na ciebie. Chyba tylko wtedy, gdy spostrzeże węża na posłaniu.

Idosso rozdziawił usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Cisza wokół powiedziała Conanowi, że praca przy moście też ustała. Potoczył wzrokiem dookoła. Bamula stali z wytrzeszczonymi oczami. — Wracajcie do roboty, zamiast się gapić, wy leniwe robaki błotne! Albo dobiorę się do was, gdy skończę z tym przerośniętym mułem!

Odpowiedziała mu cisza. Conan zwietrzył w tym coś podejrzanego. Odwrócił się i język stanął mu kołkiem, a po grzbiecie przeszły zimne ciarki. Szeroko otwartymi oczami patrzył na to, co odebrało wszystkim mowę.

Nad pustą polaną rósł w powietrzu złocisty blask. Sięgał już wyżej niż większość drzew i bez żadnego dźwięku wciąż piał się do góry. Złociste światło odbijało się w liściach i nawet mroczne wody Afui iskrzyły się od tej poświaty.

Conan dojrzał spiralny ruch w środku tego blasku, ale nie rozległ się ani grzmot, ani najmniejszy nawet hałas. Bamula gestami odpędzali zło, a Govindue wpatrywał się w złocisty wir z takim przejęciem, że dolna szczeka opadła mu niemal do piersi. Ale czujnie trzymał

uniesioną włócznię i tarczę. Cokolwiek z pradawnych straszydeł miało się pojawić za rzeką, chciał mu stawić czoło jak wojownik.

Conan przez chwilę poczuł się stary. Gdy po raz pierwszy poznał smak wojny, był w wieku tego chłopca. Z całego serca życzył Govindue, by cieszył się życiem przynajmniej tyle lat, co on i miał tyle samo szczęścia. Otrząsnął się i zmienił pozycję. Wolał nie spuszczać z oka ani tajemniczego zjawiska za rzeką, ani Idosso.

Zwalisty Bamula stał z włócznią opartą o ziemię i z tarczą opuszczoną do połowy ramienia.

Albo nie obawiał się żadnej zdradzieckiej sztuczki ze strony Conana, albo był tak oszołomiony, że zapomniał o broni.

Ale już w następnej chwili każdy musiał sobie o niej przypomnieć. Lecz nie wszyscy zdążyli jej użyć, gdy uderzyła śmierć.

Wypadła spomiędzy drzew i miała postać olbrzymiej jaszczuromałpy. Jej czerwone ślepia mogłyby przerazić słonia, a kły i pazury rozerwać gardziel byka.

Utykała od ropiejącej rany na lewej tylnej łapie, która ociekała żółtą posoką. Włócznia nie oszczędziła jej żeber, a jedno ślepie miała na wpół przymknięte po ciosie w czaszkę. Z

pewnością grasująca w obcej dżungli bestia niejedną raz napotkała na swej drodze ludzi. Jaki był ich



los, wskazywał pysk stwora umazany zakrzepłą krwią, podobnie jak przednie łapy.

Nawet jeśli odcisnęli swe znamię na ciele potwora, padli jego ofiarą.

Potyczki z ludźmi mogły bestię osłabić, ale i nauczyły ją przebiegłości. Podkradła się tak zdradziecko, że Bamula stojący z tyłu nie usłyszeli jej za plecami i ledwo zdążyli poczuć strach. Wpadła między nich i jej pazury poszły w ruch.

Zakrwawieni wojownicy padali na ziemię pod ciosami wielkich łap. Inni wylatywali do góry po kopnięciach potwora. Niektórzy podrywali się z powrotem do walki. Jeden

wylądował tuż u stóp Conana z rozplatanym brzuchem i już się nie poruszył. Cymmerianin schylił się, podniósł swoją broń, przeskoczył nad ciałem i ruszył ku jaszczuromałpie. W

jednej ręce trzymał miecz, w drugiej dzierżył topór.

W powietrze poleciały włócznie, ciskane wściekle przez zdesperowanych mężczyzn, którzy zapomnieli, że między nimi a wrogiem są jeszcze ich przyjaciele. Jedna z nich trafiła wiejskiego wojownika w pośladek. Podskoczył i zawył. Jego wrzask przerodził się w okrzyk grozy, gdy poczuł na ramieniu łapę jaszczuromałpy.

Odwrócił się z desperacką odwagą i nie bacząc na rozdartą rękę, wyszarpnął z pośladka włócznię, a potem dźgnął bestię. Ostry szpic przebił łuskę i zagłębił się w ciele, ale jeden cios rozjuszonego stwora odrzucił śmiałka daleko w bok. Padł z roztrzaskaną czaszką i zamarł bez ruchu.

Kobięcy krzyk powstrzymał Cymmerianina rzucającego się do walki. Przyhamował w pół

kroku, szukając niewiasty, ale jednocześnie starał się nie spuszczać z oka jaszczuromałpy.

Nowe rany spowolniły bestię, lecz te stwory zdawały się być bardziej krwiożercze niż cokolwiek, z czym Conan do tej pory walczył. Myślał, że potwór pochwyił jedną z kobiet, ale zakrwawione łapy były puste.

Powodem okrzyku przerażenia okazał się Idosso, nie jaszczuromałpa. Wielki Bamula trzymał Chirę, jedną z nieszczęsnych niewiast, za włosy. Wrywała się i pluła na niego, lecz była bezradna jak dziecko.

Nagle chwycił ją za przepaskę, dźwignął do góry i rzucił w objęcia bestii!

Chira znów wrzasnęła przeraźliwie. Jaszczuromałpa złapała ją w locie i zatopiła kły w jej gardle. Krzyk zamarł na ustach dziewczyny, gdy z jej szyi trysnęła krew.

Potworna uczta bestii skończyła się niemal natychmiast. Cymmerianin runął na nią i jego topór przerąbał czaszkę, a cięcie miecza rozplatało pysk stwora.

Krew kobiety i jaszczuromałpy obryzgała obficie Conana, gdy uderzył po raz drugi. Teraz ostrze miecza pchnięte z nieludzką niemal siłą przeszło żebra koszmarnego wroga.

Aquilońska stał najprzedniejszego gatunku zgięła się i wyszczerbiła od straszliwych ciosów, lecz gdy Cymmerianin wyciągnął z powrotem miecz, jaszczuromałpa leżała martwa jak Cesarstwo Acherońskie.

Conan wyszarpnął topór i ponad zwłokami bestii i kobiety spojrział płonącym wzrokiem na Idosso. Zważył w dłoni broń i przygotowując się do rzutu, ocenił odległość. Bardzo pragnął

wydusić życie z brutalnego Bamula gołymi rękami, ale cokolwiek mogło uśmiercić Idosso było lepsze niż nic.

Lecz topór nie zafurczał w powietrzu. Zaskoczony Idosso, ryknął z bólu i okręcił się wokół własnej osi. Druga kobieta, imieniem Vuona, z gracją gazeli umknęła przed jego łapskami. W dłoni trzymała mały, lecz solidnej roboty sztylet. Ostrze ociekało krwią wodza.

Wielki Bamula rzucił się za kobietą. Zdołał dosięgnąć jej spódniczki i zerwać ją z bioder.

Nagość nie przeszkodziła Vuonie w ucieczce.

Idosso cisnął za nią włócznię, lecz tylko drasnęła kostkę dziewczyny. Vuona pędziła co sił ku rzece.

Cokolwiek kryło się w mętnej toni, przerażało ją mniej niż Idosso. Bez wahania wpadła do rzeki i biegła dalej, rozchlapując coraz głębszą wodę. Jej smukłe, nagie, mokre ciało wciąż dumnie wznosiło się ponad powierzchnią.

Idosso wyrwał włócznię najbliższemu stojącemu wojownikowi. Ale kiedy uniósł ją do rzutu, miecz w lewej ręce Conana błysnął, opadając w dół. Jego ostrze prosiło się o kowala, lecz przecięło drzewce niczym źdźbło słomy. Topór w prawej dłoni Conana nie był potrzebny.

Cymmerianin cofnął się i z kuglarską zręcznością przerzucił miecz do prawej dłoni, a topór do lewej. Splunął na ziemię i roztarł ślinę stopą.

— Wystąp, Idosso. Jesteś odważny tylko wobec niewiast. Podejdz, a skończysz jak ta ślina.

Wódz ryknął jakieś niezrozumiałe wyzwanie przepełnione dziką furią. Nagle rozległ się krzyk. Idosso zamarł, a Conan odwrócił się.

Vuona stała już na drugim brzegu. Miała wzburzone włosy, jakby targał nimi silny wiatr.

Wpatrywała się we wrota demonów, niczym ptak zahipnotyzowany przez węża. Conanowi zdawało się, że dostrzega złociste iskry tańczące na jej ciele.

— Vuona! — krzyknął. — Wracaj!

Musiała go usłyszeć, bo potrząsnęła głową. Potem postąpiła dwa kroki naprzód i zaczęła biec.

Po dziesięciu krokach znalazła się na krawędzi złocistej spirali. W blasku światła jej ciemna skóra przybrała barwę miedzi. Conan znów ją zawołał, ale tym razem nie dała znaku, że go słyszy. Nie zwalniając biegu, zniknęła w złocistej poświacie.

Conanowi wydało się, że spirala zamigotała i pomyślał, że zaraz zgaśnie za Vuoną. Czekał i przeklinał wszystkie kobiety, którym strach odbiera rozum.

Ale wejście nie rozplynęło się. Zamiast tego, tuż za plecami Cymmerianina wyrósł Idosso.

Tylko instynkt sprawił, że Conan zdążył się odwrócić i zacisnąć pięści. Jedna z nich wbiła się głęboko w brzuch wodza. Gdy Bamula zgiął się wół, druga trafiła go w szczękę. Rozciągnął się jak długi na ziemi przesiąkniętej krwią jaszczuromałpy.

Conan przeklinał własną powściągliwość. Mógł od razu poczęstować Idosso kawałkiem ostrej stali i żyć dalej z czystym sumieniem. Żaden Bamula nie śmiałyby szemrać, dopóki ich misja nie byłaby zakończona ani nawet potem. Teraz miał przed sobą bezbronno

przeciwnika, a w naturze Cymmerianina nie leżało zabijanie nieprzytomnego człowieka z zimną krwią. A gdyby nawet, to Bamula z pewnością nie przyglądaliby się temu z

założonymi rękami. Najgorsze było to, że pęknięta szczęka to za mało, żeby nauczyć Idosso rozumu.

Conan życzył Idosso, by w życiu pozaziemskim Crom wtrącił go do najgłębszej i

najzimniejszej czeluści zaświatów, gdzie głupcy i zdrajcy stoją zamrożeni w lodowych blokach. A wszystkim poplecznikom wodza, żeby oblaży ich wszystkie wszy ze wszystkich najpodlejszych szynków w Zingarze.

Schowal miecz do pochwy, zbiegł w dół ku rzece i skoczył do wody. Zanurkował, a kiedy ukazał się na powierzchni, usłyszał krzyki. Poczul, że coś drasnęło jego nogę. Jeśli był to krokodyl, to nie zdążył powtórzyć ataku. Szybkie ruchy silnych ramion pozwoliły

Cymmerianinowi bezpiecznie przepłynąć rzekę.

Conan wygramolił się na brzeg i począł przyglądać wrotom demonów z uwagą myśliwego szukającego słabych punktów u bestii, której nigdy przedtem nie widział. Na jego włosach osiadła złocista iskra, więc strącił ją jak natrętą muchę. Gdy jej dotknął, poczul lekkie swędzenie na dłoni, ale szybko minęło.

Za nim znów rozległy się krzyki, głośniejsze niż przedtem. Rozpoznał głos Govindue i wydało mu się, że słyszy również Bessu. Jeśli próbowali go przekonać, by trzymał się z daleka od wrót demonów, to tracili czas.

Wrota nie zniewalały go tak jak Vuoną. Wchłonęły ją, ale gdyby nie musiała uciekać przed

prześladowcą, nigdy by przez nie nie przeszła.

Nad Conanem nic nie miało władzy, z wyjątkiem własnego honoru. A ten honor splamił, nie rozprawivszy się z Idosso tak, jak Bamula na to zasługiwał. Teraz honor nakazywał mu ratować Vuonę, tak jak nakazywał mu uśmiercić Idosso... jeśli kiedykolwiek powróci do Czarnych Królestw.

A jeśli nie powróci? Cóż, Crom niczego nie obiecywał nawet najlepszym wojownikom.

Pozostawiał ich los w ich własnych rękach. Jeśli nic nie będzie mógł zrobić, to przynajmniej Vuona nie umrze samotnie.

Conan wyciągnął miecz, otarł mokre od wody ostrze o trawę i wszedł w złocistą spiralę wrót demonów.

# VIII

Govindue pierwszy postanowił podążać śladem Vuony i Conana. Cisnął włócznię na drugi brzeg Afui, by mieć wolne ręce i skoczył do rzeki. Tuż za nim pojawił się na powierzchni łeb krokodyla, ale chłopiec zdążył dopłynąć do lądu, zanim dosięgły go zębate szczęki.

Na krokodyla posypały się włócznie. Kilka przebiło grubą łuskę gada, jedna trafiła w oko, a inna w jego miękkie nozdrza. Potwór zasyczał jak przypalona owsianka i zniknął.

Chłopiec położył ręce na sercu i pochylił głowę w rytualnym geście oznaczającym

„zwycięstwo albo śmierć”. Potem bez słowa wkroczył w złocisty wir, który wchłonał Vuonę i Cymmerianina. Bessu wydał z siebie rozzwierający krzyk, zdolny zagłuszyć stado wyjących hien. Ptaki, których jeszcze nie wypłoszyły wrota demonów poderwały się z wrzaskiem w powietrze. Starzec uniósł jeden ze ściętych pni i począł go ciągnąć w stronę największego miejsca na rzece.

Wprawdzie pod koniec pomogli mu inni, ale większość drogi męczył się sam. Zdawało się, że w jego wątlą postać wstąpiło nagle więcej siły, niż miał Cymmerianin. Pot ściekał mu po twarzy i ciężko dyszał, lecz pierwszy postawił stopę na moście i przebiegł na drugą stronę ze zwinnością małpy.

— Wojownicy! Podążam za synem! — zawołał. — Przyłączcie się do nas, a pokonamy

wrota demonów i ich władcę. Jeśli zostaniecie, wszyscy się dowiedzą, że mniej w was odwagi niż w kobiecie, białym cudzoziemcu, chłopcu i starym człowieku.

Potem ruszył biegiem przed siebie i jako czwarty z rzędu zniknął w złocistym wirze.

Jakiś niespełna rozumu wojownik uniósł włócznię, by położyć trupem Bessu, ale ktoś mądrzejszy wytrącił mu ją z ręki. Kubwande wyrzwał tego drugiego maczugą w ramię i utorowawszy sobie drogę wbiegł na most.

Nie spieszo mu jednak było iść w ślady poprzedników. Niósł na ramieniu równo ociosane kołki ze ściętych, mocnych gałęzi i wbił je obuchem siekiery po obu stronach kłody przerzuconej przez rzekę. Po drugiej stronie mostu inni zrobili to samo.

Stuk siekier obudził Idosso. Podniósł się z ziemi z wdziękiem ożłopanego piwskiego hipopotama i rozejrzał się wokół, jakby przed chwilą spadł z nieba.

— Gdzie ten wściekły pies Conan?! — ryknął do Kubwande.

— Nie zwij go psem — pouczył Kubwande. — On nas prowadzi tam, dokąd musimy za nim podążać.

— Cooo?! — Następny ryk Idosso poderwałby w powietrze każdego ptaka, gdyby jeszcze jakiś pozostał w pobliżu.

— A tak — przytaknął Kubwande. Nie był głupcem i widział spojrzenia innych

wojowników po tym, jak Bessu zniknął we wrotach demonów, podążając za synem. Wódz wioski zaapelował do ich honoru i nie mogli tego zlekceważyć.

Ponadto Idosso ciężko obraził honor Conana i naruszył wiele innych tabu. Kubwande z powrotem przeszedł przez most, podszedł blisko do zwałistego wodza i wyszeptał mu to wszystko do ucha.

Nozdrza Idosso rozszerzyły się jak u lamparta czującego zdobycz. Uniósł zaciśniętą pięść, a drugą dłoń przyłożył do bolącej głowy.

— Rzecz jasna, że jeśli cudzoziemiec ugodził cię tak dotkliwie, to zwołam wiejskie kobiety do opatrzenia ci ran i... — zaczął Kubwande.

— Mam ci powiedzieć, do czego nadają się wiejskie kobiety? — mruknął Idosso.

Kubwande udał, że nie dosłyszał.

Ostatnie kołki zostały wbite i pierwsi wojownicy wkroczyli na most. Szli wolno, jakby z wahaniem. I to nie tylko dlatego, że kłoda była śliska, a w dole czekał ranny, rozwścieczony krokodyl.

Na wszystkich twarzach malował się ten sam wyraz. Nikogo nie cieszyła perspektywa przekraczania wrót demonów z powodu Vuony i urażonego honoru Conana. Ale też nikt nie zamierzał pozwolić, by ktoś wątpił w jego odwagę, jeśli odmówi.

Kubwande winił za wszystko tego gorliwego chłopaka, Govindue — a może i jego ojca —

bardziej niż Cymmerianina. Conan był cudzoziemcem i zawsze ktoś mógł powiedzieć, że nie wart jest tego, by iść w jego ślady. Dopóki chłopak nie postąpił inaczej.

Kubwande poprzysiął sobie, że policzy się i z ojcem, i z synem. Jednocześnie miał

nadzieję, że nie dojdzie do porachunków z Idosso za to, że zawstydził go i zmusił do działania. Ale wiedział, że gniew Idosso to rzecz tak pewna, jak głód krokodyla.

Lecz Idosso wziął włócznię i przypasał do lewego ramienia tarczę obciągniętą skórą zebry.

Potem zacisnął bojowy pas ze skóry krokodyla, najeżony kłami hipopotama. Zamachnął się ze straszliwą siłą swego prawego ramienia i cisnął włócznię za rzekę. Poszybowała ponad głowami przechodzących przez most i wbiła się w ziemię na drugim brzegu, tuż przy wrotach demonów.

— Każdy wojownik musi podążyć tam, dokąd prowadzi Conan! — zakrzyknął.

Kubwande wkroczył na most przed Idosso. Kiedy wielki wódz postawił stopę na kłodzie, ugięła się i zakołysała mimo kołków. Kubwande miał cichą nadzieję, że za sprawą bogów kłoda trzaśnie niczym gałązka i Idosso wpadnie prosto w paszczę krokodyla. Taka łaskawość bogów zaoszczędziłaby mu mnóstwo kłopotów. Bez wątpienia Idosso nie był jedynym

wodzem plemienia Bamula skłonnym słuchać rad Kubwande.

Wszyscy mężczyźni przebyli już rzekę, z wyjątkiem kilku niezdolnych do walki z powodu ran, którzy zostali, by zając się konającymi i poległymi. Kubwande zazdrościł im przez krótką chwilę. Ich blizny mogły później zaświadczyć, że nie mogli walczyć z demonami.

Był prawie gotów popchnąć Idosso naprzód końcem włóczni, gdy wielki wódz skoczył przed siebie, wyrwał z ziemi swoją i rzucił ją prosto w środek wrót demonów.

Wleciała w złocisty wir i zniknęła. Idosso pomaszerował za nią i również zniknął.

— Wódz prowadzi nas do kraju demonów! — zawołał Kubwande. — Naprzód, wojownicy!

Nikt nie poderwał się do biegu, ale też nikt nie śmiał pozostać z tyłu. W czasie potrzebnym na podgrzanie garnca gulaszu brzeg Afui opustoszał. Kiedy z rzeki wynurzył się jednooki i ranny w nos krokodyl złocisty wir nabrał szybkości. Światło pociemniało i do uszu rannych dobiegł huk jakby wielkiego wodospadu.

Zasłonili dłońmi uszy i otworzyli usta. Spirala zwężyła się i nieziemski wicher wzburzył wody Afui. Krokodyl skrył się w głębinach, a z drzew poleciały liście.

W powietrzu fruwały zerwane pnącza. Pękały gałęzie i pnie drzew, choć ich trzasku nie słyhać było pośród huku. Na skulonych ze strachu rannych posypały się orzechy. Gruba gałąź spadła na jednego z konających i skróciła jego cierpienia. Zakończył żywot z roztrzaskaną czaszką.

Przerażeni ranni szeptali słowa zaklęć, których ich uczono, ale wiedzieli, że cały zastęp największych czarowników na tej ziemi byłby teraz bezradny. Wrota demonów nabrały nowych sił, pochłaniając tych, co przekraczając je szukali sławy wojownika. Ludzie tylko czekali, kiedy wrota przeskoczą rzekę i wchłoną również ich, a potem ruszą dalej pustoszyć kraj.

Między jednym oddechem a drugim huk ucichł i złowrogi blask zgasł. Wiatr ustał, kilka ostatnich liści wolno opadło z nieba, a most osunął się do Afui z łagodnym pluskiem.

Ci, którzy wcześniej nie zostali oślepieni i nie ogłuchli, zobaczyli cienką smugę dymu, unoszącą się nad okrągłą polaną i usłyszeli wśród suchych liści cichy trzask płomieni.

Niewiele więcej niż trzęsące się ręce i wytrzeszczone oczy rannych mogłoby zaświadczyć, że jakaś obca siła pojawiła się w dżungli i zniknęła z ponad dwiema dziesiątkami wojowników.

Conan wytrwale kroczył wrotami demonów. Wkrótce dowie się, co leży po drugiej stronie, o ile istnieje druga strona. Na razie mądry wojownik powinien uważać tam, gdzie nie widzi gruntu pod nogami, zwłaszcza, jeśli ledwo go czuje.

(O ile to był grunt, bo raczej przypominał na wpół zamarznięte bagno.)

Otaczało go złociste światło i słyszał basowe brzęczenie, jakby ogromny rój pszczół

wielkości gołębi powracał do ula wielkości Aghrapuru. Potem światło zaczęło przygasać, a brzęczenie cichnąć i Conan przygotował się do wyciągnięcia miecza, by stawić czoło temu, co go czeka po drugiej stronie wrót.

Obojętne, czy miał spotkać demona, czarownika, czy chłopca z cepem oburzonego, że obcy przybysz trątuje jego zasiewy — był gotowy. (Choć raczej nie zabiłby rolnika, bo takiego nie można byłoby nawet zaliczyć do prawdziwych wrogów, a wieśniak mógłby mu powiedzieć wiele przydatnych rzeczy o miejscowym czarowniku.)

Conana owiał chłodny wiatr i złociste światło ustąpiło miejsca dziennemu, lecz bez szmaragdowego odcienia dżungli. Nagle zapadł się w dół na długość miecza. Szybkość człowieka gór i siła mięśni rąk i nóg uratowałyby go przed tym, gdyby wrota demonów nie przytępiły jego zmysłów bardziej, niż się spodziewał.

Poczuł pod sandałami strome zbocze i stracił równowagę na osuwającym się spod nóg żwirze. Odchylił się do tyłu i dźgnął włócznią w ziemię, jak to czynią górskie zastępy Gunderlandczyków. Szpic włóczni trafił na skałę i odbił się. Nie wszedł w nią nawet na ćwierć długości dziecięcego palca. Conan czuł, że zaraz zsunie się w przepaść. Do jego uszu dochodził znajomy łoskot szybko spadających kamieni. Nagle coś złapało go za włosy.

Ciągnęło tak mocno, jakby chciało go oskalpować. Wtem przestał zjeżdżać w dół i ból minął.

Rozejrzał się.

Włosy zaplątały mu się w kolczastą gałąź krzaka wyrastającego z litej skały. Pod nim ciągnęło się zbocze usłane głazami i drobnymi kamykami. Opadało stromo do strumienia trzydzieści kroków poniżej. Spieniona, zielona woda omywała leżące w nim wielkie głazy, a karłowate drzewa wyciągały ku niebu sękate gałęzie.

Conan ostrożnie odciął sztyletem końce włosów i uwolnił się z potrasku. Podniósł się i spojrzał w dal. Większą część nieba zasłaniały stoki doliny, ale wyżej zbocza nie były tak strome jak poniżej. Spękane i zwietrzałe skały połyskiwały kwarcem po obu stronach wąwozu, gdzie prześwitywało najwięcej nieba.

Miało barwę północnego błękitu. Tę samą, która odbijała się w oczach Cymmerianina. Pod takim niebem się urodził, choć tutejsze, płynące z wiatrem chmury, wyglądały łagodniej niż w jego ojczyźnie. Z Czarnego Wybrzeża na prawdziwą północ wciąż jeszcze musiało być daleko, ale nawet tu, w dolinie, chłodny wiatr przyprawiał o gęsią skórkę odkryte części jego ciała.

Sądząc po tym, co widział, wrota demonów jakby nigdy nie istniały. Ale też nie było śladu po Vuonie. Powinna być niedaleko przed nim, ale na ile wrota demonów zmieniały

odległość?

I co mogły uczynić z jej zmysłami? Całkiem naga nie przeszłaby szybko przez te skały, nawet mając



niezmacony umysł. A zamroczona mocą wrót demonów mogła spaść ze zbrocza i dawno leżeć martwa.

Conan nie wiedział, jacy bogowie rządzą na tej ziemi ani który z nich mógłby mu pomóc, gdyby się do niego zwrócił. Więc tylko poprosił zimnego Croma, by pozwolił mu powrócić do Czarnych Królestw, jeśli bliski jest mu honor wojownika. I żeby potem pozwolił mu znaleźć Idosso żywego, żeby mógł się z nim rozprawić. Przynajmniej tyle był winien Vuonie i tak sobie poprzysiągł. Choć podejrzewał, że droga powrotna z tego kraju do ziemi Bamula będzie bardzo długa.

Złożywszy przysięgę, która według wszelkich znaków na niebie i ziemi nie spotkała się z dezaprobatą Croma, Conan zastanowił się, czy jest dobrze przygotowany do pobytu na tej ziemi. Odzienie miał nie gorsze niż podczas innych wędrówek przez krainy o bardziej surowym klimacie. Sandały chroniły jego stopy, a przy pasie miał broń i sakwę z suszonym mięsem i fasolą. (Jedno i drugie było twarde jak drewno i jak na gust Conana smakowało niewiele lepiej.)

Uzbrojony był w miecz, sztylet i włócznię, choć ta mogła teraz służyć raczej za kij lub pałkę. Jej miękki, żelazny szpic nie zniósł dobrze spotkania z twardą skałą. Dałby wiele za łuk, o ile w tym kraju ktoś przyjąłby tę ofertę. Nie widząc warsztatów łuczniczych ukrytych pośród gór, postanowił sam poszukać ściągien, krzemienia, piórek i gałęzi, by sporządzić taką broń. Nie od rzeczy byłaby również proca, broń mało przydatna na polu walki, lecz poręczna i użyteczna, gdy chce się coś włożyć do garnka na odludziu (lub ustrzelić sakiewkę w krajach cywilizowanych.)

Conan przełożył włócznię do lewej ręki, a prawą wyciągnął sztylet. Uczyniwszy to, postanowił sprawdzić swą znajomość gór i zaczął się wspinać ku wąwozowi i widocznemu w oddali niebu.

Scyra długo nasłuchiwała, ale w komnatach ojca panowała cisza. W istocie w całej grocie było ciszej niż kiedykolwiek. Ciszej nawet niż wtedy, gdy ojciec zasypiał jeszcze w naturalny sposób.

Wówczas zawsze chrapał. A odgłos tego chrapania odbijał się echem nie tylko w jego komnatach, ale i poza nimi. Wchodziła wtedy i nakrywała go kocem.

Oczy Scyry zwilgotniały, gdy przypominała sobie minione lata i czasy jeszcze sprzed wygnania i sprzed tego życia na pustkowiu. Ojciec utulał ją do snu przez cały rok choroby matki. Potem ona zaczęła utulać jego, kiedy po śmierci matki obawiała się, że z żalu zupełnie straci rozum.

Czy tak się w końcu stało, skoro został niemal niewolnikiem własnych mocy? Modliła się do bogów (kiedy pamiętała ich imiona), żeby to przynajmniej zawsze były tylko jego własne moce. Czy żal odebrał mu już zdrowy rozsądek i czy myślał tylko o pomszczeniu żony (lub przynajmniej o przesłaniu jej słów miłości, których tak często skąpił jej za życia)?

Scyra nie wiedziała. Wiedziała tylko, że o ile ojciec nie przywoła jej głosem lub czarami i nie powie, że umiera, będzie musiała na krótko wyjść z groty. Z czasem wróci, by nadal przykładowie wypełniać obowiązki córki, nie zapominając jednak o własnych sprawach.

Pogłębi swoją wiedzę magiczną i pozna tajemnice ojca. Nie będzie aż tak posłuszna, by poślubić wodza Piktów, ale może jeszcze zrobić mnóstwo innych rzeczy, zanim otwarcie odrzuci tę ofertę.

Zdawało się jej, że w grocie jest bardziej gorąco i duszno niż zwykle. Poczwała silną woń siarki. Choć pragnęła jak najszybciej znaleźć się na świeżym powietrzu, nierozważny pośpiech był niewskazany. Miała na sobie magiczne szaty do studiowania zwojów na wypadek, gdyby musiała wypróbować któryś z czarów. Teraz wciągnęła bryczesy, włożyła spodnię i wierzchnią tunikę i przypasała do boku sztylet. Ukryła kasztanowe włosy pod skórzanym kapturem i narzuciła na siebie skórzaną opończę w stylu gunderlandzkim.

Potem wymknęła się z ciszy i zaduchu wewnętrznej groty do przedsionka jaskini.

Przystanęła, by pozdrowić wotywnie lampy u wejścia i pocałowała uniesiony sztylet.

Przylgnęła do ściany i wysliznęła się na światło dzienne.

Piktowie byli mistrzami w skradaniu się po lesie i ani ona, ani żaden inny lud nie mógł się z nimi równać. Toteż, gdyby ośmielili się podejść blisko groty, zobaczyliby ją, zanim ona dostrzegłaby ich. A gdyby to w dodatku były Sowy, wszystko na nic. Mogłaby co najwyżej mieć nadzieję, że pożyje na tyle długo, by zdążyć powiadomić ojca o ich bliskiej obecności.

Jeśli to nie on pozwolił im się zbliżyć... — odbiło się echem w głowie Scryy. Wiatr u wejścia do groty wydał jej się nagle bardziej zimny niż orzeźwiający.

Echo zabrzmiało głośniejsz i zdała sobie sprawę, że to nie wytwór jej umysłu. Usłyszała bębny Piktów. Wiatr niósł ich odgłos aż tutaj. Byli jeszcze daleko, lecz przynajmniej w sile klanowego zastępu wojennego.

Zdążyłaby wyjść z groty, ale musiałaby trzymać się w pobliżu. Nawet Pikt, zwykle lękający się magii, mógłby w wojennym szale zapomnieć o strachu i usunąć ją ze swej drogi, zanim pojąłby, kogo ma przed sobą.

Govindue cieszył się, że wszyscy uważają go za tak odważnego, za jakiego chciał uchodzić.

Nawet ojciec dał się zwieść. Ale też on cierpiał najbardziej. Nie mógłby źle myśleć o jedynym synu, jaki mu pozostał.

Całą prawdę znał tylko Govindue (i bez wątpienia bogowie). Był tak podniecony jak wtedy, gdy po raz pierwszy brał sobie kobietę i tak przestraszony jak wtedy, gdy po raz pierwszy polował na lamparta. W obu przypadkach miał szczęście. Zadowolili niewiastę i ubił bestię.

Chyba tylko te przyjemne wspomnienia kazały mu teraz przebierać nogami, gdy szedł przez wrota demonów. Zdawało mu się, że pod stopami ma błotnisty szlak i to wzmagało jego niepokój. Wyobrażał sobie, że nagle mokra ziemia rozplynie się i pochłonie go bezdena ciemna czeluść nie oświetlona złocistym blaskiem.

Potem błoto wyschło, a blask zbladł w świetle dnia. Govindue poczuł pod nogami tak twardy i zimny grunt, po jakim jeszcze nie stapał. Słyszał o chodzeniu po nagich skałach i wietrze zimniejszym niż chłodne deszcze w dżungli. Opowiadali o tym starsi ludzie, którzy kiedyś dotarli do Gór Księżycowych. On jeszcze nigdy nie opuścił ziem Bamula. Wierzył w tamte opowieści tylko dlatego,

że chłopiec musi okazywać szacunek starszym.

Govindue przykucnął, potem zerwał się i pobiegł naprzód. Nie wiedział, co ma przed sobą ani za sobą, ale jeśli przed nim czaił się wróg, to lepiej było stanowić ruchomy cel. Poza tym, mógł odkryć zasadzki wroga przed nadejściem następnych Bamula.

Przebiegł pięćdziesiąt kroków, zanim zorientował się, że grunt zamienia się w strome zbocze. Wpadał na pnie grubych drzew, a niższe gałęzie smagały go po twarzy. Przystanął i przyjrzał się im.

Zamiast liści miały pęczki drobnych igieł, a zamiast orzechów — kiście małych, brązowych łusek. Kiedyś widział starą koszulę bojową zdartą z ciała stygijskiego łowcy niewolników.

Była zrobiona z żelaznych łusek bardzo podobnych do tych. Słyszał też o takich drzewach od tych samych ludzi, którzy opowiadali o wędrówkach po Górach Księżycowych.

No cóż... Nawet, jeśli wrota demonów nie zaprowadziły ich teraz dalej niż do Gór

Księżycowych, to i tak mają przed sobą długą drogę powrotną i nie wszyscy ją przejdą. Będą musieli walczyć z wrogimi plemionami, nie mówiąc o sługach demonów, z pewnością

czających się wszędzie i gotowych na wezwanie swych władców...

Ze wzgórza dobiegł głos bębnow. Doboszy zasłaniały drzewa, ale Govindue potrafił w dżungli ocenić odległość bębna oddalonego o pół dnia marszu. Teraz było ich pięć lub sześć, o dziesięć rzutów włócznią w górę od niego i trochę na lewo.

Zagrzmiał piorun, choć Govindue nie dostrzegł ani złocistego światła, ani żadnego ruchu powietrza. Na otwartą przestrzeń wytoczył się człowiek i opadł na kolana. Za nim pojawili się inni. Ledwo starczyło mu palców u rąk i nóg, by ich policzyć.

Czyżby po tej stronie wrota demonów były niewidzialne? Przy tak wielkiej mocy magicznej wszystko jest możliwe. Jeśli tak, to ich władca mógłby również przenieść wojowników tam, gdzie miałby ochotę. Nawet do samej chaty wodza wrogo plemienia...

Govindue powstrzymał krzyk. Rozpoznał pierwszego mężczyznę, który opuścił wrota. To był jego ojciec, Bessu. A za nim reszta ludzi z Doliny Martwego Słonia i kilku Większych Bamula. Dojrzał Kubwande i z mniejszą radością — Idosso.

Chłopiec zaczął opuszczać się ze zbocza. Z ulgą zauważył, że wojownicy wyglądają i zachowują się zwyczajnie. Szybko zamilkli i słysząc bębny unieśli włócznie i tarcze.

Stracił dobry humor, gdy zobaczył, że ojciec sprzecza się z Idosso. Mówili półgłosem, więc nie rozróżniał słów. Ale znał twarz ojca zbyt dobrze. Nawet z daleka odczytywał bezbłędnie jej wyraz. Kubwande nie stanął po niczyjej stronie, co osłabiało obie. A kłótnia w obliczu wroga osłabiała wszystkich.

Govindue zaczął posuwać się szybciej. Jego miejsce było u boku ojca, tym bardziej że ojciec podążał

jego śladem przez wrota demonów. Chłopiec schodził w dół tak prędko, że potknął się na kamienistym zboczu i spadłby ze stromizny, gdyby w ostatniej chwili nie złapał

się pnia drzewa.

Z zarośli poniżej wynurzył się jakiś człowiek. Govindue widział go wyraźnie, choć nikt nie przywykły do łowów w gęstym lesie nie rozpoznałby ludzkiej sylwetki. Govindue nie tylko ją rozpoznał, ale również dostrzegł, że mężczyzna jest prawie nagi. Miał tylko przepaskę na biodrach i naszyjnik z ludzkich zębów.

Na jego ciele widniały tatuaże i malunki, a puste miejsca na skórze połyskiwały brązową barwą jak u Stygijczyka. Uzbrojony był w topór wojenny o ostrzu z brązu i krótki łuk. W

kołczanie tkwiły strzały z krzemiennymi grotami.

Ciemne oczy obcego czujnie zlustrowały krzaki i drzewa wokół, w poszukiwaniu miejsca, skąd rozbrzmiewają bębny. Govindue miał dziwne uczucie, że nawet grube drzewo, za którym stoi, nie zasłoni go przed wzrokiem tamtego ani przed jego strzałami. Czyżby ten człowiek miał magiczną moc? A jeśli mają ją wszyscy ludzie tutaj?

Ale jeżeli nawet obcy posiadał magiczną moc, to niewystarczającą, by odkryć Govindue.

Choć wcale jej nie potrzebował, żeby zobaczyć, że na otwartej przestrzeni zebrali się Bamula i ostrzec swoich. Topór uniósł się i opadł trzy razy. Tylko ci, co byli za nim mogli to zobaczyć. Oraz Govindue. Chłopiec zobaczył również, że zarośla zakołysały się leciutko.

Mężczyźnie towarzyszyło co najmniej pół tuzina wojowników. Jeśli wszyscy mieli łuki...

Jeżeli mieli łuki, to Govindue wiedział, co musi zrobić. Znalazłby się sam pośród przynajmniej sześciu wrogów i zginąłby. Ale gdyby umierając, ostrzegł swoich, ojciec i reszta przeżyliby. A kiedy z czasem dowiedzieliby się, że wysłał ostrzeżenie, powiedzieliby innym i potomkowie czciliby go jako bohatera.

A Idosso przekonałby się, jakiego syna miał Bessu. Wtedy może uznałby jego przywództwo. A jeśli nie Idosso, to może Kubwande...

Mężczyzna znów się uniósł z łukiem gotowym do strzału. Stał teraz bokiem do Govindue.

Był niższy od chłopca, ale wydawał się tak dużym celem jak bawół.

Włócznia Govindue poszybowała w powietrzu. Gdy dosięgła celu, przyłożył do ust zwinięte dłonie i krzyknął — Wayo, wayo, wayo! Nadchodzi wróg! Wayo, wayo, wayo, woła was syn Bessu!

Conan pełzł w dół zbocza, od kiedy po dotarciu na wzgórze usłyszał bębny. Chętnie zabawiłby na górze trochę dłużej i przyjrzał się okolicy, ale musiał mu wystarczyć jeden rzut oka.

Istotnie znalazł się daleko od Czarnych Królestw. Kraj był zimny i górzysty, niemal pomocny. Rosły tu sosny i jodły, nadające krajobrazowi ciemniejszą barwę niż południowa dżungla. Słońce świeciło słabiej i mniej rozjaśniało niebo niż na ziemi Bamula. W oddali horyzont przecinała linia zimnego, ciemnego szafiru morza. Nie przypominała wcale ciepłego błękitu wód, po których żeglowali z Belit.

Przez chwilę Belit zdawała się znów umierać. Conan potrząsnął głową i wiatr zwał mu włosy na ramiona. Taki wiatr często czuł na sobie w rodzinnych stronach, ale nigdy na Czarnym Wybrzeżu.

Żal minął i jego miejsce zajęło mocne postanowienie. Wrota demonów nie przeniosły go ani do innej części Czarnych Królestw, ani do żadnego rejonu Vendhii, lecz do nieznanego północnego kraju. Jego pierwszym zadaniem po odnalezieniu Vuony będzie poznanie tego kraju. Gdzieś wśród tych skał i strzelistych sosen mógł kryć się władca wrót demonów.

Conan rozglądał się za śladami Vuony, gdy usłyszał bębny. Od razu postanowił wypatrzeć doboszy i śledzić ich z ukrycia. Gdyby okazali się przyjaźnie nastawieni, mógłby przy ognisku dowiedzieć się czegoś o ich kraju. Jedząc mięso i popijając piwo, może zgodziliby się pomóc mu w poszukiwaniach Vuony. Wątpił, by jakiegokolwiek plemię zamieszkujące taki kraj odmówiło pomocy w łowach, a świeża dziczyzna potrafi rozwiązać języki.

Gdyby byli nastawieni wrogo, pojmałby jednego i wydusił, z niego to samo, tylko w mniej przyjazny sposób. Jeśli dowiedziałby się, że Vuona nie żyje, miałby się przynajmniej na kim zemścić.

Resztki oszołomienia uleciały z głowy Cymmerianina. Przekradł się na dół z wprawą doświadczonego górskiego łowcy. Nie postawił stopy, zanim nie upewnił się, że nie nadeptnie na coś, co zatrzeszczy lub stoczy się ze zbocza. Bezszelestnie poruszał się między drzewami rosnącymi tak ciasno, że ktoś mógłby przysiąc, iż nie zmieściłaby się tam wiewiórka. Przy tym poruszał się szybko. Wkrótce jego oczom ukazał się pierwszy dobosz i rozpoznał, z kim ma do czynienia.

Miał przed sobą Piktów, a to dla każdego Cymmerianina równało się słowu „wróg”. Conan wiele słyszał od ludzi, którzy walczyli na Pustkowiu Piktów, zarówno od Cymmerian, jak i od innych ras. Niejeden nosił na ciele blizny, a w głowie zachował wspomnienia po okrutnie zamordowanych towarzyszach. Nikt nie życzył Piktom dobrze.

— I żaden z bogów nie mógłby tego wymagać — powiedział mu kiedyś w Argos pewien najemnik. — Bo i Piktowie nikomu dobrze nie życzą, nawet jeden drugiemu, jak mi się zdaje.

Gdyby mieli lepszą broń, mogliby zrobić nam przysługę i powybijać się nawzajem. A tak, będą plagą jeszcze długo po tym, jak moje wnuki osiwieją.

Piktowie jako leśni ludzie byli uzbrojeni w lekką broń i żaden nie sprostałby Conanowi w pojedynkę. Ale w tym kraju miały przeciw sobie jednemu setkę i wszystkich z łukami.

Warkot i głuchy odgłos bębnow zmieniały się, jakby zmieniał się wiatr albo kierunek marszu, albo jedno i drugie. Conan ocenił, że wiatr wieje od strony głównych sił Piktów, toteż nie dotrą do nich żadne wydawane przez niego dźwięki.

Zamierzał podkraść się do nich niepostrzeżenie, zanim rozpoczną atak. Jeśli ich przyszłe ofiary były cywilizowane, wiedział już, kto będzie mu wdzięczny za pomoc. Jeśli to wojna między klanami Piktów, obie strony były wrogami obcego. Ale jedna z nich mogła służyć mu gadatliwym jeńcem. Ponadto, pojmany Pikt zaoszczędziłby Conanowi pracy przy sporządzaniu łuku.

Przewidział, gdzie znajdzie się wkrótce flankę nieprzyjaciela chcącego zorganizować zasadzkę, bo sam umieściłby swoich ludzi w takim miejscu. Zmasowane siły Piktów ukazały się tam, gdzie oczekiwał. Były niewidoczne z dołu, ale nie mogły się ukryć przed parą czujnych, niebieskich oczu obserwujących ich z góry.

Conan już miał przykucnąć i podkraść się bliżej, gdy dostrzegł szczupłą, ciemną postać wyłaniającą się z ukrycia w dole zbocza. Słońce zamigotało przelotnie na szpicu włóczni, kiedy rzucona broń poszybowała w powietrzu. Pikt rozstał się z życiem, a Conan usłyszał

wojenny okrzyk Bamula.

Jego echo wciąż rozbrzmiewało niesione wiatrem, gdy Piktowie będący najbliżej Conana podskoczyli i rzucili się w dół zbocza. W następnej chwili Cymmerianin rozpoznał, w tym, który cisnął włócznię, wiejskiego chłopca Govindue. Młodziutki wojownik właśnie stanął oko w oko ze śmiercią i miał tylko jednego przyjaciela, który mógł towarzyszyć mu w ostatnich momentach życia.

Conan wydał z siebie najdzikszy cymmeriański okrzyk wojenny i już w biegu wyrwał z pochwy miecz. Pędził w dół, przeskakując głazy i tratując krzaki, niczym lawina staczająca się na Piktów.

# IX

Govindue nie od razu zobaczył Conana przebijającego się przez tyły Piktów. Cymmerianina zasłaniały drzewa i wrogowie. Poza tym, Govindue był zbyt zajęty, próbując utrzymać się przy życiu, podobnie zresztą jak Piktowie próbujący mu je odebrać.

Pierwszy Pikt, który padł z ręki chłopca z pewnością ściągnął na niego uwagę wszystkich Piktów wokół. Wyskakiwali na otwartą przestrzeń, napinali łuki i wypuszczali strzały. Ci bez łuków ciskali włócznie. Tylko zwinne nogi i kilka drzew uratowały Govindue od natychmiastowej śmierci.

Zamiast od razu zginąć, zdołał oddalić się od wrogów na trzydzieści kroków.

Uciekając, szukał kryjówki. Ale bogowie nie chcieli mu zesłać schronienia, w którym ta cuchnąca, górską hałastra z kominami na głowach nie mogłaby go dostrzec. Żeby choć znalazł miejsce dogodne do podjęcia bardziej wyrównanej walki. Może nawet zabiłby jeszcze kilku wrogów, zanim sam padłby trupem. Poza maczugą pozostała mu już tylko jedna włócznia, ale mógłby odebrać broń martwemu przeciwnikowi.

Choć i tak zrobił już więcej, niż się spodziewał. Zabił jednego wroga, ściągnął na siebie innych i wciąż żył. Gdyby pożył trochę dłużej, pieśni o jego czynach wprawdzie nie ukończyłyby żalu ojca po stracie syna, ale uczyniłyby przyjemniejszymi rytuały pogrzebowe.

Nadlatująca włócznia zagrzechotała wśród gałęzi i utkwiała w krzakach na wyciągnięcie ramienia od Govindue. Obejrzał się za siebie i omal nie przyplącił tego życiem. Postawił

stopę na spróchniałej gałęzi, która pękła pod jego ciężarem. Złamany kawał drewna ugodził go w kostkę.

Widząc, że ofiara zwalnia, prowadzący pościg Pikt też zwolnił. Ten błąd drogo go kosztował. Chłopiec zdążył chwycić włócznię i rzucić ją prawie bez celowania.

Pikt ściągał z pleców łuk, gdy włócznia przebiła mu żebra. Wyrzucił do góry ręce i padł, zagrządzając drogę swym towarzyszom. Z ust buchnęła mu krew, zakrztusił się i zakończył

życie w konwulsjach. Czterech żywych, w pełni uzbrojonych Piktów zbliżało się teraz do jednego młodzieńczego Bamula mającego jedną tylko włócznię i maczugę. Wyglądało na to, że pieśni o jego czynach warte będą słuchania.

A że będą o nim śpiewać, Govindue nie wątpił. Za jego plecami drzewa ustąpiły miejsca nagim zboczom, gdzie nawet szczur by się nie ukrył. Na szczycie wzgórza zalegały głazy, ale nie wierzył, że zdoła tam dotrzeć i schronić się za tą skalną osłoną.

Z młodzieńczą brawurą Govindue pokazał góralom obsceniczny gest i zawołał —

Govindue, syn Bessu, śle ukłony waszym kobietom! Może pożałują, żeście zabili lepszego mężczyznę od was i położą wasze części ciała na moim grobie!

Piktowie nie zrozumieli ani słowa z mowy Bamula, ale zrozumieli, że chłopak ich obraża.

Zawyli z wściekłości i jeden napiął łuk.

Nagle stosunek sił całkiem się zmienił. Kamień, który poszybował jakby znikąd, trafił

łuczniaka w gardło. Pozostali przy życiu Piktowie wzdrygnęli się, słysząc ryk podobny do wycia demona.

Rozejrzeli się trwożliwie. Wtedy spomiędzy drzew wypadł jak burza Conan i rzucił się na nich.

Trzech Piktów miało w starciu z Cymmerianinem mniej więcej takie szanse, jak trzy kozły w walce z lwem. Żaden nie zdążył uciec, więc szybko zginęli. Jeden został trafiony włócznią w kark. Z ust buchnęła mu krew, a wokół rozprysły się zęby. Drugi dostał następnym kamieniem. Conan trafił go tuż ponad przepaską na biodrach. Pikt potknął się, wpadł na grube drzewo i zwałił się na ziemię nieprzytomny.

Trzeciemu Piktowi pozostała tylko walka. Odważnie stanął do boju, ale miał przeciwko sobie włócznię Govindue i siekący miecz Cymmerianina. Broń Bamula przebiła jego udo i w tym samym momencie aquilońska stal rozplątała mu ramię, żebra i brzuch.

Conan oparł stopę na ciele wroga i wyszarpnął miecz. Miał uśmiech lamparta.

— Nigdy nie rzucaj włóczni tak blisko człowieka z mieczem.

— Wybacz mi, Conanie.

— Wybaczę, bo mnie nie trafiłeś. A teraz chodźmy zobaczyć, co twój ojciec i inni zrobili z resztą tego cuchnącego, górskiego ścierwa.

— Kim oni są, Conanie?

— To lud zwany Piktami. Więcej powiem ci później.

Jakby dla przypomnienia, że to jeszcze nie koniec, gdzieś w dole wzgórza znów ozwały się bębny. Ale szybko zagłuszyły je wojenne okrzyki obu stron i trzask broni. Govindue mógłby przysiąc, że wśród tego zgiełku usłyszał też krzyki konających.

Nie potrzebował drugiej komendy, by natychmiast ruszyć za Cymmerianinem.

Conan znał Piktów na tyle dobrze, by wiedzieć, jak z nimi walczyć. Ponadto był silny, szybki i miał instynkt. Lata wojen z różnymi wrogami w ponad tuzinie krajów sprawiły, że jego zmysły stały się ostre jak dobry miecz. Wojował już z góralami, takimi jak Piktowie, choć Pustkowie Piktów było dużo gęściej zalesione niż Góry Ilbars czy pustynie pomocnego Iranistanu.



Cymmerianin prowadził Govindue z boczem pośród drzew tuż przy skraju lasu. Poruszałiby się szybciej na otwartej przestrzeni, ale tylko do czasu, gdy piktyjski łucznik weźmie ich na cel. Teraz drzewa zasłaniały ich przed Piktami, podobnie jak Piktów przed nimi. Conan wierzył, że w bezpośredniej walce poradzi sobie z każdym napotkanym Piktem. A zwłaszcza, mając do pomocy drugą parę czujnych oczu i sprawnych ramion, kierowanych ostrym, choć młodzieńczym umysłem.

Mieszkańcy Doliny Martwego Słonia mieliby dobrego wodza, gdyby Govindue dorósł na tyle, by zastąpić ojca, zanim następny atak demonów zrówna wioskę z ziemią.

Conan nie mylił się, sądząc, że drugi zastęp Piktów kryje się naprzeciw tego, na który natknął się Govindue. Tak rozmieszczeni wrogowie mogli zasypać gradem strzał wziętych w dwa ognie Bamula. Conan niejedną raz zastawiał taką pułapkę. Równie często musiał się z takiej wyrwać, zwykle wynosząc rannych lub martwych towarzyszy. Bywało, że sam też uchodził z zasadzki z kilkoma dziurami w skórzanym odzieniu. Taki sposób walki nie miał

przed nim tajemnic.

Jednak Govindue odciągnął pierwszy zastęp Piktów od zaplanowanych pozycji. Potem Bamula i Cymmerianin rozprawili się z wrogami tak szybko i cicho, że ich kamraci na dole nie mieli pojęcia, co zaszło. Gdy Conan i Govindue zbiegli ze wzgórza, zażarci, lecz kiepsko zdyscyplinowani wojownicy strzelali zza drzew do garstki Bamula, nie zważając na własnych ludzi pozostających na linii strzału.

Atak Cymmerianina znów miał siłę kamiennej lawiny zmiatającej ze swej drogi drewnianą chatę. Jednak tym razem Piktów było więcej, choć za to mniej odważnych. Niektórzy stawili mu czoło niczym wściekłe wilki, nie chcąc oddać ani piędzi ziemi. Ale inni rzucili się do ucieczki. Wzajemnie przecinali sobie drogę odwrotu, miotali na siebie przekleństwa i kamienie, a nierzadko wymieniali ciosy.

Conan i Govindue brodzili w tym tumultcie, siekąc na prawo i lewo, dźgając i waląc wrogów, i równo traktując obie zwaśnione frakcje. Ani odwaga, ani szybkie nogi nie mogły uratować tych Piktów, którzy znaleźli się w zasięgu morderczej pary.

Cymmerianin dzierżył w lewej dłoni włócznię, w prawej miecz. Przebił ramię Pikta z toporem i gdy ten wypuścił broń, rozłupał mu czaszkę. Z łucznikiem rozprawił się w odwrotnej kolejności. Przeciął nogi pierzchającego wroga, po czym zatopił włócznię między jego łopatkami. Utkwiła w żebrach, więc nadepnął Piktowi na plecy, by ją wyszarpnąć.

Kręgosłup przeciwnika trzasnął jak gałązka, a Conan odzyskał broń.

Odwróciwszy się płynnym ruchem, Cymmerianin tęnym końcem włóczni wyrznął

następnego Pikta w szczękę. Przeciwnik wpadł między dwóch kamratów, którzy dali mu szansę ucieczki, ruszając na Conana.

Niewiele zdziałali. Pikt potknął się i runął na ziemię, zanim zrobił trzy kroki. Miecz Conana śmignął

w powietrzu, tnąc trzykrotnie — w lewo, prawo i znów w lewo. Głowa jednego wroga opadła jak u pijaczyny, gdy ostrze zostawiło ziejącą czerwienią jamę w jego szyi.

Drugi wrzasnął, chwycił się za udo i upuścił broń.

Czwarte cięcie miecza przepołowiło mu głowę.

Govindue miał tylko włócznię ze skrzywionym szpicem, ale przebił nią jednego Pikta i odrzucił w tył drugiego. Trzeci rzucił się na niego, wymachując kamiennym toporem i drąc się jak stado demonów. Govindue schylił się zręcznie i gdy ostrze przeszło mu nad głową, walnął Pikta dzidą po rękach.

Przeciwnik zawył i zgubił topór. Govindue szybko zmienił chwyt na włóczni i dźgnął z całej siły. Drzewce dzidy splamiła krew tryskająca z ust Pikta, gdy charcząc wypuścił

powietrze z przebitych płuc. Ale zaczął się szarpać tak mocno, że wyrwał Govindue broń z ręki.

Conan kopniakiem powalił Pikta, lecz włócznia pozostała w jego ciele. Cymmerianin osłonił chłopca przed dwoma innymi Piktami i Govindue zdążył podnieść topór.

— To coś jak maczuga — stwierdził, ważąc go w dłoni. Potem zamachnął się wściekle, pokazując dużo siły i mało wprawy. Akurat jeden z Piktów wybrał sobie ten moment na atak.

Topór wylądował na jego nosie i pechowiec padł bez jęku ze zmiażdżoną twarzą.

Conan i jego towarzysz oczyścili już wokół siebie sporą przestrzeń, nie pozostawiając na niej żywych, a przynajmniej zdolnych do walki, Piktów. Wycie i okrzyki wśród drzew oznajmiły im bliską obecność następnych wrogów, ale i to, że w ich kierunku przebijają się Bamula.

Całe szczęście, pomyślał Cymmerianin, że wrota demonów nie zaćmiły umysłu tym, co przez nie przeszli, ani nie zmieniły ich w demony. Gdyby Bamula opuścili wrota zbyt otępiali, by walczyć z Piktami, przysłoby mu samemu szukać w tej głuszy Vuony.

Teraz miał do pomocy dwudziestu lub więcej towarzyszy. Mogli razem stawić czoło

Piktom, poszukiwać Vuony i tropić władcę wrót demonów. Choć miało to też swoje złe strony: dwudziestu ludziom trudniej się ukryć niż jednemu, niewielu z nich znało północne kraje i było nawykłych do zimna, a niektórzy nie w pełni zasługiwali na zaufanie.

Conan dał sygnał Govindue, by się rozdzielili i zaczęli przedzierać w dół wzgórza. Strzały sypały się teraz gęściej, bo Piktowie nie bali się już trafić swoich — część nie żyła, inni uciekli. Szczęściem nie mieli wielkiego pojęcia o skutecznym używaniu łuków. Wiele mogliby się nauczyć od każdego zastępu konnych łuczników z Turanu w sile choćby

dwudziestu ludzi. Woleli zasypywać wroga gradem strzał, licząc na ich ilość, zamiast ćwiczyć celność.

Kryjąc się za drzewami, Conan i Govindue dotarli do resztek Piktów. Skoczyli na nich i ukatrupili

trzech w chwili, gdy pozostali przestali strzelać w obawie, że trafią swoich. Conan natychmiast wykorzystał zdobyczy łuk i kazał Govindue szukać następnych. Również strzały nadające się do użytku były nie do pogardzenia.

— Będziemy na tej ziemi dość długo, by potrzebować mięsa — wyjaśnił Cymmerianin. —

A na polowaniu włócznia nie może się równać z łukiem.

— Walczyłeś już w tym kraju? — zapytał Govindue.

— W innych na tyle podobnych, by wiedzieć, co może mnie spotkać tutaj. A ponadto znam opowieści ludzi z różnych stron, którzy służyli Aquilończykom na granicy kraju Piktów. Po skończonej służbie chętnie o tym rozprawiali.

— Oby bogowie sprawili, że to wystarczy — rzekł Govindue. Przez chwilę wydawał się być tylko odważnym chłopcem rzuconym z dala od domu, a nie doświadczonym

wojownikiem.

Conan klepnął go w ramię. — Pospiesz się z tym zbieraniem strzał. A ja zobaczę, czy jakiś Pikt nie był na tyle głupi, żeby się tu jeszcze włóczyć.

Zanim odgłos piktyjskich bębnow zamarł w uszach Scyry, już wypełniła je bitewna wrzawa.

Córka czarownika natychmiast przywarła do leśnego poszycia. Piktowie rzadko zapuszczali się tak daleko na ziemię jej ojca, a o wojnie na tych terenach nigdy nie słyszała. Gdyby odkryła, kto z kim walczy i zaniósła wieść ojcu, wybaczyłby jej ucieczkę z groty.

Musiałyby jednak połączyć ciekawość z ostrożnością. Inaczej mogłoby się zdarzyć, że zabierze to odkrycie do grobu. Piktowie byli mistrzami w poruszaniu się po lesie, ale i ona nie była całkiem bezradna. Kto urodził się na Pograniczu Bossońskim, potrafił odróżnić jedno drzewo od drugiego i dobrą kryjówkę od złej.

Scyra wyobraziła sobie położenie pola bitwy i najlepszą drogę, żeby się tam podkraść.

Rozważała, czy nie skorzystać z zaklęcia, które uczyni ją niewidzialną, lecz zrezygnowała.

Taki czar nie działał długo i mógł prysnąć w najmniej odpowiedniej chwili. Ukazałaby się wówczas oczom wroga zupełnie bezbronna. (Stanie się niewidzialnym wymagało, by miała na sobie czarodziejską szatę, a do obrony najwyżej szpilkę do włosów.)

Nie. Musi jej wystarczyć ostrożny krok kota podkradającego się do ptaka.

Dowie się najwięcej, ryzykując jak najmniej. Zaczęła pełznąć na czworakach, by przeciąć polanę, gdzie zasłaniały ją tylko zarośla. Trzydzieści kroków dalej znów zaczynały się drzewa. Las ciągnął się w górę zbocza aż do celu jej wędrówki.

Scyra przeżyła zaledwie piętnaście kroków, gdy coś poruszyło się w krzakach.

Znieruchomiała i wstrzymała oddech. Po chwili zarośla znów zafalowały. Bez wątpienia ukrywali się tam ludzie.

Nasłuchiwała w obawie, że trafiła na zaczajonych Piktów. Możliwe, że walczą ze sobą dwa góralskie szczepy. Węże lub Wilki naruszyły tabu, wkraczając na ziemię białego szamana, a Sowy jej bronią. Scyra nie miała złudzeń. Nie byłaby w pełni bezpieczna w rękach żadnej ze stron. Ale Węże z całą pewnością zabiłyby ją bez litości. Sowy mogłyby się wahać, bo jest córką szamana. O ile rozpoznałyby ją na czas.

Szybko uświadomiła sobie, że w dochodzącej tu wrzawie bitwy nie usłyszy skradających się Piktów. Ale też oni nie usłyszą jej. Wyciągnęła sztylet i podpełzła do krzaków.

Wśród trzasku gałęzi i chrzęstu żwiru, na otwartą przestrzeń wyskoczyła ciemnoskóra postać. Zdążyła zrobić jeden krok, gdy Scyra złapała ją mocno za obie kostki. Nie знаła sztuki walki, ale była opanowana, silna i odważna. Taka się urodziła, a lata życia w głuszy jeszcze ją zahartowały. Postać runęła na ziemię. Z odległości nie większej niż ostrze sztyletu Scyra spojrzała w rozszerzone strachem oczy młodej kobiety.

Córka czarownika oddałaby teraz dziesięć lat życia za zakłęcie, które uciszyłoby obcą i przekonało ją, że nie ma przed sobą wroga. Ale jedyne, co mogła zrobić, to zasłonić dłonią usta kobiety i szepnąć jej do ucha coś uspokajającego. Scyra zauważyła na tym uchu zakrzepłą krew z rany po wyrwanym kolczyku, a na ciele obcej siniaki i zadrapania. Część z nich mogła powstać od otarć o skały, ale inne z pewnością nie.

Poza tymi drobnymi obrażeniami, kobieta wyglądała na całą i zdrową. Miała ciemniejszą skórę niż Piktowie czy Shemici i okrągłą twarz. Scyra nie знаła tej rasy. Do ciała obcej przyłgnął kurz i suche liście, ale pod nimi rysowały się pełne kształty młodej dziewczyny, która dopiero staje się dojrzłą kobietą.

Czy pochodziła z Czarnych Królestw daleko na południu? Bardzo możliwe. Scyra słyszała, jak wyglądają mieszkańcy tamtych stron. Ale jeśli tak, to co robiła na Pustkowie Piktów, dalej od domu niż Scyra zdolna była sobie wyobrazić? W pobliżu nie było nawet wybrzeża, gdzie mógłby przybić statek.

Odpowiedź nasuwała się sama. Przejście między światami połączyło Czarne Królestwa z Pustkowie Piktów. Albo sprawił to Lysenius, albo czysty przypadek. Kobieta przeszła przez nie lub wciągnęła ją moc czaru zniewalającego umysł, jak wielu innych przed nią. Czy przybyła tu sama?

Nie nosiła ani odzienia, ani broni. Trudno uwierzyć, by ktoś wyruszył tak w nieznane. Może jest niespełna rozumu? Scyra znów zajrzała obcej w oczy.

Wciąż były wytrzeszczone i czał się w nich strach, ale nie znalazła oznak szaleństwa.

Wskazała na siebie i powiedziała — Scyra.

Obca jeszcze bardziej wytrzeszczyła oczy. Wycelowała palec w swoją pierś i odpowiedziała

— Vuona.

— Vuona — powtórzyła Scyra, wskazując kobietę. Ciemnoskóra istota energicznie przytaknęła.

Przez to wszystko Scyra prawie zapomniała o odgłosach bitwy. Teraz ocknęła się. Okrzyk śmierci przeszył powietrze niczym strzała i odbił się echem między drzewami.

— Wayo, wayo, wayo! — usłyszała. Słowa dochodziły od strony pola walki. Brzmiały jak pieśń, wydobywająca się z wielu męskich, silnych gardeł. Słyszała już pieśni zwycięstwa Piktów, ale ta ich nie przypominała. Była głębsza, pełniejsza, jakby bardziej przejmująca.

Nigdy nie słyszała niczego podobnego.

Vuona podskoczyła, jakby ukąsił ją wąż.

— Bamula! — krzyknęła.

Scyra spróbowała ją powstrzymać. Trzy klany Piktów musiały ją usłyszeć, o ile już nie ściągnęła ich tu bitewna wrzawa. Wyrwanie się do przyjaciół mogło zakończyć się śmiercią w zasadzce Piktów. Często zastawiali takie pułapki.

Kobieta szarpała się z zadziwiającą siłą i teraz Scyra żałowała, że nie ma piktyjskiego młota wojennego. Celny cios w głowę i...

— Ty Bamula? — zapytała. Czyżby to była nazwa plemienia Vuony? Czy to możliwe, by cały zastęp wojowników przeszedł przez wrota demonów i natknął się na Piktów?

Pieśń brzmiała dalej i niemal zagłuszała odgłosy walki. Nie słychać było żadnego Pikta, tylko Bamula. A może to Piktowie wpadli na przeważające siły Bamula?

Nagle na zboczu wzgórza zapadła cisza. Trwała nie dłużej niż jeden głęboki oddech i ozwała się nowa pieśń.

— Ohbe Bessu, ohbe Bessu, ohbe Bessu! — Pieśń nie brzmiała ciszej niż poprzednia, ale była wolniejsza, jakby żałobna. Vuona słuchała z uwagą. Potem wydrapała w ziemi płytki rowek, wepchnęła do niego małą, sosnową szyszkę i zasypała ją.

— Bessu — powiedziała, wskazując kopczyk.

Widać zwycięstwo wymagało ofiar. Wojownik, zwany Bessu, poniósł zaszczytną śmierć.

Uhonorowano go godniej niż to było w zwyczaju Piktów, żegnających poległych wyciem.

Vuona wskazała na wzgórze. Scyra westchnęła. Wyglądało na to, że kobieta chce się tam dostać, nie bacząc na strzały i Piktów. Ale przynajmniej nie będzie sama. Może potem odwdzięczy się Scyrze i wróci z nią do groty. Choćby tylko po to, by dostać jakieś okrycie i maść na siniaki. Bo po cóż by innego!

Ale potem... Kto wie, co się może wydarzyć? Scyra nie znała zaklęcia, które nauczyłoby ją języka Vuony, albo Vuonę mowy bossońskiej. Nie mówiąc już o takim, które pozwoliłoby Scyrze poznać czyjeś myśli bez słów. Takie zaklęcia skrywały niedostępne dla niej zwoje.

Nie tylko nigdy ich nie czytała, ale nawet nie dotykała. O ile ojciec nie przechowywał tych zaklęć w głowie. Może tak dobrze je pamiętał, że już nie potrzebował zwojów?

A jeśli tak... Vuona mogłaby przemówić, mogłaby uznać Scyrę i Lyseniusa za przyjaciół, mogłaby przyprowadzić do nich innych Bamula... Tych Bamula, co przeszli przez wrota demonów w tak dobrym stanie, że potrafili pokonać Piktów!

Scyra dawno temu przysięgła sobie, że albo zwycięży ojca, albo pozyska jego względy.

Przez pamięć o ich dawnej, wzajemnej miłości wołałaby to drugie. Bamula mogli dać jej klucz do tego.

Govindue pozwolił Conanowi iść na przedzie, kiedy schodzili ze wzgórza na spotkanie z Bamula. Wiejski chłopak kroczył z tyłu dumnie, bo tego dnia zdobył sobie sławę, która przetrwa nawet, gdyby to była jego ostatnia walka.

Zastanawiał się, czy plemię Conana — jak ono się nazywa? Kimmerala? — ma zwyczaj śpiewania pieśni sławiących imiona bohaterów. I czy Govindue z Wioski Martwego Słonia i plemienia Mniejszych Bamula będzie kiedyś opiewany przy ogniskach w Kimmerali.

Govindue miał szczęście, że przepuścił Conana przodem. Cymmerianin pierwszy zobaczył drżące liście i czającego się żywego Pikta tam, gdzie kto inny widziałby tylko martwego.

Wokół nie brakowało zabitych Piktów i Conan zabrał jednemu z nich topór z krótkim trzonkiem. Niezbyt dobrze wyważona do szybkiego rzutu broń, poszybowała jednak w zarośla.

Wrzask podobny do ryku pantery zmroził wszystkich oprócz Conana. Wciąż szedł naprzód, gdy śmiertelnie ugodzony Pikt wyskoczył z krzaków. Jedno ramię zwisało mu bezwładnie, ale w drugim dzierżył włócznię. Poleciała wprost na nadchodzących Bamula.

Większość mężczyzn zdążyła przypaść do ziemi lub unieść tarcze. Bessu był na tyle szybki i miał tak dobre oko i silne ramię, że też cisnął włócznię. Nie chroniła go jednak tarcza —

oddał ją wojownikowi, który stracił swoją. Zanim pomyślał, jak się zasłonić, broń wroga przebiła mu gardło.

Bessu poleciał do tyłu pchnięty impetem włóczni, nogi ugięły się pod nim i upadł na plecy.

Jego włócznia utkwiała w piersi Pikta i przeszła na wylot. Zabiła martwego, ale Bamula wzniesli taki okrzyk, jakby Bessu trafił wodza Piktów.

Govindue uklęknął przy ojcu, gdy inni zaintonowali „Wayo, wayo, wayo...”, po czym przeszli do „Ohbe Bessu...”

„Cześć Bessu”. O tak, oddajmy cześć człowiekowi, który podążył śladem syna przez wrota demonów, znalazł się na obcej ziemi i poległ w bitwie.

Bessu usłyszał to tylko uszami duszy. Jego twarz była nieruchoma, a oczy szeroko otwarte.

Musiał umrzeć, gdy uderzył o ziemię.

Twarz Govindue też przypominała maskę z twardego, wypolerowanego drewna, na której zastygł smutek. Zacisnął dłoń na włóczni. Zwyczaj nakazywał, by to krewny poległego wojownika, jeśli taki był w pobliżu, wyciągnął z ciała narzędzie śmierci i zrobił dla zmarłego wszystko, co należy. Jeżeli

nikt z rodziny nie był obecny, obowiązek ten spadał na najstarszego z żyjących wojowników, związanego z zabitym przysięgą krwi. Po walce, jeden albo drugi musiał udźwignąć brzemień ducha zmarłego, ale było ono mniejsze niż w

przypadku kogoś zupełnie obcego.

Govindue pomyślał, że to dźwiganie to daleka przyszłość. Za to niedaleka rysowała się niezbyt różowo. Pozostali też o tym myśleli. Na razie niepokoił ich los ciała Bessu i innych poległych w tym dalekim, zimnym kraju, zamieszkanym przez dzikich ludzi podobnych do demonów.

— Musimy oddać cześć również Conanowi — powiedział Govindue. — Bez jego ramienia i miecza ucierpielibyśmy dużo bardziej. Bez jego znajomości tego kraju wciąż byłibyśmy w niebezpieczeństwie.

Syn wodza spojrział na ciemnowłosego wojownika. Miał nadzieję, że jego głos i oczy nie zdradzają desperacji. Conan wzruszył ramionami.

— Co do Piktów, to niewiele mogę zrobić. Słyszałem, że roją się jak dzikie pszczoły i równie trudno ich pozabijać. Ale owszem, ta ziemia bardziej przypomina moją niż waszą.

Wiem to i owo o sposobach przeżycia i walki w tym kraju. Pod jednym względem mieliśmy większe szczęście, niż się spodziewałem. To nie królestwo demonów, z którego jedyna droga powrotna wiedzie przez ich wrota. Tajemniczy władca wrót demonów może nie jest naszym przyjacielem, ale my może wcale nie będziemy potrzebować jego przyjaźni. Gdzieś na krańcach tego pustkowia rozciąga się morze. A na morzu są statki. Można je nająć albo w potrzebie zagarnąć. Pamiętajcie, że pływałem u boku Belit i znam to rzemiosło.

Idosso wystąpił naprzód, potrząsając głową. Govindue miał nadzieję, że to jeszcze oszołomienie po ciosach Conana, a nie wzbierająca wściekłość i chęć wszczęcia walki.

Pierwsze słowa Idosso rozwiały tę nadzieję.

— Chcesz powiedzieć, że ty tu teraz dowodzisz, Amradulik? Nikt nie nazywa „Lwim

Łajnem” człowieka, z którym pragnie pokoju. Nawet żartem. A w uszach Govindue pytanie Idosso nie zabrzmiało jak żart.

— Chcę powiedzieć, że ja znam ten kraj, a wy nie — odparł Conan. — A może ktoś ma zamiar się spierać...? Dużo łatwiej przyjdzie mi znaleźć bezpieczną drogę przez Pustkowie i statek do ciepłych krajów dla siebie i Vuony niż dla nas wszystkich. Jeśli taka twoja wola, powiedz to wprost i teraz, a nie będziemy się wadzić.

Myśl o pozostaniu na zimnie i łasce Piktów, głodowaniu i pewnej śmierci nie była nikomu miła. Nawet Idosso stracił nieco animuszu.

Dostrzegł też coś w twarzach innych. Govindue był za młody, by umieć to coś nazwać, ale dość dorosły, by mu się to nie spodobało.



— Mamy brnąć przez tę głuszę za Vuoną tylko po to, by znaleźć ją z piktyjską strzałą w...?

— rzucił zaczepnie wielki wódz i wykonał sprośny gest.

Wywołało to niewielką wesołość. Conan znów wzruszył ramionami.

— Skoro sądzisz, że znasz lepszy sposób, by ją odnaleźć, to idź sam jej szukać. Ale wątpię, czy ci się to uda. Chyba że martwą lub ciężko ranną i niezdolną do marszu. Im bliżej niej będziesz, tym szybciej będzie uciekać. Aż w końcu ci umknie.

— Żadna kobieta nie musi się mnie bać — warknął Idosso. Govindue zauważył, że wódz zaciska pięści, a Kubwande wierci się niespokojnie. Na swoje nieszczęście Idosso stał

plecami do młodszego wodza. Zdawało się, że nie potrafi odczytać z twarzy stojących przed nim wojowników żadnego ostrzeżenia.

— Prawda jest taka... — ciągnął — że Vuona z radością powróci do mnie. Z Amry

niewielki dla niej pożytek. Co z niego za mężczyzna? On woli mościć sobie posłanie z takimi jak Govindue.

W lodowato niebieskich oczach zamigotały mordercze błyski. Conan zacisnął dłonie w kułak i postąpił krok naprzód. Idosso szeroko rozstawił nogi, gotów odparować uderzenie pięści lub stali.

Ale cios nie nastąpił. Conan powściągnął gniew.

— Zatem, dobrze. Skoro twierdzisz, że Govindue to mój ulubieniec... — odrzekł spokojnie

— powinienem tego dowieść. Jesteś teraz drugi po mnie, chłopcze. A ty, Idosso, masz słuchać jego rozkazów jak moich.

Cymmerianin odwrócił się plecami do wielkiego wodza. Przez moment Govindue myślał, że kruchy pokój utrzyma się.

Nagle ktoś się roześmiał. Kubwande potoczył groźnym wzrokiem po kręgu wojowników, szukając głupca, który ośmielił się drwić z Idosso, gdy w wodzu wzbiera wściekłość.

Govindue też się rozejrzał. Jeśli miał dowodzić tymi ludźmi, dobrze było wiedzieć, kto z nich jest głupi, a kto mądry, zanim powie mu to Conan.

Ani młodszy wódz, ani chłopak nie zdążyli wykryć śmiałka. Idosso ryknął jak parzący się bawół i runął na Cymmerianina.

Groźny ryk Idosso miał zapewne sparaliżować przeciwnika. Z pewnością wielu wrogom odebrałby przynajmniej część odwagi.

Dla Cymmerianina był tylko ostrzeżeniem i Idosso stracił przewagę, jaką dałoby mu zaskoczenie. W

chwili, gdy bardzo jej potrzebował, nie wykazał się mądrością

doświadczonego wojownika. Ale też Idosso nigdy nie słynął z mądrości.

Conan wiedział, że ma do czynienia z niebezpiecznym przeciwnikiem. Gdyby Idosso zadał

mu celny cios pięścią lub nogą, albo żelaznym chwytem unieruchomił jego kończynę, nie mówiąc już o szyi, atak mógłby się źle skończyć dla Cymmerianina. Rzadko zdarzało mu się walczyć gołymi rękami z człowiekiem dorównującym mu masą ciała, siłą i szybkością. A w tym przypadku wściekłość czyniła Idosso jeszcze szybszym.

Conan odskoczył na taki dystans, by zdążyć pozbyć się miecza. Miał nadzieję, że Govindue przypilnuje broni, ale nie miał czasu spojrzeć, gdzie upadła. Nie mógł pozostawić miecza przy pasie w honorowym starciu wodzów i to nie tylko dlatego, że tak nakazywał zwyczaj Bamula.

Gdyby stał wpadła w potężne łapska Idosso, wódz zapewne nie oparłby się pokusie łatwego zwycięstwa, ryzykując nawet utratę honoru w obecności współplemieńców. W istocie to zwycięstwo nie byłoby wcale łatwe, o ile w ogóle byłoby możliwe. Ale Conan wątpił, czy zyskałby wiele, pokonując Idosso za cenę tak ciężkiego zranienia, żeby potem nie móc wyprowadzić Bamula z tego zauszonego kraju Piktów. Ten zastęp potrzebował jednego przywódcy, urodzonego na północy i zdolnego do walki.

Odrzucony miecz z brzękiem wylądował na kamienistej ziemi. Widzowie syknęli i każdy uderzył jedną zaciśniętą pięścią o drugą. Ten gest oznaczał u Bamula aprobatę dla takiego czynu. Conan miał nadzieję, że przyglądanie się walce nie pochłonie ich na tyle, że zapomną wystawić strażę. Wątpił, by wszyscy żywi Piktowie wynieśli się z tej części lasu i wiedział, że gdzieś dalej z pewnością roi się od nich.

Idosso natarł na Conana i Cymmerianin pozwolił mu się zbliżyć. Gdy wielki wódz znalazł się w zasięgu ciosu, Conan skoczył szybko naprzód. Jego pięść trafiła przeciwnika w skroń.

Gdyby to uderzenie zostało zadane mocniej i celniej, powaliłoby osła.

Ale Idosso nie brakowało sprytu, przynajmniej w walce gołymi rękami. Zdążył nieco uchylić głowę, gdyż czujnie poruszał się z boku na bok. Cios musnął go tylko, zamiast roztrzaskać mu czaszkę. W odpowiedzi wymierzył Conanowi kopniaka w kolano, ale

Cymmerianin też był szybki. Wielka stopa Bamula ledwo otarła się o jego nogę.

Obaj mężczyźni krążyli wokół siebie i żaden nie mógł osiągnąć wyraźnej przewagi nad drugim. Tak przynajmniej zdawało się widzom. Conan również uważał, że jej nie ma. Jedno potknięcie na tutejszym nierównym gruncie mogło narazić go na celny cios i spowolnić jego ruchy. A ten, kto pierwszy straciłby szybkość, pierwszy pożegnałby się z życiem.

Niewiele sposobów walki wręcz stanowiło dla Conana tajemnicę. Był wojownikiem od piętnastego roku życia. Wiedział, że jeśli się nie potknie, może nie obawiać się o wynik starcia. Potrzebował

teraz szybkiego zwycięstwa, by rozwiąć wątpliwości tych, których miał

wyprowadzić z tego pustkowia. Gdyby walka trwała za długo, mogliby się wahać.

Poza tym, przeciągająca się walka groziła obrażeniami mogącymi uczynić Cymmerianina niezdolnym do dowodzenia ludźmi. Piktów też nie można było ignorować. Im dłużej

wojownicy Bamula mieli uwagę zajętą obserwowaniem starcia, tym więcej czasu mieli Piktowie, by zebrać siły.

Conan nie mógł zrezygnować z walki i uciec do lasu. Nie pozwalał mu na to honor i zdrowy rozsądek. Miał zatem do wyboru szybkie zwycięstwo albo śmierć i postanowił zaryzykować to pierwsze. Na szalę rzucił nie tylko swoje życie, ale również życie tych, których rym zwycięstwem mógł uratować.

Należało zaczekać, aż Idosso znów zaatakuje pierwszy. Tyle że zanosilo się na to, że trzeba będzie czekać do zachodu słońca. Tymczasem to oczekiwanie nie trwało dłużej niż czas potrzebny głodnemu do ogryzienia kurzego udka.

Conan udał, że się potknął. Odwrócony bokiem Idosso obrócił się. Wtedy się odsłonił.

Cymmerianin przeturlał się na plecach i kopnął z obu nóg.

Jedna stopa osłonięta skórzaną podeszwą dosięgła celu. Skóra zebry, okrywająca krocze Idosso nie była przy takim ciosie więcej warta niż jedwabna damska koszulka. Stalowy pancerz, noszony w tym miejscu przez aquilońskich rycerzy, pewnie by wytrzymał, ale i on wgiąłby się na tyle, że jego właściciel czułby się nieswojo przez wiele dni.

Idosso zgiął się wpół, lecz zdołał chwycić Conana za kostki. Cymmerianin zrobił szybki półobrót, oswobodził nogi i znów kopnął. Tym razem trafił wodza w kolano i usłyszał trzask kości. Usłyszał również krzyk, ale nie Idosso. — Uważaj, Conanie!

Rozpoznał głos Kubwande. Przeturlał się znowu i ostrze jego własnego miecza w ręce Idosso opadło tam, gdzie przed chwilą leżał. Zryło głęboko kamienisty grunt i Conanowi przemknęło przez głowę, że przybędzie na nim nowych szczerb. Jeszcze trochę, a potrzebna będzie wizyta w kuźni albo maczuga zamiast bezużytecznej stali.

Conan zerwał się na równe nogi i celnym kopnięciem wytrącił Idosso broń. Poszybowała w powietrzu i zniknęła mu z oczu. Cymmerianin splótł dłonie i opuścił je z całą siłą na kark przeciwnika. Czaszka i kręgosłup trzasnęły od straszliwego ciosu. Idosso upadł twarzą na ziemię, przetoczył się na bok, potem na plecy i światło zgasło w jego oczach.

Do czujnych uszu Conana dotarły teraz odgłosy innej walki lub przynajmniej bójki.

Rozejrzał się natychmiast i zobaczył Govindue, tarzającego się po ziemi z innym

wojownikiem. Cymmerianin odszukał wzrokiem miecz, schylił się i podniósł go, lecz napotkał

ostrzegawczo uniesioną dłoń Kubwande.

— Ha, Conanie! Pohamuj się. To walka wodzów, jak wasza. Stal nie ma tu nic do roboty.

Conan przez chwilę rozważał, czy nie dać stali innej roboty, na przykład rozplatać czaszkę lub brzuch Kubwande, ale powstrzymał się. Było całkiem możliwe, że Kubwande ma na tyle rozumu, by pójść za zwycięskim Amrą, przynajmniej dopóki Amra nie wyprowadzi

wszystkich z Pustkowie Piktów. Ten człowiek nie miał zapewne krzty honoru, ale na każdą zdradę uknutą przez niego po powrocie w rodzinne strony Conan mógł odpowiedzieć

mieczem. A gdyby uznał to za lepsze wyjście, miał również parę szybkich nóg. Kubwande był dość walecznym wojownikiem i niewielu w tym zastępie mogło mu dorównać. Nie należy pozbywać się przydatnego człowieka tylko z powodu tego, co mógłby kiedyś zrobić. Tak mówiła jedna z zasad mądrego dowodzenia ludźmi i odnosiła się do wszystkich ras: białej, czarnej, żółtej, brązowej czy zielonej w czerwone paski, jeśli takowa istniała!

Conan nie znał imienia przeciwnika Govindue, ale zamierzał powiedzieć mu parę słów do słuchu, jeśli ten wygra walkę. A jeśli zabiłby chłopaka, porozmawiałby z nim jeszcze ostrzej, za pomocą miecza. Stan ostrza przypawiłby każdego kowala o atak apopleksji, ale było ono jeszcze dość ostre, by rozłupać twardą czaszkę temu, co wprowadza zamęt w szeregach tych zagubionych wojowników. To nie pora i miejsce na próbę sił między wodzami!

Obaj walczący odznaczali się jednakową siłą, ale przeciwnik Govindue miał więcej doświadczenia. Chłopak nadrabiał to młodzieńczą zwinnością i bardzo się starał. Tak zależało mu na zwycięstwie, jakby miało ono przywrócić życie jego ojcu.

Ta myśl kazała Conanowi spojrzeć na zwłoki Bessu. Martwy wódz wciąż leżał tam, gdzie padł. Musiały być też inne trupy. Teraz, kiedy już nie było Idosso, należało odszukać wszystkich poległych i odprawić odpowiednie rytuały, żeby ciała nie wpadły w ręce Piktów, którzy poddali je zgoła innym obrządkom.

Conan niewiele wiedział o tym, jak Piktowie traktują zabitych wrogów, ale wątpił, by ich praktyki bardzo różniły się od zwyczajów innych znanych mu przeciwników. Każdy, kto widział cały patrol wbity na pale, wykastrowany, czy okaleczony w inny straszliwy sposób przez okrutnych wojowników z Afghuli, mógł się spodziewać co najmniej tego samego po Piktach.

Conan był pewien, że tylko odprawienie właściwych rytuałów pogrzebowych przyniesie ulgę sercom i umysłom pozostałych przy życiu Bamula. Znaleźli się tak daleko od domu, że nawet duchy mogły mieć trudną drogę do Czarnej Lasu. A wszystko, co uspokoiłoby umysły Bamula, ułatwiłoby zadanie stojące przed Conanem.

Myśli Cymmerianina jak gdyby dodały Govindue sił. Wyśliznął się jak piskorz z objęć przeciwnika. Pot spływał z niego obficie. Wyskoczył w górę i nogą trafił swego wroga w gardło. Kopnięcie nie zmiażdżyło tamtemu tchawicy, ale wojownik chwycił się obiema dłońmi za szyję.

Govindue oderwał mu jedną rękę od krtani i gwałtownym szarpnięciem wykręcił ją do tyłu.

— Poddaj się, Bowenu — warknął. Jego głos zabrzmiał, jakby był o dziesięć lat starszy i dowodził całym zastępem.

— Nie do mnie należy decydowanie o twoim losie, Bowenu... — zaczął Kubwande — ale gdybym był tobą...

Bowenu nie odpowiedział ani składnie, ani uprzejmie. Govindue wykręcił mu drugą rękę i przydusił go do ziemi.

— A teraz poddasz się i przysięgniesz słuchać mnie jako wodza całej wioski?

— Aaa... ooo... tych z naszej wioski, co są tutaj i... dowodzi, nimi Amra... Wystarczy...?

Conan miał nadzieję, że Kubwande będzie na tyle rozumny, żeby się nie wtrącać, a Govindue, żeby dalej nie naciskać. Chłopiec z pewnością był w takim wieku, że mógłby już zastąpić ojca, a jego bohaterskie czyny tego dnia upoważniały go do tego bardziej niż więzy krwi. Ale nie powinien od razu żądać zbyt wiele.

— Więc uznajesz Conana za naszego wodza na tej ziemi? — naciskał Govindue.

— Tak... Przysięgam na krew, że... złożę w ofierze wszystko... co mi nie będzie potrzebne w tej krainie potworów!

— Sprytnie pomyślane, Bowenu — roześmiał się Conan. — Każdemu z nas będzie

potrzebne wszystko, co tylko mamy ze sobą i co uda nam się ukraść Piktom. Inaczej nie przeżyjemy i nie znajdziemy drogi do domu. Co na to powiesz, Govindue?

Chłopiec... nie — Conan postanowił, że już go tak nie będzie nazywał — młody wódz

podniósł się i spojrzał z góry na swego niedawnego przeciwnika. — Zgoda, Bowenu. I mam nadzieję, że więcej nie rzucisz mi wyzwania, nawet po powrocie do domu. Nie chciałbym pokonać tak odważnego wojownika i osłabić naszej wioski.

— Przyniosę ptasie jaja na rosół dla twego pierwородnego syna — obiecał Bowenu, gdy wreszcie odzyskał zdolność wyraźnego mówienia.

Conan z uznaniem spojrzał na młodego wodza. Govindue okazał się mądrym, rozważnym i wspaniałomyślnym mężczyzną. Te cechy powinny przysporzyć mu zwolenników.

Cymmerianin nie spodziewał się wielu kłopotów ze strony sześciu czy siedmiu wojowników z Doliny Martwego Słonia.

Co do reszty...

— Iqako Kubwande. Nie proszę o przysięgę. Powiem tylko, że nie chcę między nami zwady. Idosso był twoim przyjacielem, ale nie moim.

— Rzucając ci wyzwanie w sposób, w jaki to uczynił, stracił wśród nas przyjaciół —

odrzekł Kubwande. — Nie cofnę słów, którymi słauiłem go przed ludźmi i bogami. Ale powiem, że żył godniej niż umarł. Niechaj bogowie wynagrodzą go za jego życie i wybaczą mu haniebną śmierć.

Wydawało się, że to satysfakcjonuje Większych Bamula. Nie dawało to pełnej satysfakcji Conanowi, ale wiedział, kiedy nie należy żądać więcej. Postanowił jednak dyskretnie pilnować Kubwande i nie pozwolić mu zbliżyć się do siebie z tyłu bardziej niż to konieczne.

— Wiemy zatem, kto dowodzi — powiedział Cymmerianin. — I wiecie, jakim jestem

człowiekiem. A ja wiem, co należy najpierw zrobić. Trzeba pozbierać zabitych, opatrzyć rannych i znaleźć bezpieczne miejsce na nocleg.

— A są tu takie miejsca? — zapytał ktoś.

— Może są, a może nie — odparł Conan. Podniósł pięść i dodał — Ale na pewno nie będzie bezpieczny ten, kto nie posłucha moich rozkazów.

Kubwande i Govindue również unieśli pięści. Rytualny gest zrobił swoje. Nikt się nie odezwał, za to wszyscy rozbiegli się, by zluzować strażę, poszukać mchu i liści na posłania dla rannych i odnaleźć poległych, którzy nie leżeli na widoku.

Scyra nie potrzebowała teraz znać języka Vuony, by zrozumieć, co zamierza ciemnoskóra kobieta. Vuona myślała tylko o jednym: chciała przyłączyć się do swoich.

Scyrze wydawało się, że to pragnienie stało się silniejsze po walce dwóch najwyższych wojowników i zwycięstwie człowieka z północy. Czyżby pokonany czarny mężczyzna był

wrogiem Vuony? Bardzo możliwe. Scyra nie potrafiła dokładnie odczytywać myśli, ale rozpoznawała zło tkwiące w człowieku po wyrazie jego twarzy. Wielki, czarny wojownik jeśli nie był samym złem, to w każdym razie kierowała nim zbyt wielka wściekłość, by potrafił wydawać rozkazy lub ich słuchać.

Jeżeli walka toczyła się o przywództwo, to Bamula wybrali lepszego wodza. Wielki mężczyzna z pomocy roztaczał wokół siebie jakby królewski majestat. Nie przyćmiło go nawet odzienie wojownika Bamula, krew, brud i sińce. Wyglądałby tak samo w zielonym stroju bossońskiego łuczника czy w zbroi aquilońskiego rycerza. Choć nie w szacie czarnoksiężnika, bo sprawiał wrażenie stworzenia lubiącego otwarte przestrzenie lub nawet pustkowia. Biła też od niego szczerłość. Scyra niegdyś sądziła, że tę cechę posiada również jej ojciec, jako jedyny z czarowników. Ale nawet jemu jej brakowało.

Tak pochłaniała ją postać człowieka z pomocy, że przestała zwracać uwagę na Vuonę.

Vuona nie była głupia i szybko się w tym połapała. Zerwała się nagle i pobiegła w kierunku Bamula.

Wojownicy właśnie układali rannych i zabitych na prowizorycznych noszach z żerdzi i gałęzi, gdy jeden z nich zobaczył Vuonę. Krzyknął i pomachał do niej. Vuona odpowiedziała piskiem radości, który nagle zamienił się w okrzyk przerażenia. Strzała utkwiała w drzewie o szerokość dłoni od jej ucha.

Wysoki człowiek z pomocy wydał krótką komendę i jego ludzie rozproszyli się z

szybkością i wprawą doświadczonych wojowników. Nie mogli jednak dostrzec piktyjskiego łuczника. Był ukryty za skałą tak blisko Scyry, że wystarczyłoby wyciągnąć długi patyk, żeby go dosięgnąć.

Zamiast patyka dosięgnął go jej sztylet. Nie znała sztuki walki na noże, ale miała po swojej stronie siłę, furię i element zaskoczenia. Pikt umarł bez dźwięku, bo zadając cios dla pewności zasłoniła mu usta dłonią.

Scyra leżała obok trupa Pikta, dopóki nie upewniła się, że jego śmierć nie ściągnie na nią uwagi Bamula. Potem obejrzała zwłoki i odkryła tatuaże Klanu Czerwonych Żmij ze szczepu Węży. Nie zdziwiła się zbytnio, widząc, że potwierdziły się jej wcześniejsze podejrzenia.

Węże zawsze patrzyły niechętnym okiem na to, że jej ojciec żyje w pokoju z Sowami. Teraz wyglądało na to, że ta niechęć popchnęła ich w końcu do zdrady, jeśli nie do otwartej wojny.

Scyra zaczęła się czołgać z powrotem. Zamierzała zniknąć z tego miejsca, zanim

wojownicy przyjdą je przeszukać. Potem pomyślała, że może nie byłoby źle, gdyby ją znaleźli. Porozmawiałaby z człowiekiem z północy i dowiedziała się czegoś o nim i jego ludziach. Taki zastęp wojowników mógłby okazać się przydatny. Jeśli mieli zamiar powrócić do domu, powinni się zasłużyć, broniąc Lyseniusa i Scyry przed Piktami.

Jej umiejętność ukrywania się była równa umiejętności posługiwania się nożem — po prostu wystarczała do jej celów. Ukrywała się, dopóki Bamula nie zostali odwołani przez swego wodza i nie zaprzestali poszukiwań piktyjskiego łuczника. Omal nie załkała z żalu, gdy zbrocze opustoszało.

Nie przewidywała tak długiego pobytu poza grotą. Poza tym, oddała Vuonie swą opończę.

A Vuona odeszła ze swoimi współplemieńcami. Scyra nie widziała innego wyjścia, jak tylko pójść ich śladem. Jeśli pozwoli im zniknąć, mogą zawędrować na księżyc, zanim ich odnajdzie. O ile uda jej się ominąć Piktów i wymknąć się znów bez wiedzy ojca. Musi dowiedzieć się, co zamierzają Bamula. Inaczej wróci z niczym, jakby wybrała się na targ z pustą sakiewką.

Zabrała zabitemu Piktowi łuk i strzały, a z innego, leżącego niedaleko trupa ściągnęła opończę. Była bossońskiej roboty, sztywna od brudu i potu po długim noszeniu i strasznie cuchnęła. Piktowie nigdy się nie kąpali, chyba że złapał ich deszcz. Odzienie musiało być łupem zdobytym w krwawej granicznej potyczce.

Mimo odrazy, owinęła się opończą. Ledwo się w niej mieściła. Dzięki bossońskiej krwi, płynącej w jej żyłach, Scyra była wysoka jak piktyjscy mężczyźni. Ale wełna grzała ją, a z daleka jej sylwetka mogła zmylić przeciwnika.

Nie udało się jej znaleźć żadnego pożywienia, jeśli nie liczyć ciał Piktów. Ale nawet zastanawianie się nad tym dla żartu przyprawiało ją o mdłości. Lecz przecież niektóre paprocie były jadalne, a w strumieniach roiło się od ryb. Bamula nie mogli zawędrować zbyt daleko w pierwszą noc na tej ziemi. Bez względu na to, jak dobrym przewodnikiem był

przewodzący ich człowiek z pomocy.

Z tą nadzieją Scyra ruszyła ich śladem.

Podczas marszu uzgodniono, że jeden z trzech wodzów zawsze będzie trzymał straż. Conan, Govindue i Kubwande ciągnęli gałązki, kto obejmie pierwszą nocną wartę. Najkrótszą gałązkę wyciągnął Govindue.

Nie żeby w lesie można było nocą wiele zobaczyć, czy to wroga, czy przyjaciela. Opończa zabrana martwemu Piktowi chroniła nieco przed wiatrem, lecz w tym obcym kraju nawet najłżejszy podmuch zdawał się przenikać przez odzienie jak strzała. Govindue jeszcze nigdy tak nie marzył, nawet w czasie próby wytrzymałości, której musiał się poddać, by stać się mężczyzną. Wysłano go wtedy do dżungli w wyjątkowo chłodnej, jesiennej porze

deszczowej.

Dobrze się stało, że Idosso nie żył. Nigdy naprawdę nie uznałby Conana za wodza, pomyślał Govindue. Kubwande — być może. Choćby tylko ze strachu przed głodem, Piktami i pięścią Amry.

Co więcej, Idosso z pewnością nigdy nie posiadałby wiedzy Conana, jak przeżyć na tej ziemi. Jak żyć, jak walczyć i jak zwyciężać. Nie był aż tak głupi, by nie móc się tego nauczyć, ale zanim by się nauczył (lub nauczyłyby go Kubwande) mogłoby zginąć wielu wojowników.

Może zbyt wielu.

Conan miał duszę wielkiego wodza. A przy takiej duszy kolor jego skóry był bogom obojętny. A jeszcze bardziej obojętny był Govindue, synowi Bessu.

Odgłos stawianej stopy rozległ się na tyle głośno, że wyłowiłoby go nawet ucho mniej wprawne niż ucho Govindue. Bardziej doświadczony jako myśliwy i tropiciel niż jako wojownik, młody wódz usłyszał ten odgłos wyraźnie niczym łoskot kamienia spadającego z urwiska. Dwa następne kroki pozwoliły mu ustalić, skąd nadchodzi intruz i ukryć się tak, żeby widzieć ścieżkę.

Wyglądało na to, że obcy albo szuka śmierci, albo uważa Bamula za przyjaciół. W

ciemności nie sposób było dojrzeć, kto ukrywa się pod bezkształtnym odzieniem. Govindue oddałby roczne zbiory ignamu za jeden maleńki promyk księżyca. Gdyby miał pewność, że to Pikt, jego włócznia utkwiałaby w brzuchu intruza po trzecim kroku.



Nagle postać przystanąła i odrzuciła do tyłu opończę. Govindue ze świstem wciągnął powietrze i zrobił rytualny gest odpędzający złe moce. Błada skóra, jasne włosy... To duch!!! Jego głośny świst odbił się echem. Za chwilę przekonał się, że to nie echo. Żadne jego echo nigdy nie odpowiadało mu słowami, których nie wypowiedział!

— Bamula? Vuona? Bamula? Vuona?

Pytanie było jasne, a głos wyraźny. Więc to nie duch, a kobieta z pomocy! Przyszła po Vuonę? Czemu nie? Skoro świat jest na tyle szalony, że istnieją na nim takie rzeczy, jak wrota demonów, to dlaczego kobieta z północy nie miałaby przyjść po Vuonę?

Govindue wyprostował się, lecz nie wyszedł na otwartą przestrzeń. Kobieta mogła mieć dobre zamiary, ale Piktowie na pewno nie. A jeśli przyszli tu za nią?

— Ohbe Bamula — powiedział. — Ohbe Bamula. Ohbe Vuona. Ohbe Vuona. — Potem zawołał — Kobieta. — Użył słowa oznaczającego żonę kogoś starszego. Jeśli miała jakąś władzę, bogowie byliby zadowoleni. Jeśli była niespełna rozumu, nie obeszloby ich to.

— Bamula — odrzekła obca. Jej mowa przypominała trochę ojczysty język Amry. Postąpiła krok naprzód. Govindue zauważył przy jej pasie sztylet, a na plecach łuk i kołczan. Ale w wyciągniętych przed siebie dłoniach nie trzymała broni.

Govindue też zrobił krok w jej kierunku i wyciągnął ręce. Potem wskazał za siebie w stronę obozu.

— Bamula! Vuona! Bamula! Vuona!

Zrozumiała. Wciąż trzymając ręce przed sobą, ruszyła w górę zbocza do nocnego obozu wojowników. Govindue ledwo zdążył zawołać do innego wartownika, żeby go zastąpił.

Potem pobiegł za kobietą, by nie umknęła mu w ciemności.

Conan i Vuona nie siedzieli razem z innymi, ale pozostawali w kręgu obstawionym przez strażę. Cymmerianin nie ukrywał, co robi z każdym, kto oddali się od obozu i przysporzy mu dodatkowej roboty z ratowaniem go z rąk Piktów.

Vuona przycupnęła pod jodłą i oparła się plecami o pień. Światło księżyca błyszczało srebrzyście na jej nagich ramionach. Miała na sobie tylko obciste portki z niewyprawionej skóry zdarte z zabitego Pikta. Wróciła do swoich w skórzanej, gunderlandzkiej opończy, ale oddała ją jednemu z rannych.

Conan wiedział, że wkrótce będą musieli zapolować, by zdobyć żywność i odzienie. Nawet, gdyby wszyscy Piktowie na tym pustkowiu mieli na nich ruszyć. Jemu ta noc przypominała wczesne lato w Cymmerii, ale Bamula tak szczękali zębami, że gdyby nie starali się zaciskać ust, mogliby obudzić Piktów oddalonych o dzień marszu od obozu.

— Proszę cię o wybaczenie, Amra.

— Jeśli chcesz je uzyskać, poproś o to Conana. „Amra” brzmiałoby dobrze na pokładzie „Tygryscy” albo w ustach Belit.

— To twoje prawdziwe imię?

— Chcesz go użyć, by rzucić na mnie czar?

Nawet w ciemności można było dostrzec przerażenie na twarzy Vuony. — Nie!

— To dobrze. Mam zwyczaj zatapiania miecza w gardłach ludzi, nie czekając, aż ich czary spowolnią moje ruchy. Takie potraktowanie twojego gardła byłoby dla mnie wielce niemiłe.

— To byłoby... sprawiedliwe. Gdybym... gdybym nie...

— A niech zaraza pochłonie twoje biadolenie, dziewczyno! Zostaw swoją skruczę dla kapłanów. Nie ty pierwsza na świecie źle wybrałaś mężczyznę. A skoro tamten nie żyje, a ja tak, to co cię jeszcze gryzie?

— Że jesteśmy tutaj, zamiast w bardziej bezpiecznym miejscu. To moja wina.

— Zapewne, ale teraz już tego nie naprawisz.

Vuona poderwała się i uklękła przy Conanie.

— Nawet tym, co kobieta może dać mężczyźnie?

Conan zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Nawet ciemność nie mogła ukryć jej

wspaniałych kształtów. Jej ciała niczego nie brakowało. Uświadomił sobie, że patrzy na nią jak na kobietę i zdarza mu się to po raz pierwszy od śmierci Belit.

Poza tym, Vuona musiała mieć swoje miejsce w zastępie, a kobieta wodza to był

największy zaszczyt, jaki mógł jej przypaść w udziale. Conan rozpoczął tę całą szaloną przygodę, żeby ją ocalić...

Wdrapała mu się na kolana i zatopiła palce w jego włosach. Trochę ich ubyło po spotkaniu z ciernistym krzewem, ale wciąż kobieta mogła je mocno chwycić.

Byle nie za mocno, a ta miała silne ręce...

Conan przesunął dłońmi po jej ramionach, plecach i niżej. Palce, które tego samego dnia zaciskały się na zabójczym mieczu, teraz delikatnie zdjęły z niej resztki odzienia. Vuona przysunęła się bliżej. Conan poczuł jędrność jej młodych piersi...

— Amra!

— Moje imię brzmi Conan! — warknął gniewnie.

Vuona zsunęła się z jego kolan.

Cymmerianin wziął głęboki oddech i dotarło do niego, że to nie ona zawołała.

— Govindue, oddaliłeś się z posterunku. — To były pierwsze słowa, jakie przysły mu do głowy. Gdyby pomyślał chwilę dłużej, bez wątpienia powiedziałby to dużo ostrzejszym tonem.

— Wybacz mi, Amra...

— On chce, żeby go nazywać Conanem.

— Jeszcze nie jesteś kobietą wodza, dziewczyno, więc pozwól Govindue mówić.

— Przyszła jakaś kobieta.

— Słyszałem o piktyjskich kobietach. Bez wątpienia wartownik, na którego się natknęła, padł trupem na sam jej widok. Weź ją do niewoli, zastąp tego martwego nowym i zostaw mnie w spokoju.

Conanowi zdawało się, że młody wódz stara się nie patrzeć na niego i Vuonę.

— Am... Conanie, ta kobieta nie jest z plemienia Piktów. Wygląda jak ty. Jej imię brzmi Scyra. Wie, że jesteśmy Bamula i że wśród nas jest Vuona.

Vuona skoczyła na równe nogi, jakby usiadła na żmii.

— To ona! Ta czarownica!

Govindue gestem odżegnał zło.

Conan wstał, ujął Vuonę pod pachy i podniósł do góry. Ich nosy były teraz oddalone o szerokość dłoni. Wzdrygnęła się, widząc wyraz niebieskich oczu.

— Vuono, mogę ci wybaczyć, że wybrałaś niewłaściwego mężczyznę. Ale nie wybaczę ci ukrywania przede mną takich rzeczy jak ta... — Conan zaczekał, aż dziewczyna będzie bliska omdlenia ze strachu i dodał — ...po raz drugi.

Kiedy postawił ją na ziemi, nogi tak jej drżały, że ledwo mogła na nich ustać. Mało brakowało, a zatoczyłaby się i wpadła w sosnowe igły.

Gdy po chwili odzyskała głos, z trudem mogła mówić. Conan wysłuchał jej, zapiął pas i wyciągnął miecz. Vuona patrzyła na ostrze jak zauroczona.

— Pamiętasz, co mówiłem o czarownikach z przebitymi gardłami? Lepiej, żeby ta kobieta szybko

dowiodła, że jest naszym przyjacielem. Govindue, prowadź mnie do gościa.

— Jak każesz, Conanie.

# INTERMEDIUM

Pustkowie Piktów za panowania Króla Conana Drugiego

Sarabos pierwszy ochłonął z wrażenia. A ściślej rzecz ujmując, rzekłbym, że na nim grota i posąg wywarły najmniejsze wrażenie. Przeto najszybciej odzyskał panowanie nad swoim głosem.

Lecz kiedy się odezwał, wciąż mówił jakby z oddalenia. Jakby rozpamiętywał coś, czego doznał we śnie i nie całkiem mógł w to uwierzyć.

— Spróbujmy uznać, że to, co tutaj widzimy, istnieje naprawdę. Czy zatem ktoś słyszał

choćby strzęp pogłoski mogącej wyjaśnić obecność w tym właśnie miejscu tego, na co teraz patrzymy?

Równie dobrze mógłby mówić do posągu, gdyż ludzie zgromadzeni wokół nas milczeli, jakby sami byli z kamienia. Z ulgą odkryłem, że nie odzywają się nie całkiem dlatego, iż ze zdumienia wytrzeszczają oczy, rozdziawiają gęby i odjęło im mowę.

Część z nich opatrywała rany towarzyszom. Usłyszałem stłumiony okrzyk bólu, gdy jeden z wojowników wyciągał drugiemu strzałę z uda. Utkwiła głęboko i modliłem się do Mitry, by nieszczęśnik nie wykrwawił się, kiedy grot wyjdzie z jego ciała.

Inni rozpakowywali zapasy i czyścili broń. Jakby nie patrzeć, w niezdrowej atmosferze tej groty było bardziej sucho i bezpiecznie niż poza nią, gdzie lał deszcz i czekali Piktowie.

Miałem ze sobą weteranów wojen granicznych i niektórzy liczyli tyle lat, że mogli walczyć pod rozkazami Conana pod Velitrium, jeśli byli wówczas w służbie aquilońskiej. Nie obawiałem się o ich los, dopóki starożytna stygijska magia, czy cokolwiek innego, co stworzyło ten posąg, nie ożyje.

W blasku pochodni zobaczyłem, że ludzie patrzą jeden na drugiego. Ugryzłem się w język.

Podejrzewałem, że wkrótce dowiem się o rzeczach, o których powinienem był wiedzieć wcześniej. Ale zawsze istniały sprawy, o których żołnierze, zwłaszcza urodzeni na Pograniczu, niechętnie mówili oficerom. A zwłaszcza tym oficerom, co urodzili się i wyrosli z dala od Pogranicza.

— To, co usłyszymy dzisiejszej nocy, zostanie między nami — zachęcił Sarabos. — Bez względu na to, co wyznacie, pozostawimy to bogom.

Ludzie dalej patrzyli na siebie w ciszy. Jeden czy dwaj drgnęli, gdy ranny strzałą w udo krzyknął głośnie. Echo wolno zamierało wśród ścian groty i zauważyłem, że ludzie spoglądają w głąb jaskini.

Ich twarze zdradzały nadzieję, że z ciemnej czeluści nie wypełznie nagle żadne straszliwe, wyglodniałe monstrum, zbudzone po latach ze snu i zwabione obecnością ludzi. Uznałem ich obawę za nie całkiem pozbawioną sensu, lecz wolałem nie okazywać tego po sobie.

— Nie jest to zbyt przyjemne miejsce, lecz nie zapominajmy, że stanowi tabu dla Piktów.

Nie wejdą tu, ale nasi towarzysze nie będą się lękać. Pamiętajmy, że gdy Conan Wielki ostatnim razem znalazł się w podobnym miejscu, wyniósł z niego skarb pirata Tranicosa i z pomocą tych bogactw zasiadł na tronie w Aquilonii.

Ktoś mruknął, że całkiem wystarczyłoby mu ciepłe łóżko z dorodną niewiastą i dzban przedniego wina. Tę uwagę również uznałem za nie pozbawioną sensu.

Wreszcie jeden z naszych ludzi przemówił. — Jest coś, o czym słyszałem od matki. —

Sądząc po mowie pochodził z Gunderlandii, lecz ciemna skóra zdradzała raczej Shemitę... a może Pikta?

Jakby czytając w moich myślach, człowiek ów ciągnął dalej. — A tak, w mych żyłach płynie piktyjska krew. Moja matka to pół-Piktyjka, choć ojciec był czystej krwi

Gunderlandczykiem. Matka zna ich mowę i stare opowieści. Mówiła, że jedna z nich to dla Piktów tabu. Przeklęty miał być ten, kto opowie tę historię. Przeklęty niemal jak ten, kto wejdzie do groty. Opowiedziała mi ją, bo uznała, że lepiej, bym ją poznał. Wierzyła też, że moja hyboryjska krew osłabi klątwę.

Nikt nie odważył się zadawać pytań i znów mężczyzna ten zdawał się posiadać zdolność odgadywania myśli. — Matka moja powiła pięcioro zdrowych dzieci. Ostatnie z nich, gdy liczyła sobie niemal czterdzieści lat. Zeszłej jesieni ukończyła szczęśliwie sześćdziesiąty rok życia. Walczyłem w pięciu kampaniach. Nie zdobyłem łupów ani zaszczytów, ale też nie odniosłem ciężkich ran. Jeśli tak działa klątwa, widać moja matka mówiła o niej prawdę.

— I ty powiedz nam zatem prawdę o tym, co mówiła. Słuchamy — odezwałem się.

— Może wiele wam to nie da... — zaczął.

— Cokolwiek powiesz, sprawi, iż będziemy wiedzieć więcej niż teraz — odparłem z

przekonaniem. — A każdy opowiadacz historii winien mieć imię. Wybacz, że nie zapytałem cię o nie wcześniej.

— Jam jest Vasilios, syn Ayrika.

— Zatem mów, Vasilios. Słuchamy cię.

Vasilios odchrząknął; powietrze w grocie było dużo bardziej suche niż na zewnątrz i przesycone kurzem. Pociągnął łyk wody ze swej manierki, zaplótł nogi, oparł dłonie na kolanach i zaczął:

— Zdarzyło się to za życia ojca mojej matki, Pikta. Wśród Piktów zamieszkiwał wówczas czarownik, a posąg ożył i ruszył przed siebie...

# XI

Pustkowie Piktów, wiele lat wcześniej

Conan wysłuchał Scyry z wielką uwagą, nawet po jej wyznaniu, że jest córką czarownika Lyseniusa.

— Nigdy o nim nie słyszałem, co nie znaczy, żeby moją sprawą było liczenie wszystkich czarowników na tym świecie — powiedział. — A ty za bardzo nie wyglądasz mi na

czarownicę. Po pierwsze, jesteś zbyt sprytnie przebrana.

— Żyjemy tu od pięciu lat — odrzekła Scyra głosem pełnym oburzenia. — Byłam jeszcze niemal dziewczynką, gdy tutaj przybyliśmy. Nie bierz mnie za głupią, bo wiem, co robię.

— Wybacz mi, Scyro — rzekł Conan i przetłumaczył jej słowa Kubwande i Govindue.

Skinęli głowami, a potem zmarszczyli czoła, gdy dodał, że Scyra i jej ojciec są albo bardzo potężni, albo mają przyjaciół wśród Piktów.

Jeśli Lysenius i jego córka posiadali tak wielką moc magiczną, że potrafili trzymać na dystans całą rasę Piktów, to znajomość z nimi należało uznać za rzecz wielce ryzykowną.

Mogli być zbyt potężni, do kroćset! A skoro tak, to dlaczego potrzebowali pomocy?

Jeżeli Piktowie byli ich sprzymierzeńcami, to pomaganie im oznaczało sojusz z Piktami. W

przeciwieństwie do wielu Cymmerian, Conan nie miał z Piktami krwawych długów do

wyrównania, lecz nie mógłby łatwo zapomnieć o odwiecznej nienawiści dzielącej każdego Cymmerianina i Pikta. Ale też niekoniecznie chciał o niej zapominać; Piktowie mogli w jednej chwili poderżnąć mu gardło, po czym natychmiast zrobić to samo z Bamula.

Taka była prawda. Ale prawdą było również to, że zastęp Conana miał małe szansę na coś więcej niż bohaterska śmierć wojowników. Dwudziestu ludzi musiało stawić czoło wszystkim Piktom w tych lasach. Piktom, którzy znali te lasy jak własne pięć palców, wypuszczali strzały z kryjówek, gdzie — można by przysiąc — nawet mysz się nie ukryje i którzy nie trzęśli się z zimna w letnie noce!

Conan przekroczył wrota demonów, bo miał taki obowiązek wobec Vuony. Warto było

zrobić gorsze rzeczy niż sprzymierzenie się z Piktami, by ocalić ją i tych, którzy poszli w jego ślady. Zasługiwali na to, bo okazali mu zaufanie.

— Czy twój ojciec potrafi wyczarować dla nas ciepłą odzież i gorącą strawę, jeśli podejmiemy u niego służbę? — zapytał Conan. — Potem zażądamy więcej, ale to musimy dostać, zanim zapracujemy na sowitą zapłatę.

— A czy twoi ludzie nie potrafią polować, gotować i wyprawiać skór?

— To wszystko pochłania mnóstwo czasu, Scyro. Piktowie mogą nam tego czasu nie dać.

Sądysz, że twoja przyjaźń z nimi uratuje nas?

— Nie nazywaj żadnego Pikta moim przyjacielem. To co najwyżej sprzymierzeńcy.

Scyra wyglądała tak, jakby oczekiwała, że jej uwierzy i nie zada pytania: „Przeciw komu?”

Conan uznał, że nie warto pytać. Liczyło się tylko to, co mogło zapewnić jego ludziom bezpieczeństwo. A temu, kto je zapewni, przysięgłoby wszystko. Jeśli Lysenius potrzebował

ich pomocy, to nie był aż tak potężny, by ukarać go za złamanie przysięgi. A zastęp sytych i ciepło odzianych ludzi miał większe szansę przetrwania na tym pustkowiu.

— Ja też nigdy nie nazwę żadnego Pikta moim przyjacielem. Ale mogę zrobić sobie dzień przerwy w zabijaniu ich, jeśli oni odwzajemnią się tym samym.

— Myślę, że ojciec i ja możemy ci to obiecać. Mamy futra i skóry, solone mięso i suszone orzechy. A w jednym z pomieszczeń groty będziecie tak bezpieczni jak w Czarnych

Królestwach; Piktowie wam nie zagrażą.

— Założę się, że ty będziesz tam tak samo bezpieczna, jeśli chodzi o zagrożenie z naszej strony. — Scyra wyglądała na oburzoną, ale Conan uniósł dłoń. — Bez obrazy. Na twoim miejscu też bym się zabezpieczył. Niepotrzebna nam atmosfera zingaryjskiej świątyni miłości. Wystarczy, że będziemy się wzajemnie rozumieć.

Conan przypatrywał się Scyrze z ukosa, gdy tłumaczył ich rozmowę Govindue i Kubwande.

Zdawała się rozumieć, co proponuje Cymmerianin i jakie ma wątpliwości. Wierzył, że nie będzie musiał wcielić w życie swych wcześniejszych słów i skończyć z ojcem i córką z powodu ich zdrady. Szkoda by mu było tak atrakcyjnej kobiety.

Dwaj wodzowie Bamula oddalili się oddzielnie. Każdy musiał porozumieć się ze swoimi popiecznikami. Conan i Scyra siedzieli naprzeciw siebie ze skrzyżowanymi nogami.

Wydawało się, że Scyra czuje się w tej pozie swobodnie niczym Pikt lub Khitajczyk i jest tak spokojna, jakby czekała w pałacu wielmoży, aż podstawią konie.

Conan dostrzegł kątem oka Vuonę ukrytą za drzewem. Myślała zapewne, że jej nie zobaczy.

Miał zamiar podejść i potrząsnąć nią, żeby się opamiętała.

Jeśli chciała włóczyć się nocą po lesie w tym kraju i szpiegować go z zazdrości, to Piktowie mogli odprawić czary nad jej czaszką, zanim trzy razy wzejdzie słońce. O ile znaleźliby w niej coś ciekawego.



Powrócili wodzowie.

— Czy czarownica złoży przysięgę krwi, że będzie nas traktować honorowo nawet wbrew woli ojca? — zapytał Kubwande.

— Żądasz zbyt wiele! — wykrzyknął Govindue. — Bogom nie spodoba się, że...

— Bogowie spluną na nas z wysokiego nieba, jeśli przynajmniej nie spytamy — odparował

Kubwande. — Chłopcze... młody wodzu, nie wszyscy ojcowie są tacy jak twój. Przekonałem się o tym, zanim uznano mnie za mężczyznę.

W głosie Kubwande czaił się jakiś mroczny sekret z jego dzieciństwa. Conan dałby beczkę przedniego nemediańskiego wina, by go poznać. Ale wątpił, czy nawet na torturach wódz wyjawiłby swą tajemnicę.

Conan odwrócił się do Scyry i przetłumaczył pytanie. Wzdrygnęła się i mimo ciemności dojrzał, że nieco pobladła.

— Proszę... Gdyby ojciec wiedział...

— Więc twój ojciec nie wie, że tu przyszłaś? — Conan chciał ryknąć tak głośno, żeby popękały gałęzie i z drzew pospadały ptasie gniazda. Ale w porę pojął, że tylko by Scyrę śmiertelnie wystraszył, nie mówiąc już o tym, że usłyszeliby go Piktowie o pół dnia marszu od tego miejsca.

— Teraz już bez wątpienia wie, że nie ma mnie w grocie — odrzekła. Conan wyczuł, że Scyra ledwo panuje nad swoim głosem.

— Zatem nie przyszłaś tu z jego rozkazu?

— Ale i nie wbrew niemu.

— Mogłaś to powiedzieć wcześniej.

— A ty, mój przyjacielu, mogłeś o to zapytać. — Była na tyle zuchwała, że pozwoliła sobie na szeroki uśmiech. Conan w pierwszej chwili omal nią nie potrząsnął, potem nagle odwzajemnił uśmiech.

— Sądzę Scyro, że nie brak ci odwagi, by przeciwstawić się ojcu, jeśli zajdzie potrzeba.

Jeżeli moi wodzowie uwierzą mi na słowo, nie będziesz musiała składać żadnej przysięgi.

Przetłumaczył to. Govindue od razu zgodził się zapomnieć o przysiędze, Kubwande

niechętnie. Starszy z wodzów w końcu ustąpił, narzekając pod nosem, że cały czas uwikłany jest w sprawy rozpoczęte przez kobiety...

Mniej więcej w tym samym czasie magiczne ucho Lyseniusa zajmowało pozycję w zasięgu słuchu nieopodal miejsca spotkania przy urwisku. Tej nocy miało postać sowy, gdyż Piktowie, z pewnością znajdujący się w pobliżu, należeli do Klanu Sów i ptak ten stanowił

tabu dla ich myśliwych. Lysenius nie zapomniiał dnia, gdy wysłał magiczne ucho ukryte w ciele jastrzębia na ziemię Klanu Węży. Wkrótce potem ujrzał pióra tego ptaka zdobiące głowę ich wodza. Czarownik na tyle dobrze widział oczami sowy, że rozpoznał Scyrę. Dalsza obserwacja potwierdziła jego podejrzenia co do ludzi, z którymi spotkała się córka. Ich wewnętrzne głosy wskazywały, że pochodzą z Czarnych Królestw. Przejście między światami zapewniło mu w końcu to, czego pragnął najbardziej: w kraju Piktów znaleźli się wreszcie obcy wojownicy, nie mający na tej ziemi ani nigdzie w pobliżu żadnych krewniaków zdolnych go dosięgnąć, zanim dokończy swe dzieło.

Uwarzy swą zemstę z ich krwi, a potem jego córka zobaczy go takim, jakim jest naprawdę.

Czy mając o nim fałszywe mniemanie mogła ich ostrzec? A jeśli tak, to czyjej uwierzyli?

Magiczne ucho powinno uprzedzić go o tym, nawet tkwiąc w niezbyt pojemnym mózgu

ptaka. O wiele lepszy byłby człowiek, choćby Pikt, ale Lysenius zrezygnował z tej możliwości, zanim jeszcze pograżył się w transie nasłuchiwanie magicznego ucha. Klan Sów nie byłby zadowolony, gdyby ci czarni wojownicy zadźgali jednego z jego członków zbyt otumanionego mocą czaru, by mógł się bronić.

Sowa gwałtownie opadła w dół, jakby nagle wypatrzyła wiewiórkę na niskiej gałęzi drzewa.

Potem przeleciała tak, by magiczne ucho usłyszało Scyrę i jej towarzyszy.

Nocny ptak powinien był przesłać Lyseniusowi na odległość wszystkie podsłuchane

sekrety. Czarownik czekał na wygodnym posłaniu z wonnych igieł.

Tymczasem sowa nie usłyszała nic poza głosami wojowników przy urwisku.

Wyglądało to tak, jakby Scyra i siedzący naprzeciw niej mężczyźni w ogóle nie mieli wewnętrznych głosów, co było niemożliwe. Wszyscy je mają, począwszy od bogów do

najmniejszych nawet robaków pełzających pod ziemią. Czasem wręcz trudno było

Lyseniusowi oddzielić głosy, których chciał słuchać od wrzawy całej reszty!

Teraz jednak mogło się okazać, że Scyra i trzej mężczyźni nie należą do normalnego świata, sądząc po braku wiadomości od magicznego ucha. Lysenius wił się i skręcał na swoim posłaniu, zagryzał wargi, by nie stracić panowania nad sobą, wreszcie udało mu się nie wypaść z transu.

Wysłał sowę jeszcze raz, ale tym razem patrzył jej oczami. Zobaczył Scyrę, zobaczył dwóch czarnych wojowników naprzeciw niej i zobaczył czarną dziewczynę chowającą się za drzewem.

W środku zobaczył również mężczyznę wyższego od pozostałych przynajmniej o głowę.

Miał urodę człowieka z pomocy, zimne, niebieskie oczy i postrzępione, czarne włosy. Jego muskulatura była proporcjonalna do wzrostu i kiedy się poruszał, robił to z opanowaniem charakterystycznym dla wojownika. Blizny na opalonym ciele mówiły same za siebie.

Czy to ten człowiek nie miał wewnętrznego głosu? Czy nie tylko sam go nie posiadał, ale jeszcze zmuszał innych obok siebie do zachowania takiej samej ciszy? Tajemnice piętrzyły się, a żadna z nich nie podobała się Lyseniusowi.

Choć nie całkiem była to prawda. Ten człowiek mógł nie mieć wewnętrznego głosu, ale cała jego postać sugerowała, że posiada duszę wojownika. Duszę silnego wojownika. Taki ktoś złożony w ofierze starczyłby za dwóch innych.

Wojownik z północy towarzyszący Scyrze mógł sobie pozostać tajemnicą, lecz miał już swoje miejsce w planach Lyseniusa. A to miejsce z pewnością nie przypadłoby mu do gustu, gdyby je znał.

Conan nie był do końca przekonany, że Scyrze chodzi tylko o to, by sprawić ojcu miłą niespodziankę, przyprawiając zastęp wojowników Bamula, którzy będą mu służyć. Dwaj inni wodzowie wierzyli w to jeszcze mniej. Ale nikt nie chciał rzucić jej w twarz oskarżenia, że ich okłamuje. Mimo wszystko, dzięki niej mieli teraz większą szansę na powrót do domu, niż zanim ją spotkali. Im robiło się później, tym głośniejsi dwaj Bamula — trzej, jeśli liczyć Vuonę — szczękali zębami. Vuona przez cały czas nie wychodziła zza drzewa.

Ciche pohukiwanie i odgłos upadającego ciała kazały wszystkim odwrócić głowy.

Przerośnięta sowa leżała na ziemi z włócznią w piersi. Jej rozpostarte skrzydła były szersze niż ramiona Conana. Dwukrotnie poruszyła dziobem, potoczyła wokół wzrokiem, w którym Conan dostrzegł coś więcej niż tylko ptasią inteligencję, zadrżała i znieruchomiała.

— Dobry rzut, co? — rozległ się zza drzewa zadowolony głos. Bowenu wyszedł na polanę, przyklęknął i wyciągnął włócznię z martwego ptaka. Kiedy podniósł wzrok, napotkał pełne odrazy, a nawet lęku spojrzenie Scyry. Wyraz jej twarzy nie wymagał tłumaczenia.

— Po co ją zabiłeś? — zapytał Conan.

— Przelatywała tak nisko, że nie mogłem chybić. A jest taka duża, że po wypatroszeniu i upieczeniu będzie z niej niezły posiłek.

Scyra wyglądała, jakby miała z wymiotować. Gesty Bowenu również nie wymagały tłumaczenia.

— Co się stało, to się nie odstanie, Bowenu — stwierdził Conan. — Ale to obcy kraj. Nie wiemy, co można tu bezpiecznie jeść, a czego nie. Czarownica chyba uważa, że nie powinieneś zabijać tej sowy. Wierzę jej. A jeśli ty jej nie wierzysz, to uwierz mnie, że będziesz miał siniaki wszędzie tam, gdzie nie zdążył ci ich zrobić Govindue. Trzymaj na uwięzi swoją włócznię!

Bowenu przebrnął przez cztery najbardziej wymyślne rytualne gesty oznaczające u Bamula prośbę o wybaczenie i Conan w końcu złagodniał. Z trudem zachował powagę, a zza drzewa doszedł chichot Vuony. Conan przysiągł sobie, że spierze ją na kwaśne jabłko, jeśli jej śmiechy zburzą pokój między nim i Bowenu. Potrzebował nawet tych wojowników, którzy szybciej sięgają po broń niż myślą.

— Jesteśmy na ziemiach Piktów z Klanu Sów — wyjaśniła Scyra. — Jedyna gorsza rzecz od zabicia sowy na ich oczach, to zabicie wojownika w barwach myśliwskich i nadzianie jego głowy na włócznię jako trofeum.

— Akurat dzisiejszego popołudnia byliśmy trochę za bardzo zajęci, by bawić się w łowców głów — odrzekł kwaśno Conan. — Choć wydaje mi się, że byli w barwach wojennych, o ile wiem cokolwiek o Piktach.

— Owszem, byli. Ale należeli do Węży, które od dawna nienawidzą Sów. Nie myślałam, że wkroczą na nasze ziemie.

To powiedziało Conanowi sporo o przyjaciółach i wrogach czarownika i jego córki. Odniósł wrażenie, że Scyra niezbyt dobrze potrafi ukrywać sekrety. Przynajmniej przed tym, kto przeżył intrygi knute w Aghrapurze w Turanie.

— No cóż, Scyro... Myślę, że omówiliśmy tyle, ile można było omówić z sensem, nie mając ani wina, ani piwa do przepłukania gardła. Chyba nie masz zamiaru wracać do ojca jeszcze dzisiejszej nocy?

— Sowy nie ośmielą się...

— Sowy mogą nie widzieć w ciemności tak dobrze, jak ich totem. Może będą cię oplakiwać, kiedy naszpikują cię przez pomyłkę strzałami, ale to nie podniesie cię z grobu.

Poza tym, wątpię, czy spotkane dziś przez nas Węże były ostatnimi w tej okolicy. A z pewnością nie będą do ciebie nastawione bardziej pokojowo niż wczoraj.

Scyra skinęła głową.

— To prawda — powiedziała niechętnie, lecz łaskawie.

— Dobrze. Zatem przyłącz się do nas i skorzystaj z naszego ogniska, skoro nie chcesz skorzystać z mięsa sowy. Z nami będzie ci cieplej niż samej w lesie i nie obudzisz się jutro z poderżniętym gardłem.

Scyra podążyła za Conanem do obozu, ale ułożyła się z dala od ognia i śpiących Bamula, którzy skulili się w kupie, żeby się wzajemnie ogrzać. Kiedy Conan też układał się do snu, mając u boku przytuloną Vuonę, zdawało mu się, że Scyra go obserwuje. Ale sen nadszedł, zanim zdążył się upewnić.

## XII

Na szczęście, wśród Bamula byli albo martwi, albo zdolni do marszu, a nawet do walki.

Żywi sprawili zmarłym rytualny pochówek, zebrali broń i opuścili obóz ze Scyrana czele.

Zastęp Conana dotarł do groty Lyseniusa w piękny, wiosenny wieczór po dwóch dniach forsownego marszu, który porządnie dał się we znaki bosonogim Bamula. Cymmerianin zauważył, że w tym skalistym kraju przydałoby się im jakieś obuwie. Wprawdzie niektórzy mówią, że armia idzie naprzód choćby na brzuchach, ale to bardowie, a nie żołnierze.

Groźne skały napawały Bamula lękiem. Conan widział, jak wojownicy patrzą jeden na drugiego i z trudem zbierają w sobie odwagę, by iść dalej. Urodzony w górach Cymmerianin wdrapywał się na takie urwiska i zapuszczał do takich grot, zanim liczył sobie dziesięć wiosen. Bamula byli twardzi u siebie, ale ich kraj nie mógł się równać z posępną północą.

— Chodźcie, bracia — zawołał. — Niejeden z nas wychodził cało z paszczy lwa, a żaden czarownik nie jest straszniejszy niż lew.

Sam nie do końca w to wierzył, ale wesoły ton jego głosu dodał Bamula otuchy. Zaczęli wspinać się po drabinie do groty.

Conan i Scyra mieli wejść jako ostatni. Stali obok siebie i patrzyli na las rozciągający się jak szmaragdowe morze u stóp wzgórza czarownika. Conan wiedział, że śledzą ich oczy Piktów; był pewien, że śledziły ich przez całą drogę.

W słowach Scyry o pokoju z Sowami musiała być choć część prawdy. W ciągu dwóch dni marszu wrogie plemię mogłoby wyczarować jak spod ziemi stu wojowników przeciw

jednemu Bamula i pogrzebać zastęp Conana żywcem pod gradem kamieni i strzał. Ale choć czarne oczy patrzyły zza drzew i krzaków wzdłuż całego szlaku, w powietrze nie

poszybowała ani jedna strzała czy włócznia, nie rozległ się żaden okrzyk wojenny i nie ozwały się bębny. Z wyjątkiem jednego, sygnalizacyjnego, o zachodzie słońca, gdzieś w oddali.

Myśli Conana jakby je przywołały, bo właśnie się odezwały. Ich odgłos tłumił wiatr i nawet wprawne ucho Cymmerianina ledwo je usłyszało. Scyra wzdrygnęła się i Conan odruchowo otoczył ją ramieniem. Nie miał na myśli nic innego — chciał ją po prostu ogrzać. Znów się wzdrygnęła, ale nie straciła jego ręki. Po chwili odprężyła się.

— Wciąż nie jest mi łatwo... — odezwała się — słyszeć te bębny i nie czuć lęku. Kiedy dorastałam, ich dźwięk oznaczał, że czas biec do koni, jeśli miało sieje pod ręką, lub chwycić dobre buty i chleb, jeżeli koni nie było. Piktowie nigdy nie byli daleko, albo raczej — nigdy dość daleko.

— Jaki sposób na nich znalazł twój ojciec? — zapytał Conan. — A może to sekret?

— Owszem. Nie wszystko mi zdradził i nie byłby zadowolony, gdybym bez jego zgody wyjawiała ci nawet to, co wiem.

Conan pomyślał, że zadowolenie czarownika najmniej go obchodzi, ale też nie jest jego synem, Cromowi niech będzie chwała! Te niedomówienia wzbudziły jednak jego podejrzenia.

Scyra była raczej szczerą, dopóki zastęp Conana nie przybył do groty jej ojca. Co ukrywa, chcąc ich tu zatrzymać?

Ale prawda wciąż była taka, że przez tę grotę prowadzi najkrótsza droga do domu.

Dwudziestu mężnych i czujnych Bamula mogłoby zniechęcić do zdrady nawet czarownika, a gdyby stało się to najgorsze, równie dobrze mogli umrzeć tu, jak wśród hordy wyjących Piktów.

— Im więcej się dowiem, tym lepszy będę miał nastrój — powiedział Conan. — A im

lepszy będę miał nastrój, tym lepszy nastrój będą mieli Bamula. Spodziewają się, że stąd wyruszą do domu i wpadną w złość, gdyby miało być inaczej. Może twój ojciec zna różne sztuczki, ale czy one wystarczą przeciw dwudziestu wściekłym wojownikom Bamula?

— Modłę się do Mitry, byśmy nigdy nie musieli tego sprawdzać — odrzekła Scyra. Wspięła się na drabinę i szybko zniknęła z widoku.

Conan popatrzył za nią, a potem na chwilę spojrział w niebo. Na zachodzie szybko przybrało krwistoczerwoną barwę i na jego tle krążył orzeł. Cymmerianin nie ociągał się dłużej. Ten kraj był wystarczająco zdradliwy za dnia; nocą nie trzeba było mieć wyostrzonych zmysłów barbarzyńcy, by wyczuć czające się wokół zło.

Nawet w górującej nad lasami Piktów grocie czarownika.

Słońce skryło się za wzgórzami na zachodzie. Tylko gwiazdy i słaby księżyc w nowiu oświetlały bladym blaskiem świat leżący poza kręgami ognisk.

To sprzyjało stworzeniu polującemu w ciemności. Chakana wysłał na łowy szaman Sów, by tropił stado ludzi–demonów idących do skalnego domu białego czarownika. Chakan miał

ludzką postać, lecz sierść i siłę wielkiej małpy. Mógł przełamać człowieka na pół z taką łatwością, z jaką mały chłopiec łamie gałązkę.

Nie dostał jednak rozkazu, by zabijać. W każdym razie, nie dzisiejszej nocy. Miał tropić, wspiąć się do groty i ukryć, jeśli znajdzie dogodne miejsce. To, co by zobaczył i podsłuchał, a przede wszystkim wywęszył, szaman Itha Yarag wyciągnąłby z jego mózgu za pomocą magii.

Gdyby to się udało, Sowy wiedziałyby dużo więcej o magu, który tak dobrze im służył.

Mogłyby się nawet dowiedzieć, czy zamierza im służyć tak dobrze również w przyszłości, czy też przybycie ludzi–demonów oznacza, że znalazł sobie nowych przyjaciół.

Jeśli tak, to nadszedł czas, by zagarnąć wszystkie łupy zgromadzone w jaskini, złożyć białego maga w ofierze, jak każe pradawny zwyczaj, a jego córkę puścić w obieg wśród wodzów nie tylko Sów, ale i zaprzyjaźnionych Piktów z takich klanów, jak Rysie i Orły.

Po wiośnie nadeszło lato i w lasach rozkwitło nowe życie. Owoce i jagody Zaczęły zmieniać zieloną barwę na inne. Wody w strumieniach opadły i łowy wokół stawów były teraz obfite. Piktowie napychali żołądki do syta, wylegiwali się na słońcu i byli pogodzeni ze światem na tyle, na ile pozwalała na to natura Piktów.

Conanowi i jego wojownikom Bamula taki stan całkiem odpowiadał. Nie budzili Piktów z letniej drzemki, z wyjątkiem tych, z którymi wypuszczali się na wschód i południe. Wypady te dawały niezły efekt, dzięki dobremu ekwipunkowi pochodzącemu z zapasów czarownika.

Sam czarownik pokazywał się rzadko, co niezbyt podobało się Conanowi. Im częściej by go widywał, tym więcej mógłby się dowiedzieć. Lysenius miał inne sposoby poznawania Bamula, niż korzystanie ze zwykłych, ludzkich zmysłów; potrafił wiedzieć nie patrząc.

Gdy po raz pierwszy przestąpili próg groty, Lysenius podobno był chory. Scyra wyjaśniła Conanowi, że ktoś zabił nosiciela jego magicznego ucha i od tamtej pory ojciec jest w uzdrawiającym transie.

Conan przetłumaczył to pozostałym, a Bowenu zaczął paplać o swoim rzucie włócznią.

Govindue szybko zapowiedział mu, że znów się z nim rozprawi, jeśli nie będzie trzymał języka za zębami. — O ile jakieś mu zostaną po tym, jak ja się z nim rozprawię — wtrącił

Cymmerianin. — Język dobrego wojownika jest sztywny, Bowenu. Nie zatacza się jak słoń po przejrzałych gruszkach!

Bowenu nie odzywał się potem przez kilka dni.

Zapewne także dlatego, że podobnie jak cała reszta był zbyt zajęty. Przyzwyczajał się do nowego odzienia, broni i jedzenia, którymi szczerze obdarowano Bamula. Najwyraźniej Lysenius nie skąpił niczego nowym sprzymierzeńcom i nie żałował starym.

Było jasne, że w grocie gromadził znacznie więcej niż łupy z wypadów Piktów. Magia, handel, a może przyjaciele za granicą? Co do tego pierwszego, Conan wolał nawet nie zgadywać. Nie wchodził w drogę czarownikom, którzy robili mu tę samą grzeczność.

Handel był całkiem możliwy. Jedną z komnat chroniły tak solidne zamki, że brakowało tylko szyldu z napisem „Skarbiec”. Conan ocenił wprawnym okiem doświadczonego

złodzieja, jak również przezornego dowódcy, że można by się tam dostać przynajmniej na trzy sposoby. Ale na razie nie zamierzał się nigdzie włamywać. Zależało mu na pokoju z Lysenusem i Scyrą i wolał nie sprawdzać, jakimi magicznymi zabezpieczeniami czarownik otoczył swój skarb.

Równie prawdopodobnym źródłem bogactwa Lyseniusa wydawali się przyjaciele po drugiej stronie

granicy. Dla Conana nie było żadną tajemnicą, że niektórzy Hyborianie robili interesy z Piktami kosztem własnych obywateli, choć tacy nigdy nie zdarzali się często w Cymmerii, a jeszcze mniej z nich wciąż żyło. Ten kraj surowo karał tych, co zhańbili własną rasę.

W innych krajach tacy ludzie prosperowali znakomicie lub przynajmniej nie tak szybko ich demaskowano. Conan nieraz zastanawiał się, czy południowcy w ogóle potrafią być lojalni.

Ale nie obchodziły go ich intrygi i zamierzał trzymać swoich Bamula jak najdalej od nich, jeśli bogowie pozwolą. Będzie miał dość intryg w Czarnych Królestwach przez następne lata.

O ile on i jego zastęp kiedykolwiek tam powrócą.

Skórzanych i futrzanych okryć, sandałów i wełnianych spodni, piktyjskich włóczni i toporów wojennych, bossońskich łuków i gunderlandzkich zbroi nie brakowało w grocie.

Podobnie jak suszonego mięsa i orzechów, jagód i piwa.

Bamula uznali piwo za równie dobre, jak ich własne i zdążyli osuszyć całą beczkę, zanim Conan położył kres opilstwu.

— Piktowie wciąż są w pobliżu. Zarówno ci, co udają przyjaciół, jak i ci, co nawet nie próbują ich udawać. Teraz łatwiej nam będzie stawić im czoło niż przedtem, ale ciągle jest ich stu na każdego z nas i lepiej znają ten kraj.

Bamula szybko się uczyli i jako doświadczeni wojownicy gotowi byli wyrębać sobie drogę do domu przez szeregi wrogów Lyseniusa. Conan trzykrotnie robił z nimi wypad w lasy i zawsze wszyscy wracali szczęśliwie do groty.

Nie zabierali ze sobą Piktów, z wyjątkiem dwóch lub trzech przewodników. Tak było lepiej.

Conan znał sposób prowadzenia wojny przez Piktów i nie zamierzał uczyć go Bamula.

Chciał, żeby jego ludzie powrócili do swej ojczyzny, nie mając na sumieniu młodziutkich dziewcząt zgwałconych przed ich płonącymi domostwami i starców z roztrzaskanymi czaszkami, patrzących w niebo niewidzącymi oczami.

Aż nadszedł dzień, kiedy wyruszyli, by wdrzeć się na Pogranicze i Piktowie pomaszerowali z nimi.

Z wysokiej gałęzi doszedł głos Govindue, udającego ptaka. Naśladował ptaka z Czarnego Wybrzeża, a nie miejscowego. Ale Conan wątpił, by ochrona karawany na tyle znała mieszkańców lasów, żeby dostrzec różnicę. A gdyby nawet — by miała czas zrobić ze swej wiedzy użytek.

Czterdziestu Piktów leżało w ukryciu po jednej stronie traktu, Bamula po drugiej. To umożliwiała obu zastępom równoczesny atak, ale utrzymywało ich w oddaleniu do chwili rozpoczęcia natarcia.



Tak było lepiej. Piktowie wciąż krzywo patrzyli na ludzi–demonów, a Bamula

odwzajemniali się im tym samym. Uniknięto psucia sobie krwi; choć Conan i wódz Piktów nie zamienili ani słowa, byli doświadczeniymi dowódcami i potrafili się porozumieć za pomocą gestów i rysunków na piasku.

Karawana znalazła się już w pułapce. Widać ochrona nie знаła się na ptakach albo może napastnicy zdążyli zająć pozycje przed nadejściem ostrzeżenia z granicy. Przy jej przekraczaniu Bamula nie stoczyli żadnej potyczki, a Piktowie natrafili tylko na samotne gospodarstwo. W tak gęstym lesie nawet najbardziej czujny patrol graniczny nie wypatrzyłby sześćdziesięciu dobrze ukrytych ludzi.

Teraz, jeśli tylko Piktowie nie wypuszczą strzał z zamkniętymi oczami (co czasem zdawali się robić), a Bamula będą pamiętać, że nawet strzały przyjaciół mogą zabić...

Wycie Piktów dało sygnał do ataku. Conan wyskoczył z ukrycia, wymachując mieczem.

Wcześniej wysmarował sobie sokiem z jagód twarz i inne odkryte części ciała, żeby nie odróżniać się od Bamula. Źle, że musiał walczyć po stronie Piktów; jeszcze gorzej, gdyby rozniosła się wieść, że czarni wojownicy pod wodzą białego mężczyzny są ich

sprzymierzeńcami. Taki sygnał mógłby ściągnąć na granicę całą armię. Conan wątpił, by to ucieszyło Lyseniusa i był wręcz pewien, że nie przyspieszyłoby powrotu Bamula do domu.

Wypadł na trakt i chwycił za uzdę konia strażnika prowadzącego karawanę. Drugą ręką zablokował trzy cięcia tamtego. Jeździec szybciej działał, niż myślał i brakowało mu siły, by przebić się przez gardę Conana.

Koń zarżał głośno i stanął dęba. Conan dał nura pod jego brzuchem i wyłonił się z drugiej strony. Sieknął strażnika mieczem, ale tak, by cios tylko go ogłuszył i nie rozplątał hełmu i czaszki. Złapał go za pas i dźwignął do góry. Jeździec wyleciał z siodła i wylądował w rowie.

Conan z żalem zauważył, że upadł po stronie Piktów. Gdyby biedak miał szczęście, mógłby się ocknąć, zanim Piktowie go znajdą.

Conan chwycił konia za cugle i wbił stopę w strzemień. Wierzchowiec znów stanął dęba i omal nie zwałił go z nóg. Nagle strażnik dźgnął Conana spod końskiego brzucha. Ostrze tylko drasnęło Cymmerianina. Wykopnął miecz tamtemu, wskoczył na siodło i z góry sieknął

przeciwnika. Tym razem czaszka pękła wraz ze skórzanym hełmem. Mężczyzna upadł, a końskie kopyta dokończyły dzieła.

Z wysokości grzbietu wierzchowca Conan miał lepszy widok pola bitwy toczącej się na trakcie niż ktokolwiek inny. Tylna straż karawany sformowała żywy mur i ci z przodu konwoju cofali się w tamtym kierunku. Nie wszyscy dotarli do celu; strzały Piktów i włócznie Bamula przerzedziły ich szeregi. Conan zobaczył nawet jednego Bamula, który po

mistrzowsku radził sobie z łukiem.

Cymmerianinowi wydało się, że ochrona karawany woli ratować życie niż juczne konie i wozy. Chyba że planowała pułapkę.

Potem zobaczył, że wokół jednego z wozów wybuchła zażarta potyczka. Straż nie zamierzała pozwolić, by padł łupem rabusiów. Conan wbił piętę w boki rumaka i pocwałował w tamtą stronę. Zanim znalazł się przy wozie, strzała drasnęła go w szyję, a włócznia wbiła się ukośnie w bok wierzchowca. Ale dotarł do walczących. Naraz strzały przestały nadlatywać; albo bossońscy łucznicy bali się trafić swoich, albo Piktowie już zdołali ich pokonać.

Trzej ludzie przy wozie stawiali opór czterem Piktom i jednemu Bamula. Strażnicy mieli skórzane pancerze i głowy obciążone kolczugami. Na tyle wprawnie władali mieczami, że do przybycia Conana radzili sobie całkiem dobrze. Nie ściągając cugli, Cymmerianin kopnął jednego w tył głowy, a drugiego zdzielił w hełm płazem miecza. Obaj upadli.

Trzeci wdrapał się na wóz, sięgnął pod przykrycie i wydobyl skrzynkę opasaną żelaznymi obręczami. Była mała, ale wyglądała na ciężką. Mężczyzna zachwiał się, gdy zeskoczył na ziemię. Po chwili znów się zachwiał, gdy włócznia Pikta utkwiała w jego udzie. Nie zważając na ranę, rzucił się do ucieczki tak chyżo, że między jednym oddechem a drugim oddalił się od napastników.

Ale nie od Conana, mającego pod sobą wierzchowca. Zanim tylne strażę, stojące żywym murem, napięły łuki i wypuściły strzały, Cymmerianin dopadł uciekiniera. Potężne ramię Conana opadło jak zimorodek na piskorza i wyłuskało szkatułę z rąk zbiega.

Mężczyzna wrzasnął i wściekle dźgnął swego prześladowcę sztyletem. Stal przecięła skórę, ale pięść Conana zaciśnięta na rękojeści miecza spadła na głowę rycerza i pozbawiła go przytomności.

Cymmerianin zawrócił konia i pogalopował z powrotem do czoła karawany. Nagle zobaczył na trakcie Govindue wymachującego rękami. Dwudziestu Bamula nie można było podzielić na cztery grupy, bo Piktowie uznaliby to za odciążanie ludzi od walki i nazwali

niehonorowym. Ale można było umieścić wysoko na drzewie jednego młodego wodza z bystrym wzrokiem i chłodną głową, by nie zauważony przez piktyjskich przyjaciół i bossońskich wrogów obserwował okolicę.

— Nadciągają jeźdźcy! — krzyknął Govindue. Naprawdę użył słów „sześcionodzy wojownicy”, gdyż Bamula nie znali koni.

Conan pomyślał, że albo to pułapka, albo karawana ma takie szczęście. No i dobrze. Z

braku nowych wrogów żądni krwi Piktowie mogli zabrać się do rozgromienia strzałami żywego muru i ogólnej masakry. A tak, wszyscy jadący z konwojem, którzy do tej pory przeżyli, mieli szansę

zobaczyć jutrzejszy wschód słońca i tyle innych, ile los pozwoli im oglądać.

Zamachał do swoich Bamula. Piktowie też zobaczyli ten gest, ale ich wódz nie dał im żadnego sygnału. Bębny oraz okrzyki zatrzymywały ich na miejscu. Conan zaklął. Nie miał

ochoty brać się za bary z takim dylematem: zostawić Piktów czy zaczekać, aż oni również zobaczą bossońskie posiłki, co mogło się okazać zgubne dla Bamula, znajdujących się bliżej nadciągającej odsieczy.

Krzyknął do swoich, żeby znów ukryli się po którejś stronie traktu. Wprawdzie otwierało to nowym wrogom drogę do części Piktów, ale Bamula mieli szansę przetrwać, by potem uderzyć z tyłu na posiłki i być może ocalić swych północnych swozhu. (Tym słowem Bamula określali „przyjaciół na jeden wypad” i nie było ono pochlebne. Używali go również jako najczęstszej nazwy dla Piktów.)

Ledwo Bamula zdążyli się ukryć wśród drzew, gdy żywy mur Bossończyków ruszył

naprzód. Albo tylna straż karawany była silniejsza, niż Conan przypuszczał, albo więcej ludzi z czoła konwoju zdołało się tam przedostać. W każdym razie, Bossończycy szybko

zmniejszyli dystans do Piktów.

Piktowie nie potrafili walczyć skutecznie z bliskiej odległości z przeciwnikami w zbrojach, chyba że mieli dużą przewagę liczebną. Tym razem jej nie mieli, za to mogli wycofać się do lasu, gdzie jeźdźcy nie byli dla nich groźni. Tak też zrobili i po chwili w polu widzenia nie pozostał ani jeden żywy Pikt.

Ponieważ Bamula musieli uczynić to samo, Conan zeskoczył z konia, klepnął go w zad i wysłał na spotkanie z odsieczą. Potem schował miecz i obiema dłońmi chwycił skrzynkę.

Nawet dla Cymmerianina ważyła za dużo, by nieść ją w trudnym terenie jedną ręką.

Conan upewnił się, czy w pobliżu nie ma Piktów i czy nikt nie obserwuje go z ukrycia, po czym otworzył szkatułę. Najpierw jednak znalazł wydrążony pień — ostatnią pozostałość po drzewie, które kiedyś musiało wielkością dorównywać świątyni i było zapewne starsze niż większość takich budowli wzniesionych ręką człowieka.

Kubwande oświetlił skrzynkę kępką płonącego mchu na patyku, a Conan natarł na zawiasy uzbrojony w sztylet. Puściły w chwili, gdy ostrze tak się stępiło, że jeszcze trochę, a byłoby nie do użytku. Ktokolwiek sporządził szkatułę, zrobił wszystko, by jej zawartość była dobrze zabezpieczona.

Wieko uchyliło się z przeraźliwym zgrzytem. W pierwszej chwili Conan myślał, że w środku jest pusto. Potem zobaczył, że wewnątrz wyłożono czarnym aksamitem i wypchano równie czarnym jedwabiem. Uniósł materiał i wtedy coś błysnęło w świetle pochodni Kubwande. Zanurzył rękę w skrzynce i poczuł pod palcami coś gładkiego i twardego.

Powierzchnia przedmiotu nie była jednorodna, jakby metal połączono z kamieniem.

Wyciągnął dłoń ze szkatuły. Trzymał równo cięty kryształ, tak przezroczysty, że na tle czarnego materiału wydawał się czarny. Zdradzała go tylko oprawa ze starego złota. Zdaniem Conana, kamień mógł kiedyś zdobić rękojeść miecza lub hełm, ale gdy mu się przyglądał, poczuł dziwny niepokój.

— Nic wielkiego — prychnął pogardliwie Bowenu. — Za mało w nim złota, by wart był zachodu.

— Za mało oleju w twojej głowie, byś znał się na tym — ofuknął go Kubwande. — Jeśli nie przyjdzie nam ochota, żeby go zostawić, damy go Lyseniusowi. Może on oceni, ile jest wart.

— Z pewnością wiele, skoro strażę biły się, by go uratować — powiedział Conan. —

Ktokolwiek go stracił, bez wątpienia byłby gotów zapłacić przyzwoity okup.

Miał wielką ochotę pozbyć się kryształu jak najszybciej, ale nie był pewien, czy powinien trafić w ręce Lyseniusa. Klejnot pachniał mu magią, a to znaczyło, że im dalej będzie i od uczciwych ludzi, i od Lyseniusa, tym lepiej.

A co z uczciwą kobietą? Scyra zdawała się nie popierać niektórych knowań ojca. Conan ufałby jej bardziej, gdyby wyjawiała mu coś więcej. Ale i tak zaufanie, jakim ją darzył w porównaniu z jego zaufaniem do Lyseniusa, miało się jak sztuka złota do miedziaka. Z zasady nie wierzył czarownikom, lecz dla dobra swoich Bamula gotów był okazać Scyrze tyle zaufania, na ile według niego zasługiwała.

— Takie kryształy są w mojej ojczyźnie — powiedział Conan. — Mają moc, ale to kobieca magia. Vuona jest kobietą, lecz nie zna się na czarach. Jednakże Scyra to zarówno kobieta, jak i czarodziejka. Ona powinna dostać kryształ.

— A jak Lysenius się rozżłości? — spytał Bowenu.

— Więc musimy trzymać języki za zębami, dopóki nie damy kamienia Scyrze —

odpowiedział mu Govindue takim tonem, jakby pouczał małe dziecko (choć Bowenu musiał być co najmniej pięć lat starszy od niego).

# XIII

Lysenius nie przypominał wyglądem typowego czarownika, ale też Conan poznał ich wielu (choć niewielu polubił) i zdążył się przekonać, że różnią się od siebie tak jak wszyscy inni ludzie.

Ojciec Scryry niemal dorównywał Conanowi wzrostem i gdyby wiódł równie ruchliwy żywot, mógłby prawie dorównać Cymmerianinowi budową ciała. Tymczasem na jego

wielkim brzuchu opinała się jedwabna koszula, która niegdyś miała zapewne służyć za odzienie barachańskiego żeglarzowi. Inne oznaki wygodnego życia wyzierały z błękitnych rajtuzów skrojonych według ostatniej aquilońskiej mody. Z szerokich ramion zwieszała się krótka, zielona, myśliwska opończa w bossońskim stylu. Barwnego obrazu dopełniał szeroki pas z niewyprawionej skóry, ani chybi piktyjski, zza którego sterczał również piktyjski sztylet z brązu.

Okrągła twarz górująca nad dziwaczną postacią wydawała się niemal za młoda dla

człowieka będącego ojcem kobiety w wieku Scryry. Teraz Lyseniusza postarzała tylko całkiem łysa czaszka i wspaniała, siwa broda przetykana czarnymi pasemkami. Oczy miały tę samą głęboką, niebieską barwę, co oczy córki i przypominały trochę kolorem oczy

Cymmerianina. Ale pytanie, co się za nimi kryje, niepokoiło Conana tak samo jak to, co spoczywało na dnie jego własnej sakiewki.

— Dobrze mi służycie — powiedział Lysenius z akcentem, który Conan rozpoznał jako aquiloński.  
— Bardzo dobrze.

Powtórzył te słowa jeszcze trzy razy. Conan poczekał, aż skończy i przetłumaczył je Bamula tylko raz. Nie miał na razie powodu, by dzielić się z nimi podejrzeniami co do Lyseniusa. Instynkt nakazywał mu ostrożność i on temu instynktowi wierzył; gdyby było inaczej, nie żyłby już od dawna. Ale nie był ani bogiem, ani kapłanem, więc nie mógł nazwać swego instynktu nieomylnym czy doskonałym.

Wątpliwości Conana rosły wolno niczym mech, gdy dalej słuchał Lyseniusa. Z

pomrukiwania czarownika wynikało, że przybył na Pustkowie Piktów, uchodząc najpierw z Aquilonii, a potem z ojczyznej Bossonii. W każdym z tych krajów jego praktyki magiczne obraziły możnych tego świata, a w Bossonii ich gniew dosięgnął jego żony, matki Scryry.

Znalazł się w kraju Piktów tylko ze swą wiedzą magiczną. Conan przysiągł sobie, że w to uwierzy, jak zobaczy latające statki.

Stygijscy kapłani mieli rozległe wpływy i dość złota, by kupować sobie przyjaciół. Lysenius zaprzyjaźnił się z Piktami, używając swych czarów tak, by nie podważały wiary w moc magiczną ich szamanów.

Teraz nadszedł czas, by wziąć odwet na tych, co go wygnali i pozbawili żony. Znajdzie Piktom przywódcę. Posąg antycznego wojownika, stojący w odległej grocie. Posąg, ożywiony mocą czarów Lyseniusa, ruszy naprzód jako niezwyciężony protektor Piktów. Przedrą się jak mrowie przez granicę. Ci, co skrzywdzili czarownika, będą przeklinać dzień, w którym to uczynili. Usłyszą krzyki swych krewnych, zanim sami padną z poderżniętymi gardłami...

Lysenius dalej roztaczał przed Conanem wizje krwawych zgliszczy, jakie będą się ciągnąć śladem Piktów. Cymmerianin, który widział w życiu więcej takich kampanii niż niejeden mężczyzna dwakroć starszy od niego, słuchał tego z grobową powagą. O planach Lyseniusa dowiedział się niewiele, za to całkiem sporo o jego umyśle.

Uznał przede wszystkim, że czarownik jest obłąkany. Jeśli nawet kiedyś taki nie był (choć Conan zawsze uważał stygijską magię za jeszcze mniej wartą niż wszystkie inne), to z pewnością teraz stracił rozum. Może oszalał z samotności i może nawet miał ku temu powód, ale nie mógł mieć powodu, żeby napuszczać Piktów na Pogranicze Bossońskie.

Chciał właśnie zapytać, jaką rolę w planach Lyseniusa ma odegrać on i jego zastęp, gdy czarownik jakby sam wyłowił myśli z jego głowy. Było to tak niesamowite, że Conan bał się nawet spojrzeć na swoją sakiewkę, by sprawdzić, czy Lysenius nie wyłowił z niej kryształu samą siłą woli.

— Żadnemu plemieniu czy klanowi Piktów nie mogę pozwolić na wejście do groty z posągiem. Gdyby ktoś z nich dostał się tego zaszczytu, inni z zazdrości skoczyliby mi do gardła lub przynajmniej poderżnęli gardła tym, których spotkał ten honor. Klan Węży już jest do mnie nastawiony bardziej wrogo, niż bym sobie tego życzył. Miałbym jeszcze więcej wrogów.

Lysenius znów się rozgadał, tym razem snując wizje rychłego odzyskania zaufania Węży i ich lojalności, gdy tylko posąg ożyje i zwycięstwo będzie pewne. Conan wolał raczej, by Węże zademonstrowały swój brak przyjaźni i w tym momencie napadły na grootę. Walka z Piktami byłaby z pewnością mniej nudna niż słuchanie gładzenia czarownika, który miał

więcej ambicji niż oleju w głowie (a Conan wiedział z doświadczenia, że to najbardziej rozpowszechniony gatunek magów).

— Wyprawa do groty z posągiem przypadnie w udziale tobie i twoim Bamula. Nie należycie do rasy Piktów. Wykazaliście się męstwem i sprawnością. Nadto, przekroczyliście już raz przejście między światami. Czego dokonaliście przedtem, dokonacie znowu.

Conan nie od razu pojął, że czarownik mówi o wrotach demonów. Tłumacząc jego słowa, użył tej nazwy i usłyszał za sobą syki gwałtownych wdechów. Szczęściem, Lysenius wziął to za objaw entuzjazmu. Conan podziękował w duchu kilku pomniejszych bogom, że czarownik nie zna zwyczajów Bamula.

— Chwała Lyseniusowi — rzekł Cymmerianin. Bamula syknęli znowu i zaczęli zawodzić.

— Ohbe Lysenius. Ohbe Lysenius. Ohbe Lysenius.

Conan miał nadzieję, że wolno im będzie to ciągnąć przynajmniej tak długo jak czarownik snuł swą opowieść. Aczkolwiek wydawało się, że tylko jednemu człowiekowi w tej grocie wolno zanudzać innych. Lysenius szybko odprawił ich gestem, więc Cymmerianin skinął na swoich ludzi, skłonił się i wszyscy opuścili komnatę.

Przeszli trzy korytarze. W czwartym i ostatnim, prowadzącym do ich kwater, Conan przywołał Kubwande.

— Tak, Conanie?

Cymmerianin poklepał swą sakiewkę. Cały czas miał kryształ przy sobie, nawet w

komnacie Lyseniusa. Nie chciał narażać innych na niebezpieczeństwo, gdyby sprawa zdobycia kamienia wyszła na jaw. Czarownicy próbowali go zabić więcej razy, niż mógłby zliczyć na palcach rąk i nóg; Bamula nie mieli takich doświadczeń.

— Zabieram go tam, gdzie uzgodniliśmy.

— Uważaj na siebie. Bamula potrzebują cię bardziej niż Scyry. I nie mam na myśli tylko tych Bamula, którzy są tutaj.

— To się okaże, jak wrócimy do domu — odrzekł Conan. Jawne pochlebstwo Kubwande

nawet go nie rozzłościło. Wódz nie był głupcem, za to dobrym wojownikiem. Ale miał intrygi w krwi, jak Lysenius żądze zemsty.

Lysenius nie powiedział im wprost, że odradza wędrówki po czeluściach groty, ale jasno dał

do zrozumienia, że może to być bardzo niebezpieczne. Nie opisał czyhających tam

niebezpieczeństw, więc Conan nie miał pojęcia, czego ma się spodziewać. Magii, istot ludzkich, dzikich zwierząt? A może zwykłych dziur w podłożu, grożących nieostrożnemu upadkiem w bezdenną otchłań?

Jako były złodziej, Conan potrafił poruszać się w ciemności i niewiele sobie robił z nieznanymi zagrożeniami. Szybko poznał labirynt tuneli. Zanim dobiegł dziesiąty dzień gościny u Lyseniusa, umiał znaleźć drogę z kwater Bamula do komnat Scyry tak łatwo, jak do studni, kiedy miał pragnienie.

Jednak nigdy nie przekroczył progu tych komnat. Wyglądało na to, że Scyra powiedziała mu tyle, ile miała ochotę powiedzieć. Nie chciał przeciągać struny i pytać o więcej.

Nie chciał też dawać Vuonie powodu do zazdrości. Nie zaniedbywał jej w łóżku, ale kobiety nie zawsze muszą mieć powód, by okazywać zazdrość. Vuona mogła być niebezpieczna dla Bamula, gdyby z zazdrości zdecydowała się zdradzić ich przed Lyseniusem. Bez wątpienia niektórzy wojownicy oszczędziliby Conanowi brudzenia sobie raje krwią dziewczyny, lecz wolałyby, żeby wróciła cała i zdrowa do Czarnych Królestw.

Teraz Conan postanowił wybrać się do komnat Scyry, a gdyby jej nie zastał — zaczekać na nią. Wbrew temu, co powiedział Kubwande, wcale nie zamierzał oddawać jej kryształu, dopóki nie dowie się, co to za kamień. A jeśli zacząłby podejrzewać, że Scyra nie mówi prawdy, miał zamiar zachować kryształ, ryzykując nawet własnym życiem.

Upowiedział Kubwande, że jeśli nie wróci do świtu, Bamula muszą się ratować sami. Nie pouczył go, jak to zrobić. Kubwande miał z pewnością mniej skrupułów niż Cymmerianin i mógłby uznać, że najbezpieczniej będzie służyć Lyseniusowi. A Govindue zapewne nie byłby w stanie temu zapobiec.

Gdyby nie tajemniczy kryształ, Conan pewnie nie ryzykowałby szukania Scyry. Ale z dwóch obowiązków, jakie miał teraz wobec swoich ludzi, ważniejsza była konieczność wyjaśnienia sekretu kamienia.

Conan ominął boczny tunel i szybko doszedł do szczeliny w skale. Z zewnątrz była na tyle szeroka, że mógł się nią przecisnąć bokiem, choć nie bez zadrapania skóry. W głębi rozszerzała się bardziej i tworzyła komin. W jego ścianach widniały tylko małe pęknięcia, na które można było zaczepić palce rąk i nóg. Ale Conan mógł się nim wspinać, opierając stopy o jedną ścianę, a plecy o drugą. Miał ze sobą latarnię — w mosiężnej obudowie płonął mech nasączony oliwą. Przywiązał ją do pasa i zaczął się wdrapywać.

Zakończył wspinaczkę ciszej i ostrożniej niż zwykle. Z doświadczenia wiedział, że strażę są zawsze najbardziej czujne wtedy, kiedy człowiekowi najbardziej zależy, żeby było odwrotnie.

Ale wkrótce maszerował bezpiecznie tunelem ciągnącym się powyżej.

Tunel prowadził do korytarza wyłobionego przez podziemny strumień, który wciąż płynął

przez grotę i sięgał człowiekowi do pasa. Conan zatrzymał się przy wejściu do korytarza i pociągnął nosem. Tam, gdzie zawodzą oczy i uszy, niebezpieczeństwo można wyczuć

węchem. A teraz poczuł odór, którego wcześniej tu nie było.

Nic jednak nie usłyszał, a w świetle latarni zobaczył tylko nagie, skalne ściany tunelu i ciemną wodę płynącą swym zwykłym nurtem. Conan zanurzył w niej palec i powąchał go.

Żadnego podejrzanego czy choćby wstrętnego zapachu.

Do komnat Scyry było kilka innych dróg, ale stąd prowadził tam tylko ten korytarz. Chyba że ktoś potrafiłby przebić się przez litą skałę z taką łatwością, jak kret przez świeżo spulchnioną ziemię. Nie mając takiej mocy, Cymmerianin zsunął się do wody i zaczął

posuwać się naprzód. W jednej wysoko uniesionej ręce trzymał latarnię, w drugiej miecz.

Wciąż czujnie się rozglądał i badał stopą dno, zanim zrobił kolejny krok.

Dobrze, że był ostrożny. Z każdą chwilą odór stawał się coraz silniejszy i teraz zaczął



słyszeć oddech, z pewnością nie własny. Wciągnął powietrze i zamarł; tamten odgłos nie ustał. Znów ruszył przed siebie; to, co czyhało w ukryciu, nagle wpadło na pomysł, by przestać oddychać.

Conan poczuł chłód, bynajmniej nie tylko z powodu zimnej wody. To coś wiedziało, że nadchodzi. Mogło wybrać sobie moment i miejsce do ataku. Jemu pozostawała tylko krótka chwila na reakcję i zapewne coraz mniejsza przestrzeń. Ale mimo wszystko, wolał to od pościgu przez całą grotę za czymś nieznanym. Jeszcze gorzej, gdyby to coś grasowało w ciemnych tunelach, dybiąc na łatwiejszą zdobycz.

Cymmerianin przebył najwęższą część korytarza bez przygód. Zdawało mu się, że słyszał gdzieś z boku i przed sobą dalekie drapanie, ale pamiętał, że w oddali od tunelu odchodzi kilka suchych odgałęzień.

Zrobił następny krok i... korytarz wypełnił się szkaradnym wrzaskiem, a coś ogromnego runęło wprost na niego. Woda rozprysła się wokół, latarnia zgasła z sykiem i pole walki pograżyło się w ciemności.

Conan od razu zorientował się, że ma do czynienia z dwoma napastnikami. Jeden, odważniejszy od swego towarzysza, złapał Cymmerianina za lewe ramię i próbował je wykręcić, rozorać pazurami i wyrwać jednocześnie. To osłabiło jego chwyt. Conan odrzucił go biodrem, oswobodził się z uścisku i pchnął przeciwnika na ścianę.

Zyskał tylko chwilę spokoju, ale to wystarczyło. Zacisnął pięść i grzmotnął w ciemność tam, gdzie powinno być gardło napastnika. Drugą ręką wyprowadził cios mieczem. Ciął niezgrabnie, pod niewygodnym kątem, lecz z wielką siłą. Świeżo naostrzona klinga z aquilońskiej stali przecięła w poprzek kark kreatury tuż przed nim. Rozległ się ryk i fetor zgniłego oddechu uderzył Conana w nozdrza.

Pierwsza bestia spróbowała ataku z tyłu. Ale znów nie zacisnęła porządnie chwytu, bardziej skora do zranienia swej ofiary. Conan wyrzucił w przód obie nogi, potężnym kopnięciem odepchnął przeciwnika przed sobą i natychmiast cofnął się, by przygnieść do ściany napastnika wiszącego mu na plecach.

Rozległ się trzask pękającej czaszki i uścisk potwora osłabł. Conan miał teraz jedną rękę wolną. Wyszarpnął sztylet i zaczął wściekle dźgać bestię. Tym razem ryk i smród oddechu zmieszały się z fontanną krwi. Conan dźgnął jeszcze raz. Znów trysnęła krew, ale nie usłyszał

kolejnego ryku. Wyszedł spomiędzy prześladowców i uniósł miecz. Sieknął raz w prawo, raz w lewo i poczuł rozstępujące się pod ciosami kości.

W tunelu pozostało już tylko echo okrzyków śmierci i bulgot wody, omywającej dwa owłosione ciała. Prąd strumienia szybko unosił w dal dwie krwawe smugi.

Conan schował broń i wyszedł z wody. Nie ucierpiał wskutek starcia, choć czuł się tak, jakby walono go maczugą i chłostano pokrzywami. Cokolwiek go zaatakowało, było silne, szybkie i niezbyt inteligentne, ale z pewnością zbyt niebezpieczne, by włóczyć się tunelami groty.

To podsuwało mu jeszcze jedno pytanie, które postanowił zadać Scyrze i zażądać

odpowiedzi, zanim wręczy jej kryształ. Dotknął sakiewki i uspokojony, że kamień jest na swoim miejscu, rozpoczął następny etap wędrówki przez groty.

Conan nie mógł ponownie zapalić latarni, ale właściwie już jej nie potrzebował. Reszta drogi do komnat Scyry była tak prosta, że nawet początkujący złodziej pokonałby ją bez światła. Sińce i zadrapania Cymmerianina dopiero zaczynały pulsować, gdy stanął u drzwi Scyry.

Wyciągnął sztylet z pochwy, odwrócił go i zastukał rękojeścią. Ledwo dosłyszał kroki, drewniane drzwi były grube i miały mosiężne okucia, które miejscami tworzyły dziwaczne figury — jakby pismo runiczne w nie znanym Cymmerianinowi języku. Rozległ się cichy dźwięk, ani chybi uchylanego judasza, potem świst głębokiego wdechu, wreszcie odgłos odciąganego rygla.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem, głośnym jak okrzyk wojenny całej armii. W progu stała Scyra w niedbale narzuconej skórzanej opończy i ze sztyletem w dłoni. Spod okrycia wystawały jej bose stopy i łydki — tak zgrabne, jak Conan podejrzewał. Odzienie nie pozostawiało też żadnych wątpliwości, że ciało pod nim jest nagie.

— Conan! Co cię tu sprowadza?

— Ciekawość.

— Co cię tak ciekawi? Moja osoba? — W ustach innej kobiety mogłoby to zabrzmieć

zalotnie. Ale śmiertelnie poważny wyraz twarzy Scyry i ton jej głosu przeczyły temu wrażeniu.

— Coś, co zabrałem z bossońskiej karawany.

— Teraz ty mnie zaciekawiasz. Nie tylko słowami, lecz i twoim wyglądem. Spadłeś z urwiska? Czy ojciec nie mówił, że wędrówki naszymi tunelami są niebezpieczne? —

Zaprosiła go do środka. Conan przestąpił próg.

— Bardziej, niż mu się wydaje — odparł. — Trzyma tutaj dzikie małpy?

Scyra wytrzeszczyła oczy. Tymczasem Conan opisał napastników najlepiej, jak potrafił. W ciemności nie mógł się im przyjrzeć zbyt dokładnie.

Zanim skończył, Scyra pobladła. Przez chwilę nie odzywała się.

— Spotkałeś chakany — powiedziała wolno. — Piktyjscy czarownicy oswajają je, a potem używają

do tropienia... i zabijania. Te stworzenia nie mają tu wstępu.

— Powiedz to temu, kto je przysłał — odrzekł szorstko Conan. — A na razie, trzymaj drzwi dobrze zawarte, a sztylet pod ręką. Albo przygotuj jakieś zaklęcie, o ile znasz takie, które wystarczy przeciw tym bestiom. Taki stwór wyrwałby ci kończynę za kończyną i nawet by się nie zasapał.

Przez moment wydawało się, że Scyra zemdleje. Opończa zsunęła się z jej ramion i nawet nie zauważyła, że Conan ją poprawił. Usiadła, jakby nie mogła ustać na nogach i na chwilę zwiesiła głowę.

— Pokój z Piktami zerwany? — zapytał Conan, siadając obok niej. Miał ochotę krzyknąć, ale zmusił się, by powiedzieć to spokojnie jak do dziecka. Scyra była mądrą i odważną kobietą, lecz dzisiejszej nocy dotarło do niej zbyt wiele złych wieści naraz.

— Skoro napuścili na nas chakany, to możliwe — odpowiedziała. — Po co jeszcze przyszedłeś?

Conan wyciągnął kryształ. Scyra wytrzeszczyła oczy szerzej niż przedtem, ale jej głos pozostał spokojny.

— To zabrałeś z karawany?

— Tak. Było solidnie zamknięte i dobrze strzeżone. Trzej Bossończycy gotowi byli oddać za to życie.

— Rozumiem dlaczego.

— Więc powiedz mi, żebym ja też zrozumiał. Wątpię, byśmy mieli czas na zagadki.

Wzdrygnęła się. — To prawda, nie mamy czasu. — Sięgnęła po kryształ. Conan zawahał się na moment. Jeśli to kamień magiczny i da jej nową moc, by...

Ale jego miecz i sztylet były gotowe, żeby poradzić sobie ze Scyrą lub z czymkolwiek, w co zechciałaby się zamienić. Wyciągnął sztylet i oparł drugą dłoń na rękojeści miecza.

Przez chwilę zdawało się, że Scyra widzi tylko stal i nie może wymówić słowa. Potem znów wyciągnęła rękę i Conan położył na jej dłoni kryształ.

Cisza trwała tak długo, iż Cymmerianin zaczął się obawiać, że następne chakany znajdą swych martwych towarzyszy i wyruszą na łowy, by się zemścić.

Scyra wydawała się pogrążona w transie. Conan miał nadzieję, że szuka w innych światach odpowiedzi i że je znajdzie, a potem raczy mu je przekazać.

Zanim Cymmerianin stracił cierpliwość i zdążył ją popędzić, Scyra wstała. Wyglądała na spokojną,

choć tak mocno zaciskała dłoń trzymającą kamień, że zbielały jej kostki.

— To musi być Kryształ z Thraz — powiedziała.

— Nic mi to nie mówi — zaznaczył Conan.

— Wybacz. Takie kryształy są bardzo stare i podobno pochodzą z Atlantydy, ale

oczywiście uważa się, że wszystko, co jest tak stare, pochodzi stamtąd. Nawet jeśli nie ma o tym wzmianek w kronikach z...

— Scyro, nie mam czasu słuchać, jak naśladujesz swego ojca w najgorszym wydaniu.

Powiedz mi lepiej, do czego służy ta przeklęta rzecz?

— Potęguje moc czarownika. Potrafi też oczyścić świątynie i inne miejsca kultu

splugawione przez siły ciemności.

— Użyteczny przyrządek, co?

— Proszę cię... Wieść głosi, że istnieje tylko sześć takich kamieni. Nigdy nawet nie marzyłam, że jeden trafi w moje ręce.

— Więc masz zamiar go zatrzymać?

— Chodzi ci o to, czy ukryję go przed ojcem?

Conan chrząknął. Scyra była o wiele za sprytna, jak na jego gust. Omal nie uległ pokusie, by wyrwać jej kryształ i roztrzaskać o ziemię. Wątpił, żeby był twardszy od zwykłego górskiego kryształu, a jeśli nawet, to kilka ciosów miecza zakończyłoby jego istnienie.

— Ty najlepiej wiesz, na ile można ufać twojemu ojcu. Kamień pomoże mu w

przeprowadzeniu nas przez wrota demonów... przejście między światami, do groty z

posągiem, który chce ożywić? Jeśli tak, to nie będę prosił, żebyś go przed nim ukryła. Stawką jest nasze życie — moje i Bamula.

Scyra znów wytrzeszczyła oczy. Miała bardzo ładne oczy i Conan chętnie zobaczyłby je szeroko otwarte na poduszce, ale w tej chwili wołał, żeby ta kobieta odpowiedziała mu na pytanie. I to szybko.

— Wysyła was do tamtej groty?!

— Tak powiedział, o ile dobrze go zrozumiałem. A może komuś z nas coś się pomyliło?

— Nie, nikomu. Usłyszałeś od niego prawdę, ale... niecałą.

— A jaka jest cała prawda?

Scyra wzięła głęboki oddech i nagle zaczęła mówić szybko i całkiem jasno. Pod tą nerwową powłoką cielesną kryła się przytomna kobieta, bogom niech będzie chwała!

— Posąg może ożywić tylko krwawa ofiara. Czarownik musi poświęcić albo jednego

bliskiego krewnego, albo dwudziestu obcych. Mój ojciec rozważał poświęcenie mnie. Potem zmienił zdanie i chciał złożyć krwawą ofiarę z dwudziestu Piktów.

— A jak miał zamiar ich przekonać?

— Zamierzał wydać mnie za wodza Piktów. Ceną za moją rękę byłoby życie dwudziestu wojowników.

— Ten wódz nie dożyłby następnego wschodu słońca po dobieciu takiego targu. Twój ojciec może sobie znać magię, ale o Piktach wie mniej niż mój młody wódz Govindue.

— Był zdesperowany. Sądził, że inni Piktowie wybaczą mu, jeśli jego czary zapewnią im zwycięstwo.

— Zrównanie z ziemią Pogranicza Bossońskiego nazywasz zwycięstwem? Chciałabyś tego?

— On jest moim ojcem. Kochał moją matkę i widzi w Bossoczykach jej morderców.

Zemsta przychodzi łatwo, gdy patrzy się na świat w taki sposób.

— Jeszcze łatwiej przychodzi szaleństwo i to ono nawiedziło twego ojca. — Podejrzliwość brzęczała w głowie Conana niczym bagienna mucha w uchu. Szum stawał się coraz głośniejszy, aż przerodził się w paskudną pewność.

— Mój zastęp przemierzy przejście między światami, wkroczy do groty i... to my będziemy krwawą ofiarą, tak? Żadni Piktowie nie zginą, żadni nie staną się jego wrogami, a posąg pomaszeruje naprzód? Taki plan ma twój ojciec?

Scyra skinęła głową.

— Nie powiedział tego wprost, ale z tego, co słyszałam i z twoich słów wynika, że tak.

— Bez wątpienia! — orzekł Conan. — Scyro, jeśli dam ci ten kryształ, będziesz mogła ukryć go przed ojcem? Myślę, że potrzebna ci jakaś ochrona przed nim, nawet jeżeli nie zamierzasz z nim walczyć. Tego nie mogę od ciebie żądać. Ale przysięgam, że zniszczę kryształ, jeśli ty mi nie przysięgniesz, że go ukryjesz. A gdybyś nas zdradziła, zginiesz razem z nami.

Zawsze warto dać broń przyjacielowi w obozie wroga. Ale też nigdy nie wiadomo, czy ten przyjaciel pozostanie przyjacielem i czy ta broń nie trafi w ręce nieprzyjaciół. Conan miał

różne doświadczenia na tym polu. Chciał ufać Scyrze, a jeśli warta była tego zaufania, mogła zrobić wiele dobrego.

Jeśli nie, mogła wszystkich zgubić. Nie tylko jego i zastęp Bamula. Trupy Bossończyków gęsto zaścieliłyby Pogranicze, zanim Piktowie zostaliby pobici i odepchnięci z powrotem poza granicę.

— Przysięgnę, Conanie. A wymyślając słowa przysięgi zajmę się twoimi ranami. Chakany cię nie pogryzły, prawda?

— Nie zauważyłem. Za to miały mnóstwo pazurów i kupę mięśni.

— Jesteś bardzo silny i miałeś szczęście. Ich ugryzienia tak ropieją, że tylko czary mogą je wyleczyć. Przemycję ci zadrapania ciepłą wodą i zrobię okłady z ziół. Na bolące sińce wypijesz miksturę.

— Żadnych mikstur.

— Nie ufasz mi?

— Muszę mieć jasny umysł. Jeszcze nie piłem mikstury, która nie zamąciłaby mi w głowie i nie spowolniła mojego ramienia. W pobliżu mogą być inne chakany.

— Więc dobrze. Odwróć się plecami.

Mając nadzieję, że Scyra nie dźgnie go nożem bez ostrzeżenia, Conan usadowił się na wysokim stołku. Zatrzeszczał złowieszczo pod jego ciężarem. Rozległ się tupot bosych stóp, przemierzających komnatę i po chwili Conan poczuł na plecach wilgotne ciepło. Wyczuł też inne ciepło — nagich, kobiecych piersi.

Okręcił się na stołku z uniesionymi nogami. Scyra omal nie upadła. Złapał ją i przyciągnął

do siebie. Miała na sobie tylko piktyjską przepaskę na biodra, a jej ciało było tak zgrabne, jak łydki, które widział wcześniej.

Potrząsnęła głową, a w jej włosach zamigotały błyski światła.

— Czy to wystarczy za przysięgę?

— Na razie... Ale myślałem, że czarownice muszą być dziewicami.

— Mężczyzna, który nie ma wewnętrznego głosu nie może osłabić magicznej mocy kobiety.

— Nie ma czego?! — zapytał Conan.

Wyjaśniła mu. Mówiła długo, ale tym razem nie miał nic przeciwko temu. Siedziała na jego kolanach, całowała go i przemywała rany. Zdjęła przepaskę. Wkrótce znaleźli się na posłaniu spleceni miłosnym uściskiem.

Jak długo byli w łożu, Conan nie wiedział. Wiedział tylko, że Scyra krzyczała po raz trzeci, gdy nagle komnata zadrżała. Trzęsienie ziemi, pomyślał w pierwszej chwili. Łoże

zaskrzypiało i zakołysało się, stołek przewrócił się, okłady i miska z wodą spadły na podłogę.

Gdy drżenie ustało, Conan usłyszał łoskot kamieni i wrzask, który nie mógł wyrwać się z ludzkiego gardła.

Oswobodził się z kobiecych ramion, wyskoczył z łoża i chwycił odzienie, broń oraz kryształ. Wszystko leżało tam, gdzie przedtem. Ani Scyrą, ani jej słudzy nie wykorzystali zamieszania, by skraść klejnot. Mógł, a raczej powinien był zadać jej kilka pytań, ale nie miał

czasu.

— Scyro, będę wierzył, że nie jesteś naszym wrogiem, nawet, jeśli nie wystąpisz przeciw ojcu. Kryształ jest twój. Ale lepiej pozostanie tu oboje, ty i kamień. Zabieram stąd moich ludzi, choćby przyszło nam walczyć z chakanami, Piktami czy samymi bogami.

Spojrzała na niego oczami, które już nie były szeroko otwarte, lecz na wpół przymknięte, nawet senne po doznanej rozkoszy. — Conanie, zajrzyj do kufra za kotarą z niebieskim zamkiem. Nie jest zamknięty. Znajdziesz tam przedmioty, które uczynią twą podróż bezpieczniejszą.

Skrzynia zawierała mnóstwo barwnych rupieci, ale tylko trzy rzeczy mogły się przydać.

Pierwszą była nowa latarnia. Drugą — pakiet z nasączonego oliwą pergaminu skrywający mapę Pustkowiec, wyhaftowaną na najcieńszym khitajskim jedwabiu. Conan uznał, że po niedługim czasie opanuje posługiwanie się nią.

Trzecią ciekawą rzeczą była ciężka sakiewka. Conan zajrzał do niej szybko i ujrzał złote monety. Dołożył ją do swojego bagażu.

Scyra nie ruszyła się z łoża ani nie przywdziała odzienia. Conan rzucił jej ostatnie, pełne uwielbienia spojrzenie. Przeciągnęła się, jakby pieścił ją wzrokiem.

— Uciekajcie prędko, Conanie. Jeśli uda się wam szybko zniknąć mojemu ojcu, może mnie nie ukarze.

— Jeszcze nie widziałas, co to chyżość, Scyro. Dopiero Cymmerianin i zastęp Bamula pokażą ci, jak trzeba się spieszyć, by ratować życie!

# XIV

Govindue obudził ludzi, słysząc dalekie odgłosy bitwy. W tej skalnej dżungli trudno było rozpoznać, gdzie i jak daleko toczy się walka. Ale zdawało mu się, że gdzieś tam, dokąd poszedł Conan.

Wojownikom chciało się spać i budzili się niechętnie. Kubwande też nie potraktował życzliwie młodego wodza.

— Conan powiedział, że mamy czekać na niego do świtu — warknął iqako. — A do tej pory powinniśmy wypoczywać i nabierać sił.

— Zamiast go ratować, jeśli potrzebuje pomocy? — zapytał zgryźliwie Govindue.

Młody wódz z zadowoleniem zauważył, że nawet ci najbardziej zaspani pokiwali z aprobatą głowami. Na szczęście, niektórzy Bamula mieli takie samo wyobrażenie o honorze, jak on.

Dotychczas już kilka razy Conan ratował im życie i Govindue był pewien, że zanim znów zobaczą swój kraj, jeszcze nieraz tak będzie.

— Nie wiemy, gdzie on jest, więc... — zaczął swoje Kubwande. Przerwał mu Bowenu. —

Wiemy jedno. Tam, gdzie bitwa musi być Conan. Jeszcze nie widzieliśmy wodza, co tak często napotykałby wrogów, czy też wrogowie jego.

Tym razem wszyscy pokiwali głowami, nawet Kubwande, choć zrobił to niepewnie.

Govindue okazał Bowenu wdzięczność za pomocą rytualnego gestu i przysiągł sobie, że jeśli to będzie w jego mocy, Bowenu zyska znacznie więcej niż samą wdzięczność.

— Zatem kilku z nas powinno tam pójść — oświadczył Kubwande. — Chętnie poprowadzę ludzi.

Govindue pokręcił głową. Wyraz niechęci do starszego wodza, malujący się na wielu twarzach sprawił mu przyjemność.

— Nie będziemy się rozdzielać i osłabiać naszych sił — powiedział. — Nie w obcym miejscu i w obliczu nieznanego wroga. Zabierzemy stąd wszystko, co nam się przyda i jeśli opuścimy ten skalny dom, to opuścimy go razem. Nie wolno nam się rozdzielać ani szukając Conana, ani potem. Chyba że los tak zrządzi. Doszliśmy razem aż tutaj i jedność znaczyła dla nas życie. Jeśli teraz oznacza śmierć, to widać taka jest wola bogów i przyjmiemy ją, jak na wojowników Bamula przystało. I na tej ziemi ludzie będą wołać „Ohbe Bamula!”

To była najdłuższa mowa, jaką Govindue wygłosił w całym swoim życiu. Dłuższa nawet od tej, którą wygłaszał podczas ceremoniału pasowania go na mężczyznę. Zdawało się też, że trafiła do przekonania wojownikom bardziej, niż mógł się spodziewać. A przecież niejednen z nich był w takim wieku, że mógłby być jego ojcem.



Widać bogowie dają natchnienie tym, których chcą uczynić przywódcami. Govindue musiał okazać się godnym ich zaufania, jak również nie zawieść ludzi, którzy go nim obdarzyli.

Nie padły już żadne słowa. Słyszeć było tylko krzątanie mężczyzn gotujących się do wojny.

Conan poruszał się teraz tunelami zupełnie otwarcie. Liczył się czas. Musiał jak najszybciej wrócić do swoich ludzi zanim stanie się coś złego. Zdrada Lyseniusa, atak chakanów, następne trzęsienie ziemi — wszystko mogło się zdarzyć.

Wszystko z wyjątkiem wybuchu paniki wśród Bamula. Nie wszyscy odznaczyli się jednakowym męstwem w walce, ale wszyscy poszli za nim przez wrota demonów i dalej.

Strach nie leżał w ich naturze.

W jednym miejscu sufit tunelu ział otworem tak szerokim, że zmieściłby się w nim chłopiec. W szczelinie widniało nocne niebo. Conan gotów był przysiąc, że skalna ściana również się wybrzuszyła, jakby miała pęknąć. Nadal poruszał się swobodnie szerszymi korytarzami, ale gdyby wracał węższymi tunelami, które zaprowadziły go do Scyry, mógłby się tamtędy nie przecisnąć!

Conan rozpoznał nagle, że jego obecna trasa wiedzie obok skarbcza. Wyczuł również w powietrzu dym i pył. Z określeniem źródła smrodu nie miał trudności.

Na jego drodze czekały chakany.

Tym razem był gotów. Położył na ziemi sakiewkę i mapę, po czym zaczął się skradać z mieczem w jednej dłoni i latarnią w drugiej. Za pierwszym zakrętem dym i pył unosiły się tak gęstą chmurą, że przyćmiewały światło latarni. Za drugim zakrętem pod sandałami

Cymmerianina zachrzęściły kamienie, a skalny blok, który spadł z sufitu zagradzał pół

szerokości tunelu. Conan przykucnął zanim i nasłuchiwał. Jeśli miał przed sobą chakany, to w tym miejscu mogły zastawić najlepszą pułapkę.

W zupełnej ciszy usłyszał tylko daleki, pojedynczy stukot spadającego kamienia. Smród chakanów wydawał się teraz słabszy, ale dołączył do niego inny odór. Conan znał go nawet lepiej. To był zapach śmierci.

Ale czyjej? Jedynym sposobem sprawdzenia tego było posuwanie się naprzód. Conan

wyciągnął również sztylet, przesunął się bokiem koło skalnego bloku i przywarł plecami do ściany. Rozglądał się czujnie, szukając wroga lub przyjaciela. Starał się też dostrzec, czy coś stało się ze skarbcem.

Pierwsze pomieszczenie przechodziło w drugie, większe. Kiedy Conan tam dotarł, zobaczył

pobojowisko. Wszędzie walały się skalne odłamki, bryły na wpół stopionego metalu i kawały zwęglonego drewna. Wszystko spowijał duszący dym.

Pośród gruzowiska leżało kilka trupów. Wyglądały prawie jak ludzkie, lecz miały kończyny nieproporcjonalne do tułowia i zbyt spiczaste czaszki. Niektóre zwłoki były częściowo spalone, ale na innych Conan zauważył — za dużo owłosienia jak na ludzi.

Za rumowiskiem widniał otwór łukowego wejścia do skarbcza. Z jego czeluści unosił się dym, a resztki drzwi zwisały smętnie. Światło latarni Conana nie mogło przeniknąć tej mgły.

Ale zobaczył już dość. Grasowała tu banda chakanów i te bestie z na wpół zwierzęcą inteligencją wywęszyły skarbiec. Co spodziewały się tutaj znaleźć, wiedzieli tylko bogowie.

Stwory musiały przypuścić szturm na drzwi i wtedy zadziałały magiczne zabezpieczenia, strzegące bogactw Lyseniusa. Nastąpiło małe trzęsienie ziemi.

A może to wszystko wywołały tylko czary? Lysenius nie wyglądał na geniusza sztuk mechanicznych, Scyra tym bardziej. Lecz ta ogromna grotta i rozległy labirynt tuneli łączących jej części nie mogły być dziełem samej natury. Jakie siły stworzyły tę budowlę wiele wieków przed przybyciem Lyseniusa na Pustkowie Piktów? Co pozostawiły tutaj te moce?

Conan wiedział tylko, że on nie pozostawi tu nic, co da się wynieść ze skarbcza. Czarownik nie spożytkowałby tego w dobry sposób, a Bamula mogli potrzebować czegoś więcej niż złotych monet od Scry, by szybciej wrócić do ojczyzny. Cymmerianin musiał zaryzykować konfrontację z jakimikolwiek pozostałymi jeszcze zabezpieczeniami mechanicznymi czy magicznymi, ale podejmował już większe ryzyko dla mniejszego zysku, gdy był o wiele mniej doświadczonym złodziejem.

Conan zabrał mapę, sakiewkę i zbliżał się do skarbcza, kiedy w tunelu poniżej zadudniły kroki. W jego kierunku biegło wielu ludzi. Bamula czy Piktowie podążający śladem swych chakanów?

Cymmerianin skrył się w hakowym wejściu i zgasił latarnię. Nikt nie mógł go teraz dostrzec, chyba że oświetliłby z bliska jego kryjówkę.

Przybysze mieli latarnie. To dobrze. Ich światło będzie padać na nich, zanim zdążą go zauważyć. Jeśli to Piktowie, szybki skok...

Kroków przybywało. Teraz rozlegały się również w tunelu, którym doszedł tu Conan. Ale te nowe były wolniejsze, rzadsze i... Cymmerianin rozpoznał stuk pazurów o kamień. Chakany albo inne bestie; z pewnością nie ludzie. Czy Lysenius mógł mieć jakieś wyczarowane przez siebie potwory?

Nadciągający ludzie musieli usłyszeć stuk pazurów jednocześnie z Conanem, bo wtem ich kroki ucichły. Zatrzymali się. Potem padł cichy rozkaz, by postawić latarnie przed sobą.

Cymmerianin odetchnął z wielką ulgą. Komenda została wypowiedziana w języku Bamula i przysiągłby, że to był głos Govindue.

W polu widzenia pojawiły się trzy chakany. Jeden szedł na czterech łapach i obwąchiwał podłogę tunelu. Z opisu Scyry wynikało, że to tropiciel. Dwa pozostałe miały go ochraniać i rzucić się wraz z nim do ataku, gdy zwęszy zdobycz.

Cymmerianin postanowił pokrzyżować ich plany. Tej nocy po korytarzach włączyło się stanowczo zbyt wiele tych domowych zwierzątek szamana. Uznał, że do rana powinno być ich znacznie mniej.

Schylił się ostrożnie, by nie zdradzić się żadnym szelestem, podniósł mały kamień i cisnął go w rumowisko.

Łoskot był tak głośny, jak okrzyk wojenny w świątyni. Chakany zatrzymały się i niespokojnie rozejrzały wokół. Z pewnością zobaczyły latarnie Bamula, ale czy dostrzegły ludzi poza kręgiem światła?

Przynajmniej jeden — tak. Na wpół rycząc, na wpół wyjąc, rzucił się w stronę latarni.

Skoczył na nie i dwie przewrócił. Półmrok wypełniły okrzyki wojenne w języku Bamula, zagłuszając okrzyki wojenne w języku cymmeriańskim, a jedne i drugie próbowały zagłuszyć wycie chakanów.

Dwie pozostałe bestie rzuciły się na pomoc towarzyszowi lub tak przynajmniej ocenił to Conan w nikłym świetle. Jeśli tak, to miały go teraz z tyłu.

Wyskoczył z ukrycia i wylądował na skalnym rumowisku. Omal nie stracił równowagi.

Zwęglone drewno zatrzeszczało pod nim, ale ten odgłos utonął w ogólnym hałasie. Żaden chakan nie odwrócił się.

Jedna bestia od razu przypłaciła życiem ten błąd. Znając siłę, szybkość i krwiożerczość tych stworów, Conan zadał jej oburącz straszliwe cięcie mieczem. Ostrze rozplątało jednocześnie czaszkę, rdzeń kręgowy i kark chakana. Spiczasty łeb stwora opadł bezwładnie na ramiona, a tułów poleciał do przodu. Bestia roztrąciła swych kamratów i runęła na ziemię. W jej plecach utkwiły jeszcze dwie włócznie i fetor padliny wypełnił tunel.

— Nie podchodźcie do nich! — krzyknął Conan. — Sformujcie zasłonę z połowy włóczni, a resztę rzucajcie zza niej! — Bamula nie byli ułomkami, ale Cymmerianin wątpił, by któryś zdołał się wyrwać z morderczego uścisku chakana. Te bestie miały nadprzyrodzoną siłę!

W odpowiedzi ktoś cisnął włócznię. Minęła dwa żywe chakany i omal nie ugodziła

Cymmerianina. Chwycił dzidę w locie, gotów odrzucić ją szpicem w przód głupcowi, któremu zabrakło zimnej krwi, by się wstrzymać.

Ale czy na pewno komuś puściły nerwy? Conan przypominał sobie odciski stóp na brzegu rzeki, gdzie walczył z hipopotamem i zamiłowanie Kubwande do intryg. Taki „nerwowy”

rzut w ciemności łatwo dałby się usprawiedliwić, gdyby „niechący” zabił przyjaciela.

W następnej chwili Bamula powalili drugiego chakana rzutami i dźgnięciami włóczni.

Conan usłyszał okrzyk wojownika pełen bólu i wściekłości, a zaraz potem rżenie zdychającej bestii. Trzeci stwór zdawał się zupełnie ogłupiały.

Przycupnął na ziemi i począł skomleć. Govindue wystąpił naprzód i zabił go dźgnięciem w kark.

Młody wódz wyciągnął z bestii dzidę i właśnie prostował zgięty szpic, gdy podszedł do niego Conan. Uściskali się, po czym Cymmerianin szepnął: — Ktoś celował włócznią we mnie zamiast w chakana. Widziałeś kto?

— Tak się zwą te bestie? Myśleliśmy, że to małpy. Jest ich tu więcej?

Conan powtórzył Govindue to, co usłyszał od Scyry. Młodzieniec spochmurniał. —

Niedobrze mieć przeciw sobie dwie złe moce magiczne.

— Tyle to sam wiem. Trzymaj język za zębami, albo mów o tej włóczni.

— Widziałem, kto ją rzucił. Chcesz jego imię?

— Nie zamierzam go przeklinać, tylko zabić, jeśli zajdzie potrzeba.

— Więc imię ci niepotrzebne. Tacy jak on chyba sami się przeklinają od dnia, w którym się urodzili.

— Ani chybi — przyznał Conan i podniósł głos. — Ho, Bamula! Mamy skarbiec do

splądrowania. Ale bierzcie tylko to, co zdołacie łatwo udźwignąć. Musimy się stąd wynosić, i to szybko. I nie zwolnimy kroku jeszcze przez kilka dni.

— Dlaczego opuszczamy Lyseniusa? — Tego pytania nie zadał Bowenu, jak Conan mógłby się spodziewać. Padło gdzieś z ciemności i nie rozpoznał głosu. Ale ktoś widocznie tak, bo zaraz odpowiedział: — Chcesz dzielić kwatery z takimi, jak te tutaj, Scobunie? Albo z ich panem? Już lepiej walczyć z Piktami! Jakby co, to przynajmniej godniejsza śmierć.

— To racja — rzekł Conan. Opowiedział wszystkim pokrótce o zdradzieckich planach czarownika. Nie tracił czasu na wyjaśnienia, skąd o nich wie, choć Kubwande zapytał, gdzie jest kryształ.

— Tam, gdzie miał być — odparł Conan. — Dobrze mówiłem, że to kobieca magia.

Pomoże nam. Scyra nie będzie walczyć z ojcem za naszą sprawę, ale nie przepada za zdradą.

Dlatego jest po naszej stronie.

— Mądre słowa — stwierdził Govindue. — A teraz... skarbiec jest tam — wskazał

kierunek końcem włóczni. — Wchodźcie po czterech i każda czwórka wychodzi, jak doliczę do stu. A kto będzie zbyt chciwy, albo spróbuje okraść swych towarzyszy, pożyje tak krótko, że nie zdąży się przestraszyć ani Lyseniusa, ani Piktów!

Głos młodego wodza wciąż był trochę za cienki, by dodawać mu powagi, ale poza tym Govindue miał wszystkie cechy dowódcy. Gdyby szczęście i bogowie mu sprzyjali, jego imię mogłoby pozostać na zawsze w pamięci potomnych.

Oczywiście, o ile jego kości nie miały pozostać na zawsze w grocie Lyseniusa.

Plądrowanie skarbcza szło sprawnie. Kufry i worki zostały wcześniej porozrywane przez chakany i działanie magicznych zabezpieczeń. Wszędzie zalegały złote i srebrne monety — tu świeżo bite aquilońskie korony, tam stare pieniądze z dawno zapomnianych królestw, klejnoty, masywne naszyjniki, bransolety oraz inne ozdoby i wymyślnie inkrustowana broń.

Conan uważnie przyglądał się wojownikom. Częściowo dlatego, by wskazywać im rzeczy najbardziej wartościowe, a częściowo po to, żeby zapobiec szachrajstwom. Stał z

wyciągniętym mieczem i nikt nie odważył się podkraść niczego drugiemu, czując na sobie zimne spojrzenie niebieskich oczu.

Cymmerianin zadowolili się sztyletem wysadzonym drogimi kamieniami. Dołączył go do sakiewki od Scyry. Ostrze nie było z najlepszej stali i powoli pokrywało się rdzą, klejnoty nie miały wielkiej wartości. Ogólnie sztylet ledwo nadawał się do krojenia solonego mięsa w obozie oblężonym przez wrogów.

Każdy wychodził ze skarbcza z wypchaną sakwą lub workiem. Na razie nikt nie ugiął się pod ciężarem zabranych bogactw, ale dopiero dzień marszu miał pokazać, czy wojownicy Bamula dadzą radę to dźwigać. Conan postanowił, że kto będzie zostawał z tyłu, odda połowę rażniej idącym towarzyszom. A jeśli im też byłoby za ciężko, zostawi świecidełka Piktom lub wilkom.

Podjąwszy tę decyzję, Conan ustawił swych żołnierzy w szyku marszowym i wyprowadził

w noc. Ruszyli na wschód. Świt zastał ich daleko od groty. Nikt ich jeszcze nie ścigał.

Bamula cieszyli się z tego i już uważali ucieczkę za udaną. Conan nie podzielał ich optymizmu, choć nie zdradzał się z tym. Wciąż mieli kawał drogi do granicy. Lysenius mógł

jeszcze użyć środków, których nie znali lub może pozwolił im odejść, bo miał w tym jakiś ukryty cel. A niechybnie gdzieś czaili się Piktowie.

Nawet, gdyby pokonali wszystkie przeszkody, granica mogła być dla nich zamknięta. Robili wypadki na Pogranicze i nawet za górę złota Bossończycy mogli nie mieć ochoty przebaczyć ludziom, którzy walczyli ramię w ramię z Piktami.

— Oni zniknęli! — zagrzmiął Lysenius. — Zniknęli! Zniknęli!

Scyra miała nadzieję, że ojcu nie przyjdzie do głowy, żeby rzucać jakieś czary, dopóki jest taki wzburzony. Gdyby teraz spróbował za pomocą zaklęcia zagotować sobie herbatę ziołową, jego szata niechybnie stanęłaby w płomieniach.

Takie rzeczy już się zdarzały. Przyspieszyły wygnanie ojca z Aquilonii i Bossonii. W

Aquilonii, ludzie płacący okrągłe sumki w złocie i srebrze za czary zakazane nawet za dekadencckich Numedydów nie tolerowali porażek czy połowicznych sukcesów. W Bossonii, nieudolne czary zdradziły Lyseniusa i jego rodzinę przed surowymi sąsiadami, którzy inaczej nawet nie wiedzieliby, kto mieszka wśród nich.

Ale tygrys, który trzy razy chybił, skacząc na swą ofiarę, nie przestaje być groźny dla człowieka, skacząc po raz czwarty.

— Musimy poderwać Piktów i wysłać ich w pogoń za Cymmerianinem i jego ludźmi —

warknął Lysenius. — Tylko co ja zrobię, żeby zapłacić za krew wojowników, którzy zginą?

Jeden rzut oka na skarbiec wystarczył Scyrze, by stwierdzić, że ojcu z pewnością nie brakuje złota na ten cel. Dwudziestu Bamula wyniosło stąd to i owo po tym, jak

zabezpieczenia położyły trupem chakany i roztrzaskały drzwi, ale o zupełnym ogołoceniu skarbcza w żadnym wypadku nie mogło być mowy.

Lecz ofiarowywanie Piktom części złota mogło dać im do myślenia, czy czarownik nie ma go więcej. W istocie mogli to już wiedzieć od chakanów. Żaden bóg, żaden człowiek ani żadna magia nigdy nie były w stanie zagrozić Piktom drogi do złota.

Ojciec uciekłby stąd jako nędzarz, o ile w ogóle by uciekł, bez złota i bez magii, nie zakazanej w żadnym kraju, do którego miałby nadzieję dotrzeć. Zostałaby mu tylko ona —

Scyra, o ile ceną za jego ucieczkę nie byłoby jej małżeństwo z wodzem Piktów. Musiało być jakieś wyjście, które pozwoliłoby uratować ojca przed nędzą i jednocześnie Conana i jego Bamula przed śmiercią.

Jeśli mogłaby ocalić Conana (na wspomnienie jego pieszczot przeszedł ją lubieżny dreszcz) i zostawić Bamula ich losowi...

Nie, Conan nigdy by się na to nie zgodził. Umarłby, przeklinając ją. Jego honor nie pozwoliłby mu opuścić w potrzebie tych, co podążyli za nim przejściem między światami do tak obcego kraju, jak dla niej byłyby obce Czarne Królestwa... Raczej zginąłby z nimi.

Ale jeśli potrafiłaby uratować zastęp Conana, nie doprowadzając ojca do ruiny...

Cofnęła się i wyciągnęła z sakiewki Kryształ z Thraz. Ojciec wpatrywał się w sufit i zdawał się mówić do kogoś, kto tam jest, lub może nawet kryje się w litej skale powyżej. Dopiero po kilku

chwilach opuścił wzrok.

Wtedy ruszył naprzód z takim rykiem, że Scyra omal nie upuściła kryształu.

Zrobiła jeszcze dwa kroki w tył. Ojciec wyglądał, jakby zamierzał wyrwać jej kamień.

— Nie, ojcze. To dar od Conana. Zabrał go z bossońskiej karawany, a potem dał mnie.

— Ale... wiesz, co to potrafi?!

— A czyż nie jestem twoją córką?

— Przynajmniej raz nie odpowiadaj pytaniem na pytanie, Scyro. To bardzo sprytne, lecz teraz nie czas na spryt.

I tu się mylisz, pomyślała sobie Scyra. Właśnie teraz powinna być sprytniejsza niż kiedykolwiek. Inaczej los Conana będzie przesądzony.

— Zaczekaj, ojcze. Wiem, co to jest. Już to... już to sprawdziłam. W niewielkim stopniu, to prawda. Ale wystarczyło mi to, by się upewnić, że ten kamień może służyć tylko kobiecie.

Lysenius zmarszczył brwi. Scyra miała nadzieję, że nie próbuje sobie przypomnieć zaklęć, których mogła użyć. Gdyby zaczął ją przepytawać, nawet głośno, nie mówiąc już o

przejrzeniu jej myśli za pomocą czarów, mogłaby się zdradzić i nieszczęście gotowe.

— Czy to prawda?

— Przysięgam na wszystko, co wiem, że tak.

— Na więcej nie możesz przysięgać — mruknął Lysenius i zgarbił się na moment pod ciężarem lat i wspomnień.

Scyra wiedziała, ile z tych wspomnień jest bolesnych. Błędy, porażki... Chciała nawet przytulić ojca jak za swych dziecięcych lat. Wtedy to go pocieszało. A teraz?

Być może. Lecz poczułaby się jeszcze większą zdrajczynią, niż była. Ojciec mógł nie mieć skrupułów, żeby sprzedać ją Piktom, byle tylko zrealizować swój plan. Ale gdy tak stała przed nim, nie miał również serca zarzucić jej kłamstwa prosto w twarz. Zostało w nim więcej z człowieka, jakim kiedyś był, niż myślała.

Może z pomocą Conana udałoby się jej znaleźć drogę ucieczki z tego kraju. Z pewnością Cymmerianin wiedziałby, dokąd się przedostać, by ona i ojciec mogli dożyć spokojnie swoich dni, dzięki bogactwom zabranym ze skarbcza i jej uzdrowicielskim zdolnościom. Mogłaby zaapelować do jego słynnego, niezłomnego honoru człowieka z pomocy.

Po raz drugi oparła się chęci przytulenia ojca. Wyglądał, jakby miał się rozplakać.

Wiedziała, że jeśli zacznie lkać, to ona też. A wśród łez wyjawiała mu prawdę i ziszczała się jej najgorsze obawy.

— Ojczy, mam plan.

— Tylko nie narażaj się na niebezpieczeństwo.

— Nie wolno nam obawiać się niebezpieczeństw, gdy musimy ratować życie. Oboje

wiemy, że Conan nie ma wewnętrznego głosu. Nie możemy go słyszeć przez pustkowie. Ale on usłyszy mój wewnętrzny głos, jeśli wyślę mu wiadomość przez Kryształ z Thraz.

— To potężna magia.

— Więc naucz mnie, jak jej bezpiecznie używać. Jeśli będę umiała porozumieć się z Conanem, dyskretnie skieruję jego zastęp do Groty Wojownika. My podążymy za nimi z tyloma Piktami, by pojмали Bamula po dotarciu na miejsce. Sam Conan ma w sobie tyle ducha, że ożywi posąg. Jeżeli uda nam się złożyć w ofierze cały zastęp...

— Ależ miałem ten sam plan! — wykrzyknął Lysenius. Uśmiechnął się szeroko do córki.

— Doprawdy, jesteś moim dzieckiem tak duszą, jak i ciałem.

Scyra chciała wrzasnąć, że wszystkim, tylko nie tym! Zamiast tego, ciągnęła dalej.

— Moglibyśmy też skorzystać z przejścia między światami, by wyprzedzić zastęp Conana.

Lysenius pokręcił głową.

— Grota Wojownika leży daleko na ziemi Węży. Nie zabierzemy ze sobą tyle Sów, by mogły nas obronić. Z tymi, które zmieszczą się w przejściu nie przeżylibyśmy nawet jednego dnia. Nadto, wątpię, by wielu Piktów odważyło się z nami przejść, nawet, gdybym mógł

zabrać wszystkich. Już i tak boją się mojej magii jak ognia. W przejściu między światami oszaleliby ze strachu.

Czarownik wyprostował się. Córce wydał się przez moment niemal tak władczy jak Conan.

Potem schylił się, ujął ją lekko za ramiona i pocałował w czoło. Stała spokojnie, lecz żołądek wywracał się jej do góry nogami.

— Niech tak będzie. Prowadź Conana. Udam się do wodzów Sów, by zwołali wojowników.

Mam ich poprosić, żeby zabrali lektyki?

— Tak. Chyba nie sądzisz, że dotrzymamy kroku maszerującym Piktom? — Scyra



uśmiechnęła się krzywo. — Gdybym potrafiła tego dokonać, byłabym bez wątpienia najwięcej wartą narzeczoną wodza w historii tego plemienia. Ale obawiam się, że nie zdołamy udawać Piktów.

Ani nawet ich przyjaciół.

Govindue uważał, że kraj Piktów zawsze będzie bardziej niebezpieczny niż jego ojczyzna.

Nie bez racji, nawet Conan to przyznał.

Zdarzały się tak chłodne noce, że nawet dziwne odzienie z futer jakichś bestii, okrywające całe ciało nie chroniło przed zimmem. Ziemia była kamienista. Rzeki, choć bez krokodyli, wylewały po gwałtownych deszczach. Burze nadciągały może nie tak często jak w dżungli, lecz uderzały z równie wielką siłą. Zwierząt było tu mniej, ale wszystkie groźne. Co gorsza, Govindue nie znał ich zwyczajów.

A przede wszystkim, mieszkali tu Piktowie. Govindue czuł ich obecność, choć nie widział

ich i nie słyszał ani razu od chwili, gdy zastęp opuścił grootę Lyseniusa. Mogli kryć się za każdym drzewem w złowroziej masie zieleń, rozciągającej się u stóp płaskiego wzgórza, z którego teraz patrzył. W lesie przed nimi mogło być takie mrowie Piktów, że powaliliby zastęp Bamula gołymi rękami, gdyby mieli zamiar pojmać ich żywcem dla Lyseniusa czy do własnych celów.

Govindue nie był w stanie opanować dreszczy, wyobrażając sobie, jak Piktowie traktują jeńców. Bamula i ich wrogowie potrafili przetrwać w niewoli, bo przechodzili takie próby wytrzymałości, lecz przy metodach Piktów tamto wydawało się dziecięcą igraszką.

Conan wdrapał się na szczyt obok Govindue i przysłonił oczy przed blaskiem

wschodzącego właśnie słońca. Dzień marszu zaczęli, mając nad głowami szare, ponure niebo.

Teraz zapowiadała się piękna pogoda. Mogli raźniej kroczyć ku ocaleniu lub... śmierci.

— Wyglądasz na niespokojnego, młody wodzu — zauważył Conan.

— Mój wygląd mówi tylko za moje myśli — odrzekł Govindue. — Ale chyba wodzowi

takie myśli nie powinny cisnąć się na usta ani nawet do głowy, prawda?

— Sądzę, że nie musisz o to pytać — odparł Conan. — Gdybym w twoim wieku wiedział

połowę tego, co ty już wiesz o dowodzeniu, mógłbym dziś być generałem albo księciem.

Cóż... Bogowie rozciągają przed nami ścieżki wyboiste lub gładkie, wedle ich woli. A nam pozostaje kroczyć, gdzie oni chcą. Choć jak widzę, ty już zdajesz się być nawykły do chodzenia po ścieżkach w sandałach lub butach.

Govindue roześmiał się.

— Nigdy nie poczuję się w nich swobodnie. Ale na tej kamienistej ziemi moje bose stopy mogą poczuć się dużo gorzej. I to szybko.

— Vuona już to odkryła. Wyleczyła nogi?

Govindue poczuł, jak krew napływa mu do twarzy. Conan przyjrzał mu się z ukosa. Przez moment myślał, że młody wódz go uderzy.

— Widziałem, jak wcierałeś w jej stopy maść i bandażowałeś je. Jest coś, czego nie widziałem, a co powinienem wiedzieć?

— Nie ciągnę na posłanie twojej kobiety, Amra — odpowiedział sztywno Govindue.

— Na razie, w tym zastępie i w tym kraju, ciągle jestem Conanem — padła astra

odpowiedź. Po chwili Cymmerianin uśmiechnął się szeroko, żeby rozładować napięcie.

— Wiem, że honor nie pozwoliłby ci na to — dodał. — Ale Vuona chyba nie miałaby nic przeciwko temu?

— Znasz ją lepiej niż ja — odrzekł Govindue. — Dobrze, że ma chore stopy, bo inaczej bym jej nie uciekł.

— Nie, ale mógłbyś dać się jej gonić tak długo, że kiedy by cię złapała, byłaby zbyt zmęczona na miłosne igraszki.

Conan zauważył, że wprowadził młodego wodza w zakłopotanie. — Dopóki Vuona nie stwarza problemów wśród mężczyzn nie będę trzymał jej na łańcuchu. Ale jeśli zacznie sprawiać kłopoty, toteż jej nie uwiążę. Przepędzę ją. A skoro mowa o przyszłości... Kiedy już będziemy wiedzieli, że nasze kości nie zbieleją na piktyjskim śmietniku, mógłbyś pomyśleć o pierwszej żonie. Vuona to nie najgorszy wybór. Wiesz, że jest córką jednego z trzech największych wodzów Zjadaczy Ryb?

— Nie wiedziałem.

— Zawsze słuchaj kobiet, jeśli tylko chcą mówić. Połowa kłopotów, które sprawiają, bierze się z ich milczenia. Vuona nie ma tej wady. Inne, z pewnością. Ale ty, jako wódz z Doliny Martwego Słonia związany przez małżeństwo z wodzem Zjadaczy Ryb...

— Tak, a ponieważ jestem związany przysięgą z tobą, oznaczałoby to pokój między tobą a Zjadaczami Ryb. Doprawdy, mógłbyś mi się przysłużyć, prosząc w moim imieniu o jej rękę.

— Słabe szansę. Podejrzewam, że to jej ojcu przyspiliłem do drzewa pióropusz, kiedy próbował namówić swoich ludzi, żeby zatłukli mnie jako demona.

— Widać z tego, że może cię nie lubić. Ani nie spodoba mu się żadna twoja prośba. Jak chcesz, Conanie.

— Nie musisz się już uczyć tak dużo, jak ci się zdaje, młody wodzu. W rzeczy samej, nie marzy mi się zamiana ucieczki przed Piktami na ucieczkę przed Zjadaczami Ryb.

— Wszyscy, którzy tu przyszli, będą stać przy tobie aż do śmierci.

— O tak, i do śmierci wielu Zjadaczy Ryb, co wywołałoby wojnę między nimi a Bamula.

Człowiek przez przypadek napotyka na swej drodze zbyt wiele wojen, żeby szukać jeszcze jednej!

Conan rozejrzał się.

— Czas stąd ruszać. Ludzie pewnie już skończyli brać wodę, a pośród tych głazów może kryć się coś więcej niż Piktowie.

Conan nie dostrzegł śladu Piktów ani schodząc ze wzgórza, ani wśród drzew wokół

strumienia, gdzie Bamula napełniali manierki. W lesie nie brakowało wody nawet latem, ale Cymmerianin wojował już na pustyniach, przy których Piekło wydawało się wilgotne i ledwo ciepłe. Nigdy nie rezygnował z okazji uzupełnienia zapasów wody, a jeśli jego zastęp nie musiałby odpierać ataku Piktów na wyschniętych wzgórzach, to tym lepiej.

Zaczynał się zastanawiać, czy istotnie nie uda im się przebyć Pustkowiec Piktów bez konieczności stawiania czoła któremuś z plemion. Ale byli jeszcze o kilka dni drogi od Pogranicza i każdy ślad, każde nacięte drzewo, zgubione pióro czy porzucony mokasyn wskazywały na obecność Piktów.

Jednak nie pojawił się żaden żywy Pikt, a nawet oni nie byli tak sprytnymi tropicielami, by przez tak długi czas ukrywać się przed czujnym i bystrym okiem Cymmerianina. Stracili też niejedną okazję, by bez wielkich strat własnych rozprawić się z małym zastępem Bamula.

Korzystając z mapy Scyry i własnego, wieloletniego doświadczenia tropiciela i wojownika, Conan prowadził swych ludzi, omijając niebezpieczne przejścia. Ale tylko bogowie zdolni ich unieść do nieba mogliby uchronić ich przed wszystkimi zagrożeniami. Pół tuzina razy Conan czuł, jak jeżą mu się włosy na karku i spodziewał się, że lada chwila zdradziecka strzała utkwii w jego plecach. Ale żadna nie nadleciała.

To była zagadka, a on nie lubił zagadek. Nie w tym kraju, gdzie Piktowie byli

wystarczająco groźni, kiedy zachowywali się zgodnie ze swym zwyczajem.

Chętnie zapytałby o to Scyrę, ilekroć do jego umysłu trafiały przesyłane przez nią rady, które ma bezpiecznie iść. Pierwszy raz zdarzyło się to nocą. Zapadał właśnie w sen po ciężkiej przeprawie przez najgorsze pasmo górskie w drodze na wschód. Myślał, że to magia Lyseniusa i postanowił, że prędzej zginie od własnego miecza niż pozwoli czarownikowi kierować nim tak, by doprowadził swoich ludzi do zguby.

Lecz okazało się, że to tylko córka Lyseniusa. Jej myśli przemówiły do niego jej własnym głosem, który tak dobrze pamiętał (i to nie tylko z powodu okrzyków rozkoszy). W dodatku, dała mu dowód, kim jest: wspomnienia, których nie mógł mieć nikt poza nią. Więc przyjął jej rady, a potem wiele razy próbował wysłać jej podziękowania i coś więcej. Ale odpowiedź nie nadeszła. Z czasem Cymmerianin uświadomił sobie, że taki przekaz myśli może działać tylko w jedną stronę — od niej

do niego. Chyba że on sam zostałby czarownikiem, co było tak prawdopodobne, jak to, że zgodziłby się zostać eunuchem!

Może brak Piktów nie oznaczał niczego strasznego. Scyra mogła odwieść ojca od zamiaru spuszczenia Sów ze smyczy. Uciekinierzy opuszczali teraz ziemie tego szczepu i wkraczali na tereny będące przedmiotem sporu między Wilkami i Wężami. Przynajmniej ci drudzy nie byli przyjaciółmi Lyseniusa, a Wilki mogły mieć pełne ręce roboty, walcząc z sąsiadami i niezbyt obchodziła ich garstka obcych o dziwnym kolorze skóry, wędrująca przez ten kraj.

Conan dołączył do tyłu kolumny i zbliżył się do Vuony. Szedł obok niej, kiedy opuszczali polanę i zauważył, że dziewczyna rzuca na Kubwande ostre spojrzenia.

— Są z nim jakieś kłopoty? — zapytał Conan. Omal nie dodał na początku „znowu”, ale nie chciał teraz dyskutować z nią o podejrzanym rzucie włócznią w ciemności, gdy walczyli z chakanami.

— Co mam ci powiedzieć? — odrzekła Vuona. — Ja się z nim nie wadzę. A ty?

— Też nie. Dopóki on nie jest na tyle głupi, by szukać zwady ze mną na tym pustkowiu —

odparł Conan. Powiedział to tak głośno, by usłyszała go nie tylko Vuona. Kubwande mógł

sobie mieć popleczników w domu, ale powinien wykazać się mądrością i nie knuć intryg we wrogim kraju.

— Chyba nie jest aż takim głupcem — zauważyła Vuona. — Myślę, że ty będziesz większym wodzem niż on.

— O ile tak zechcą bogowie — stwierdził Conan.

— Anie zechcieliby znaleźć nam bezpiecznego miejsca gdzieś bliżej niż to Pogranicze? —

zapytała trochę rozdrażniona. Conan zobaczył, że Vuona krzywi się lekko przy każdym kroku, a na jej obandażowanych stopach widać ciemne plamy.

— Nie znajdą tak bezpiecznego miejsca, byśmy mogli zapomnieć o Piktach —

odpowiedział. — Lepsze otarte stopy niż poderżnięte gardło czy roztrzaskana czaszka. A na Pograniczu mają ciepłe domy i miękkie futra na podłogach.

— Ciepłe? Jak komuś może być ciepło w tym kraju?

Conan wolał jej nie przygadywać, że gdyby włożyła na siebie więcej odzienia, a mniej chwaliła się swoim ciałem, nie marzyłaby tak bardzo. Pomyślał, że może Vuona to wcale nie taka dobra żona dla Govindue. Młody wódz zasługiwał przynajmniej na to, by wiedzieć, czyjego syna nosi w łonie jego kobieta.

— Budują swoje chaty z kamienia i drewnianych kłód — wyjaśnił. — A w środku płonie ogień w kamiennej skrzyni.

— Można się udusić!

— Nie w zimie.

— W zimie?

— To pora dużo zimniejsza niż teraz. Ziemię okrywa wtedy śnieg, czyli zamrożona woda.

Sięga tak wysoko, że może przykryć człowieka. Rzeki zamarzają i można przejść suchą stopą na drugi brzeg. A brak ciepłego schronienia oznacza śmierć.

Vuona spojrzała na ciemne niebo z taką miną, jakby chciała krzyknąć. Conan położył dłoń na jej ramieniu.

— Dziś nie będzie śniegu. Nie będzie go jeszcze przez wiele dni. Nie bój się.

— A kto się boi?! — rzuciła hardo. Potem dodała bardziej miękko. — Mam nadzieję, że przed tą zimą będziemy daleko stąd.

— Myślę to samo, kobieto.

Pohukiwania Sów używane jako sygnały w marszu dotarły do lektyki Scyry od czoła

kolumny i zamilkły gdzieś z tyłu. Niosący lektykę przystanęli i Scyra zeszła na ziemię.

Wzgardziła pomocą kilku wojowników, wyciągających do niej ręce. Może obraziła ich, bo chcieli dobrze, ale prędzej uwierzyłaby w to, że zobaczy słońce stojące w miejscu niż w to, że Piktowie mogą chcieć dobrze. W duchu obawiała się też, że gdy jej dotkną, dostanie gęsiej skórki.

Od chwili wyruszenia z groty wciąż prześladowały ją koszmarnie sny. Widziała w nich Piktów, wyprawiających z jej ciałem takie rzeczy, że Stygijczycy odwróciliby się ze wstrętem. Raz obudziła się tak złana potem, że musiała szybko zmienić odzienie. Inaczej ojciec pomyślałby, że ma gorączkę i chciałby ją leczyć takimi sposobami, które mogłyby zdradzić jej sekret.

Scyra nie miała wątpliwości, że to ten sekret nie daje jej spokoju i gnębi ją po nocach, a czasem i w dzień. Jednak nie zniechęcało jej to do zgłębiania sztuki posługiwania się Kryształem z Thraz i prowadzenia Conana za pomocą własnych myśli.

W istocie zaczynała podejrzewać, że z czasem jej kłamstwo może stać się prawdą. Mogłaby się tak związać z kryształem, że rzeczywiście służyłby jeśli nie wyłącznie kobietom jako płci, to przynajmniej tylko jej jednej. Wtedy ojciec nie mógłby go użyć bez ryzyka zniszczenia go.

I nie odważyłby się, dopóki nie przyznałaby się, że go okłamała. Ale Lysenius nie uwierzyłby, że jego jedyna córka — wszystko, co pozostało mu po zmarłej żonie — zdradziła go i zaprzepaściła

jego plany.

Co do planów ojca, to chodziło o Sutharo — jednego z pięciu największych wodzów Sów.

Lysenius wymieniał go jako przyszłego męża Scyry o wiele częściej niż innych. Młodej kobiecie zdawało się, że Pikt już wie o zamiarach ojca. Istotnie, wódz odnosił się do niej z życzliwością. Scyra bardzo wątpiła, by jego groteskowa kurtuazja trwała również po zaślubinach i zdmuchnięciu świec weselnych. Ale na razie traktował ją w tak cywilizowany sposób, na jaki mógł się zdobyć Pikt w stosunku do cudzoziemki.

Sutharo nosił obcisłe spodnie i opończę z wilczej skóry, a pod nią wspaniałą skórę jelenia ozdobioną kolorowymi muszlami i kawałkami kości. Na plecach miał łuk i kołczan pełen strzał z brązowymi grotami. Jego włócznia też była zakończona szpicem z brązu i przybrana piórami czapli. Za pasem wodza tkwił toporek i dobrze utrzymany, krótki, zdobyczny miecz gunderlandzki.

Pikt stanął teraz przed Scyrą i skłonił się jak najlepiej potrafił. — Ufam, iż znajduję łaskawą panią w dobrym zdrowiu — powiedział. Jak niemal wszyscy Piktowie czystej krwi, Sutharo nie znał języka hyboryjskiego. Lecz w mowie piktyjskiej używano podobnych wyrażen przy zwracaniu się do wodzów i do szamanów. Scyra zauważyła, że Sutharo użył obu. Biorąc pod uwagę ordynarny sposób traktowania piktyjskich kobiet, równało się to niemal hyboryjskiemu padnięciu jej do stóp.

— Czuję się dobrze. Podróż nie jest męcząca, a nadzieja na rychłe zwycięstwo podnosi na duchu każdego wojownika. — Scyra naśladowała uprzejmą formę Sutharo i w ostatniej chwili przypomniała sobie, że w jego języku nie ma żeńskiego odpowiednika słowa „wojownik”.

— O tak, pani. Oby twoja przychylność podniosła na duchu również tego, kto poprowadzi wojowników do zwycięstwa. — Przychylność miała w języku Piktów dwa znaczenia. To drugie brzmiało „niewieścia uległość”.

Scyra bardzo wątpiła, by kiedykolwiek zdecydowała się na to, choćby Sutharo podbił i rzucił jej do stóp cały świat. Ale powiedzenie mu tego nic by nikomu nie dało. Bez skrupułów gotowa była udawać, że podporządkuje się woli ojca.

— Mój ojciec i ja zawsze jesteśmy bardzo przychylnie nastawieni do wojowników plemienia Sów. Wasza przyjaźń dodaje nam sił.

— To przepełnia mnie wielkim zadowoleniem. — Słowo „zadowolenie”, podobnie jak

„przychylność”, miało dla Piktów również inne, mniej uprzejme znaczenia. Scyra nie wątpiła, że Sutharo ma na myśli równocześnie kilka znaczeń. Prosty piktyjski wódz może nie błyszczałby na dworze w Tarantii, ale też prosty aquiloński dworzanin nie znalazłby sobie łatwo miejsca wśród intryg plemiennych Piktów. O ile żyłby na tyle długo, by się do nich włączyć.

Scyra spacerowała tam i z powrotem, by rozprostować zdętwiałe kończyny.

Oddałyby wszystko (z wyjątkiem Kryształu z Thraz) za gorącą kąpiel. Może również za pęczek

wonnych ziół, by włożyć je do nosa i zabić smród tysiąca nie umytych piktyjskich wojowników. Zwłaszcza że słońce było prawie w zenicie.

Przestała uzalać się w duchu nad swym cierpiącym niewygody ciałem i spróbowała sobie przypomnieć, gdzie był Conan, gdy ostatni raz przesłała mu wiadomość. Nie reagował już na dotyk jej myśli jak spłoszony koń, a ojciec chyba do tej pory nie odkrył, że rozmawia na odległość z Cymmerianinem.

Conan mógł nie mieć wewnętrznego głosu, ale za to miał bystre oko i umiał rozglądać się wokół siebie. Bez wątplenia zawdzięczał to wielu przeżytym bitwom i łowom, lecz także ucieczkom, by ratować życie. Te przygody wyostrzyły jego wzrok i słuch. Patrząc na drzewo oczami Conana, Scyra mogła niemal policzyć igły na gałęzi pięćdziesiąt kroków nad ziemią.

Nie wróciła do lektyki po mapę, taką samą jak Conana. Piktowie nie znali map i o ile z szacunkiem odnosili się do czarów białego szamana i jego córki, to wpadali w popłoch, widząc praktyki magiczne odprawiane otwarcie.

Usiadła na pniu zwalonego dębu. Czowała miękkość zbutwiałego drewna i zapach żyznej gleby, słuchała śpiewu ptaków i brzęczenia owadów nad głową. Przestała dostrzegać ludzki świat. Nie docierał do jej zmysłów. Otaczała ją tylko natura i jej obecność wypełniała umysł

Scyry. Przygotowywała swój wewnętrzny głos do kontaktu z Conanem...

Powróciła do rzeczywistości w samą porę, by usłyszeć pohukiwania, rozlegające się od czoła kolumny. Teraz oznaczały koniec postoju. Zwiadowcy donieśli, że droga przed oddziałem jest bezpieczna. Myśliwi powrócili ze zwierzyną, która padła ich łupem. Bukłaki napełniono wodą. Wojownicy spod znaku Sowy gotowi byli do dalszego marszu.

Scyra wiedziała już, że zastęp Conana również. W istocie mogła im pozwolić posuwać się zamierzonym szlakiem przez resztę dnia. Szli niemal tak, jakby sobie życzyła, gdyby była razem z nimi i kierowała każdym ich krokiem.

Nazajutrz będą musieli skrócić bardziej na południe, by dotrzeć do groty na czas. Będą też potrzebować ochrony przed Wężami, na których ziemie wkroczą.

Od jakiegoś czasu Węże były skłócone z Wilkami. Nie doszło jeszcze do otwartej wojny, ale większość ich wojowników miała stawić czoło Wilkom na drugim krańcu ziemi Węży.

Część pozostanie w pobliżu groty. Za wielu dla dwudziestu Bamula, Cymmerianina i kobiety.

Nie mogła zaufać ojcu i prosić go o magiczną ochronę. Zadałby za dużo pytań, na które nie potrafiłaby odpowiedzieć wiarygodnymi kłamstwami. Zdradziłaby się.

Wysłać przednią straż Sów? Tak, ale czy można im ufać? Nawet, jeśli mieliby tylko walczyć z Wężami...

Sutharo. Jeżeli złoży mu pewne obietnice, których zresztą potem nie dotrzyma, to wódz przysięgnie,



że jego wojownicy nie będą walczyć z Conanem, ani nawet z Wężami, dopóki ci nie zaatakują pierwsi. Węże i Sowy były starymi wrogami, ale teraz żyły w pokoju, a Węże miały na głowie Wilki.

Tak. Złoży mu obietnice i będzie się modlić, by nie żądał od niej ich dotrzymania przed bitwą. Mogłaby znaleźć wymówkę, dzięki której będzie się trzymał z daleka. Piktowie mieli tyle samo przesądów dotyczących spraw męsko — damskich, co wszyscy, o ile nie więcej.

Potem gniew Sutharo będzie groźny, lecz jego władza nie sięga poza granice kraju Piktów.

Jeśli ona i ojciec przeżyją, nigdy już nie postawią stopy na tej ziemi.

# XVI

Kierując się wskazówkami Scyry, zastęp Conana od niemal dwóch dni wędrował przez góry. Cymmerianin bez trudu odnajdywał ścieżki, na których jego ludzie pozostawali w ukryciu. Ale z czasem zaczął mieć wątpliwości, czy aby na pewno Scyra wie, co robi.

Powiedziała, że tylko wysoko wśród szczytów będą bezpieczni, bo tam rzadko zapuszczają się Węże. Mówiła, że Piktowie to leśni ludzie, a najlepiej w lasach czują się właśnie Węże.

Boją się nagich skał i ten, kto wędruje przez góry, może łatwo uniknąć spotkania z nimi.

Jednak Conana wciąż trapiło to, że i bez czających się Węży ten skalisty, zimny kraj jest trudny do przebycia dla Bamula. Jedna noc była tak chłodna, że kazał rozpaścić ogień. Mniej obawiał się tego, że blask ich zdradzi, niż tego, że rano znajdzie połowę ludzi zamarzniętych na kamień, jak otaczające ich skały.

Może było to za mocno powiedziane, że Scyra nie wie, co robi. Znała Piktów i ich ojczyznę.

Tylko nie znała Bamula i nie wiedziała, jak trzeba postępować, by nie stracić ich zaufania. Z

pewnością prowadzenie ich nagimi zboczami, gdzie między nimi a niebem były tylko chmury i czasami orły, nie umacniało ich wiary w dowódcę.

Conan spróbował nawet jeszcze raz przesłać Scyrze wiadomość za pomocą myśli, ale nie otrzymał odpowiedzi. Wobec tego, dał sobie spokój. Gdyby jakimś cudem odezwał się w nim nagle „wewnętrzny głos”, zapewne Lysenius mógłby go usłyszeć równie łatwo, jak jego córka.

Do granicy mieli jeszcze trzy dni forsownego marszu. Zaklęcia tak potężnego czarownika mogły ich dosięgnąć nawet z większej odległości.

Pod wieczór drugiego dnia Conan wdrapał się na drzewo, wznoszące się wyżej niż

najbliższe szczyty górskie i zapewniające lepszą kryjówkę. Zszedł na dół z tak ponurym wyrazem na swej surowej twarzy, że tylko Vuona miała odwagę zapytać go, co zobaczył.

— Piktów — odparł krótko.

— Jak daleko? — spytał Govindue.

— Na tyle blisko, że gdyby zechcieli, zdążyliby odciąć nam drogę do granicy.

— Więc naszym zadaniem będzie zrobić tak, żeby nie zechcieli — stwierdził Bowenu.

— A niby jak masz zamiar to zrobić? — warknął Kubwande. — Zmącić umysły ich

wodzów magicznym piwem, przesłanym im ponad górami siłą twojej woli?

— Niech Conan wyśle kilku z nas w inną stronę, niż pójdzie reszta zastępu. Pokażemy się Piktom, a potem ukryjemy. Mniejsza grupa łatwiej się schowa. Gdy Piktowie będą nas szukać, reszta oddali się do granicy.

— Wielkie dzięki, Bowenu — odrzekł Conan. — Ale nie znasz Piktów. Potrafią wytropić człowieka, choćby strącił na szlaku dwie igły nie tam, gdzie potrzeba. Nadto, mogą okrążyć małą grupę niewielką ilością wojowników, a większe siły wysłać na poszukiwania reszty naszych. Doceniam twą odwagę i myślę, że wszyscy ją docenią, ale to na nic... Przekroczymy granicę na własnych nogach i wszyscy razem albo polegniemy razem. Ale jeśli polegniemy, to wokół nas padnie tyłu Piktów, że ich plemię będzie znane jako Szczep Wdów i Sierot!

Bamula chcieli wznieść okrzyki na jego cześć i to nawet nazywając go „Conanem”, ale uciszył ich gestem. Potem wysłał ludzi po wodę i wystawił strażę. Później oddalił się kawałek i przysiadł na skale. Wtedy podszedł do niego Govindue.

— Teraz moja kolej, by zapytać, czym się kłopotujesz, Conanie. Nie potrafię ci pomóc, tak jak ty mnie, ale jeśli mogę się na coś przydać, to służę.

Conan zerknął na młodego wodza. Nawet najmniejsze kłamstwo byłoby większą zdradą, niż mógłby znieść.

— Widziałem dymy ognisk dwóch obozów Piktów. Jedni to ci, o których mówiłem, bez wątpienia Węże. Będą szukać Wilków i mogą przypadkiem natknąć się na nas. Drugi obóz jest bliżej i na zachód. Nie wiem z całą pewnością, czy ci są na naszym tropie. Ale też nie założyłbym się, że nie są.

— Sądziś, że... Scyra nas zdradziła?

— Z pewnością nie przed ojcem. Dam za to głowę. Inaczej jego czary spadałyby na nas jak guano jastrzębi. Ale Lysenius i Scyra mogą już nie mieć nic do gadania. Piktowie mogli zmusić ich torturami do wyjawienia, gdzie jesteśmy, wbić ich głowy na pale w wiosce Sów i wyruszyć w pogoń, żeby z naszymi głowami zrobić to samo.

— Odśpiewamy Scyrze pieśń śmierci — przyrzekł Govindue. — Nawet jej ojcu, jeśli uważasz, że wtedy jego duch zazna spokoju.

— Niewielu znam czarowników, których duchy mogłyby kiedykolwiek być spokojne, nieważne, ile pieśni by im odśpiewać. Oszczędźcie gardła, by móc je potem przepłukać waszym piwem, a Lyseniusa zostawcie bogom. Mają więcej czasu niż my, śmiertelnicy. Tak przynajmniej mówią kapłani.

Sutharo, syn Yagana, naczelny wódz sił wojennych plemienia Sów, czekał z

niecierpliwością, aż jego zwiadowca zlezie wreszcie z drzewa. Byłoby szybciej, gdyby krzyknął z góry, ale byli na obcej ziemi.

— Widziałeś Węże? Są blisko?

— Dużo Węży. Patrząc po ogniskach, chyba więcej niż trzy pełne garście ludzi. Ale nie blisko. Nie między nami a wzgórzem, co o nim biały szaman mówi, że to tam.

— Dobra robota. Możesz pić pierwszy, gdy następnym razem znajdziemy wodę.

— Dzięki ci, o wodzu.

Sutharo miał nadzieję, że wodę znajdą wkrótce. Od dwóch dni on i jego ludzie posuwali się naprzód szybkim marszem. Ale nie dogonili ludzi — demonów i ich wodza — olbrzyma.

Ludzie — demony wydawali się tak szybcy, jak Sowy. Nawet w trudnym terenie.

Oddałby wszystko, żeby jego wojownicy wytrwali, jeśli przybędą na miejsce w samą porę, by obronić ludzi—demonów przed Wężami. Wtedy córka białego szamana spoczęłaby w jego łóżu, a syn narodzony z takiej krwi bez wątpienia byłby i wielkim wodzem, i szamanem.

Taki syn mógłby rządzić nie tylko jednym plemieniem. Grobowiec jego ojca odwiedzaliby wszyscy ludzie, a z czasem ojciec zasiadłby przy ogniu w kręgu najwyższych bogów.

Na szczęście, jego wojownicy nie wiedzieli, że odbijają sobie stopy i wysuszają gardła po to, by chronić ludzi, których potem zabijają. Mogliby się dziwić, dlaczego Sutharo każe im to robić i nawet rzucić mu swe wątpliwości prosto w twarz.

Niektórzy mogliby nawet rzucić mu wyzwanie. Byliby głupcami, gdyby zrobili to na wrogiej ziemi Węży i na oczach białego szamana, żeby zobaczył, jak Sowy skaczą sobie do gardeł. Ale głupcy zawsze istnieli, między Sowami również. Z pewnością znaleźliby się i tacy, co opuściliby swego wodza za to, że ich okłamał tylko po to, by włożyć się na posłaniu ze Scyrą.

Sutharo od dawna marzył o jeszcze jednej szansie pobicia Węży, zanim będzie za stary, by poprowadzić Sowy na wojnę. Ale zaczynał podejrzewać, że zawsze lepiej walczyć z

własnych powodów, nawet, jeśli nagrodą za to nie byłaby Scyra.

Ostatnie polecenie od Scyry kierowało Conana na południe wokół krańca łańcucha

górskiego widocznego przed nim. Wszystko byłoby dobrze, gdyby ten południowy kraniec nie leżał tak blisko Węży. Przejście przez góry na wprost wchodziłoby w rachubę, gdyby szedł sam. Jego wprawne oko powiedziało mu, że zbocza za szczytami są za strome dla Bamula.

A zatem, dobrze. Pójdą na północ. Czas sprawdzić, co się stanie, jeśli nie posłucha Scyry.

Nic — to świetnie. A jeżeli miała rację... cóż, człowiek może umrzeć tylko raz.

Gdyby to wywołało gniew Lyseniusa, to też — człowiek może umrzeć tylko raz. Ale Conan wiedział, że umierałoby mu się dużo łatwiej ze świadomością, że Scyra nie jest zdrajczynią.

Oszukało go więcej kobiet, niż niektórzy mężczyźni znali w swoim życiu, lecz miał również dobre wspomnienia, nie tylko po Belit. Szkoda byłoby mu tych przyjemnych chwil, gdyby miały się już nie powtórzyć.

Wskazał mieczem na pomoc.

— Pójdziemy tamtędy. Uważajcie bardziej niż dotąd. Z każdym krokiem zapuszczamy się głębiej na ziemię Węży.

— Jeśli Węże uderzą, to poczują, jakby gryzły kamień! — zawołał Kubwande. Była to najlepsza rzecz, jaką udało mu się zrobić od dłuższego czasu.

Scyra klęła pod nosem po piktyjsku, używając takich słów, o których znajomość ojciec nigdy by jej nie podejrzewał. Przeklinała Conana, wymieniając kolejno takie części jego ciała, które również wprawiłyby jej ojca w osłupienie.

Nie przeklinała tylko Kryształu z Thraz, choć dobrze wiedziała, że gdyby nie on, w jej głowie nigdy nie powstałby ten plan. A co do jego wprowadzania w życie, to lepiej wypadłaby próba wytropienia piktyjskiej zamiany dusz, kiedy to dusza węża wstępuje w człowieka, a ludzka w gada.

Ale czując, jak Conan coraz bardziej i bardziej oddala się od wyznaczonego szlaku, zaczęła się zastanawiać, czy aby Kryształ nie uczynił jej zbyt ambitną. Starła się prowadzić, a nawet przywiązać do siebie mężczyznę, który tak się do tego nadawał, jak tygrys z vendhijańskiej dżungli czy wilk z jego ojczystych lasów. Zanim spotkała Conana, znała Cymmerian tylko z opowiadań. Teraz nie dziwiła się, dlaczego Cymmeria pozostała niezależnym krajem, a aquilońskie próby podboju północy miały krwawy koniec.

Za jej plecami stanął ojciec. Poczula na karku jego oddech przesycony piktyjskim piwem.

Na usta cisnęły się jej słowa wyrzutów, ale pohamowała je.

— Conan posuwa się zgodnie z twoją wolą?

— Nie całkiem. Okrąża góry z przeciwnej strony.

— Ach tak... Możesz wysłać za nim wojowników Sutharo?

— Nawet gdybym mogła dotrzeć do umysłu Sutharo, nie zrobiłabym tego. Nazwałby mnie wiedźmą i zaczęłyby się mnie bać.

— Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach mógłby się ciebie czasem obawiać, Scyro. Tak jak twojej matki. W tym sensie, masz w sobie wręcz za dużo z niej.

Zaraz zacznie gderać o matce, potem się rozplacze, wreszcie urznie piktyjskim piwem i zaśnie! Scyra miała nadzieję, że nie doprowadzi się do takiego stanu, że zapomni zaklęć, kiedy dotrą do grotu.

Nie, właśnie miała nadzieję, że zapomni! Gdyby w ostatniej chwili stracił moc magiczną, mógłby się

nigdy nie dowiedzieć o jej zdradzie. A ona nie musiałaby skierować swej magii przeciwko niemu. Jeśli nie byłby zdolny dokonać swej zemsty, może dostrzegłby wreszcie, że na niej świat się nie kończy.

Scyra zacisnęła powieki i poczuła pod nimi łzy. To mało prawdopodobne. Lysenius zbyt długo żył swą zemstą, by jeszcze pamiętać, jakie życie wiódł przedtem.

Ponadto, gdyby opuściła go magiczna moc, byłby martwy. Umarłby szybko, jeśli miałby szczęście. Bo jeśli nie — konałby długo. A jego córka razem z nim.

Jej plan zdrady Piktów graniczył z szaleństwem, skoro wokół roilo się od nich. Był nie do końca szalony tylko dlatego, że miała nadzieję, iż uda jej się ukrywać zdradę tak długo, aż oboje z ojcem znajdą się poza ich zasięgiem.

On jej przebaczy. Piktowie nigdy. I nie przebaczy jej Conan, choć jeśli sprawy pójdą na opak, Piktowie bez wątpienia położą go trupem, zanim on zdąży się zemścić na niej.

Życie zdawało się być pasmem zrad — jedna prowadziła ku następnej. Scyra pomyślała nagle, że nie ceni takiego życia na tyle, na ile mogłaby.

Bamula nauczyli się sztuki wspinaczki podobnie jak korzystania z łuków. Niewielu opanowało ją dobrze. Większość była raczej „zdeteminowana”. Conana nie dziwiło, że Govindue należał do najlepszych. Cymmerianin był natomiast zaskoczony lekkością, z jaką poruszała się po górach Vuona. Zastanawiał się, czy chce się popisać swoją siłą, a jeśli tak, to przed kim: przed Govindue, czy przed nim?

Tak się złożyło, że młody wódz i dziewczyna szli najbliżej niego, gdy przeprowadzał zastęp przez północny kraniec gór. Łańcuch wyginał się na południe. Zbocza przed nimi były nagie i skaliste, te za nimi — gęsto zalesione. U stóp gór rosło więcej drzew. W ponurym mroku jodeł i sosen mogło się ukryć dość Piktów, by wytłuc całą prowincję, a co dopiero garstkę wędrowców.

Conan przypadł do ziemi i pokazał tym obok, by zrobili to samo. Przekazali rozkaz dalej i nikt nie odważył się stać wyprostowany na skale, widoczny z dołu i z góry.

Zastęp szedł własnym szlakiem, ignorując wskazówki Scyry. Jak dotąd, nie zdarzyło się nic złego. Jednak Conan musiał mieć ważniejszy powód niż niechęć do słuchania Scyry, by poprowadzić ludzi przez nagie, wschodnie zbocza gór.

Cymmerianin zdążył pomyśleć o tym przez czas potrzebny na wzięcie dwóch lub może trzech głębokich oddechów. Potem machnął ręką do tych za nim, by skierowali się na pomoc i ukryli na skraju lasu.

Z nieba poleciał grad strzał. Taka chmara wystarczyła, by ostrzec atakowanych, nie wyrządzając im przy tym większych szkód. Piktowie strzelali bezładnie i z daleka, toteż ich ofiary odniosły tylko powierzchowne rany.

Conan wiedział, że takie szczęście, czy przychylność bogów, nie będzie im długo sprzyjać.

Zauważył również po kierunku padania strzał, że nadlatują spomiędzy drzew, gdzie chciał ukryć ludzi.

Nie mógłby powiedzieć, że mu się to podoba. Przyszło mu do głowy, że może Scyra miała rację i powinien ją przeprosić, jeśli dożyje następnego spotkania. Jak na czarownicę, która ledwo skończyła dwudziestą wiosnę życia, nosiła całkiem mądrą głowę na tych krągłych, ponętnych ramionach...

— Biegnijcie! — krzyknął, wskazując drzewa w dole wschodniego zbocza.

— A Piktowie...? — zawołał ktoś.

— Są tam i strzelają z daleka. Jeśli pobiegniemy, też będą musieli biec, żeby mieć nas w zasięgu łuków. Strzelanie w biegu daje marne efekty. Najlepsi łucznicy, marsz na tyły! Jak znajdziecie dobre kryjówki i będziecie mieć Piktów na otwartej przestrzeni, poczęstujcie ich strzałami. Tylko nie zostawajcie za daleko. Nie możemy przystawać i czekać.

Bieganie wychodziło Bamula najlepiej. Nawet, gdy z braku obycia z górami przewracali się na pochyłości, szybko wstawali. Nikt nie złamał nogi ani nie naciągnął mięśni. A ci, których zakurzone ciała czerwieniały miejscami od krwawiących otarć i zadrapań biegli równie szybko, jak przedtem.

Conan trzymał się w środku, by wszystkich widzieć, móc porozumieć się z każdym i w razie potrzeby dołączyć do łuczników z tylnej straży. Miał potężny, długi łuk bossoński o większym zasięgu niż piktyjskie i kołczan z dwoma tuzinami strzał. Ten bossoński rodzaj broni wydawał się niemal nieporęczny temu, kto uczył się strzelania od konnych łuczników turańskich, wyposażonych w dalekosiężne, lecz małe łuki. Ale Cymmerianin nie lekceważył

żadnej broni zdolnej zabić wroga.

Gdyby Piktowie dali mu okazję, wielu z nich odeszłoby z tego świata w jego towarzystwie, jeszcze zanim dobyłby miecza.

Conan dostrzegł właśnie Piktów, wypadających na otwartą przestrzeń na północ od niego, gdy Vuona krzyknęła tak przeraźliwie, jakby u jej stóp rozwarła się nagle czeluść piekiel.

Cymmerianin odwrócił się w biegu i zobaczył, że Piktowie wysypują się również spomiędzy drzew na wprost. Niektórzy już napięli łuki i pierwsza strzała wbiła się w ziemię tuż przed Vuoną. Odskoczyła w lewo z okrzykiem zaskoczenia.

Conan wiedział, że jeśli jego ludzie zatrzymają się, padną od piktyjskich strzał tam, gdzie stanęli. Jeśli pobiegną dalej, wpadną z deszczu pod rynnę. Jedyna droga ucieczki zdawała się prowadzić wzdłuż zbocza na południe — tam, dokąd kierowała ich Scyra.

Z pewnością miała rację. Cymmerianin przysiągł sobie, że przełknie dumę i przyzna jej to, o ile jeszcze zobaczy młodą czarownicę.

Bogowie wciąż czuwali nad zastępem, biegnącym teraz na południe. Niektórzy Bamula potykali się i zataczali, ale wszyscy trzymali się na nogach. Conan słyszał chrapliwe oddechy podobne do odgłosu zużytych miechów kowalskich w kuźni partacza, jakiego jego ojciec nigdy nie ścierpiałby w ich rodzinnej wiosce. Cymmerianin jeszcze oddychał swobodnie i wiedział, że jest na tyle szybki i wytrzymały, by zostawić zastęp z tyłu.

Ale wiedział też, że nigdy by tego nie zrobił. Tak jak zastęp nie zostawiłby tego, kto padłby pierwszy. Wszyscy otoczyliby kręgiem nieszczęśnika i bronili się do zapadnięcia nocy. Do zmroku było jeszcze zbyt daleko, by ciemność dawała jakąś nadzieję, ale na nic innego nie mogli liczyć.

Choć nie! Może to nie była cała prawda. W górze zbocza widniało jakieś zacienione miejsce, bardzo przypominające wejście do jaskini. Otaczały je głązy ułożone tak, jakby nie dokonała tego sama natura. Dawały szansę obrony.

— Tam! — krzyknął Conan, wskazując w górę. Minęła dobra chwila, zanim wszyscy

zobaczyli to, co pokazuje i skręcili w tamtą stronę. Piktowie wykorzystali tę chwilę, by się zbliżyć. Conan i łucznicy Bamula napięli cięciwy i wypuścili strzały. Odległość była duża, ale strzelali w dół. Dwaj Piktowie padli, dwaj inni zatrzymali się. Większość ich strzał nie dolatywała do uciekinierów i nie zagrażała im.

Akurat w tym momencie Vuona musiała się potknąć. Upadła tak pechowo, że ciężko zraniła się w nogę. Podniosła się zakrwawiona, klnąc i łkając jednocześnie. Próbowwała kuśtykać dalej, ale po paru jej krokach Conan zorientował się, że nie dotrze do głązów o własnych siłach.

Przewiesił przez plecy łuk i chciał chwycić dziewczynę, ale to Govindue znalazł się przy niej pierwszy. Zarzucił ją sobie na ramię, jakby ważyła mniej niż kosz ziarna lub jakby on był

co najmniej tak silny jak Cymmerianin. Nie zważając na ciężar, pobiegł w górę zbocza.

Conan nie dotarł tam ostatni, ale spory kawałek za młodym wodzem.

Ostatnia chmara strzał zagrzecotała o skały. Conan wychylił się z ukrycia, by je pozbierać; każda sztuka broni była na wagę złota. Chwytał właśnie ostatnią, kiedy usłyszał wrzask Vuony i przekleństwa mężczyzn.

Tylko Govindue nie stracił panowania nad sobą.

— Conanie, chyba powinieneś to zobaczyć.

Cymmerianin wysunął się zza głązu, tak poczerniałego, jakby osmałiły go płomienie jakiegoś nieziemskiego ognia i spojrzał ku dwóm następnym. Miał rację; za nimi widniało wejście do groty.

Lecz już nie tonęło w cieniu. W środku żarzył się dziwny, niebieski blask. Conan postąpił

dwa kroki naprzód i zobaczył, że magiczna poświata promieniuje z nisz wyżłobionych w ścianach groty. Jaskinia ciągnęła się w głąb wzgórza i jej czeluść ginęła w mroku.



Zrobił jeszcze dwa kroki i niebieskie światło padło na jego skórę. Czekał, by zobaczyć, czy w ludzkiej obecności nie zdarzy się jakiś inny cud oprócz poświaty. Usłyszał niepewne pomruki Bamula.

— Cicho — uspokoił ich, nie odwracając się. — Takie światło rzadko komuś szkodzi.

Gdyby miało nas skrzywdzić, już by to zrobiło. Wolicie stawić czoło Piktom na gołym zboczu?

— Przed sobą mamy Piktów, a za sobą magię — odezwał się trwożliwie Bowenu. — Nie wiem, co lepsze.

— Możemy wycofać się do grotty, jeśli Piktowie, ich strzały lub choćby ich smród będą za blisko! — głos Conana stwardniał. — U wejścia do jaskini jeden człowiek powstrzyma pięćdziesięciu!

— Piktowie w mig poznają prawdę — odparł na to Kubwande. Conan z trudem pohamował się, by go nie skłąć lub nie powalić na ziemię ciosem pięści. Wzruszył ramionami.

— Owszem, jeśli jest stąd tylko to jedno wyjście. Ale jeszcze nie widziałem jaskini, w której nie byłoby co najmniej dwóch.

Te słowa uspokoiły większość, jeśli nawet nie Kubwande. Conan nie dodał, że Piktowie mogą znać wszystkie możliwe wyjścia i obstawić je.

Schronienie się w grocie mogło oznaczać szybki koniec całego zastępu, jeśli czaiła się tu wroga magia lub tylko przedłużyć ich życie do czasu, kiedy wtargną tutaj Piktowie. Ale Conan nie był człowiekiem, który ułatwia zadanie wrogowi, a pozostanie przy życiu choćby kilka dni dłużej dawało szansę odwrócenia losów bitwy.

## XVII

Scyra była zmęczona niczym po całodniowym marszu, ale nie mogła zasnąć. Wcale nie z powodu chrapania ojca, leżącego w głębi namiotu, ani smrodu brudnych Piktów śpiących wokół, z których część też zresztą chrapała.

Zdjęła tylko długie buty i teraz zdołała wciągnąć je po cichu z powrotem. Zastanawiała się, czy nie sięgnąć po łuk i kołczan, ale uznała, że wystarczy sztylet. Nie była dobrą łuczniczką, a mając tę broń zwróciłaby na siebie uwagę. Piktowie domyśliliby się, że chce opuścić obóz.

Byli teraz bardzo podejrzliwi i nerwowi.

Niepokój Sów wzrastał w miarę, jak zbliżali się do ziem Węży i Wilków. Ci pierwsi ledwo udawali przyjaciół, a z drugimi Sowy nie walczyły wprawdzie od lat, ale gdyby stały się słabe na skutek potyczki z Wężami, Wilki rzuciłyby się im do gardeł, zanim spadłby pierwszy śnieg.

Utrzymać w ryzach pięć setek Piktów potrafił tylko naczelny wódz. Jedynym takim

wodzem podczas tej kampanii był Sutharo, który wyruszył z ludźmi ze swego klanu bronić Conana przed Wężami. Scyra zobaczyła, że większość wojowników śpi, niewielu stoi na straży i to niezbyt czujnie, a kilku siedzi wokół małego ogniska i cicho zawodzi pieśni. Miała nadzieję, że czary strzegące ojca obudzą go, gdyby obóz znalazł się w niebezpieczeństwie.

Oparła się o drzewo i słuchała pieśni, dopóki mężczyźni przy ognisku nie zobaczyli jej.

Jeden wykrzyknął sprośne pozdrowienie, inni roześmieli się, a ktoś poprosił, żeby się cofnęła, bo jej cień pada na nich.

Odpowiedziała gestami. Jeśli odprawiali wojenne czary, to był męski rytuał. Głos kobiety mógł zburzyć nastrój, podobnie jak jej cień. Kiedy odwróciła się i odeszła, któryś wykrzyknął

za nią podziękowania.

Nie nauczyła się lubić Piktów przez lata życia na wygnaniu. Ale zauważyła, że czuje do nich coraz mniejszą wrogość. Na co dzień robili to, co inne ludy. Choć może nie wszystko —

ich kraj był surowy i tęskniła za widokiem tłustych krów i pełnych stodół.

Lecz czegoś będzie jej brakować, kiedy pewnego ranka obudzi się i nie usłyszy bębnów i okrzyków polujących zastępów. I czegoś zabraknie na tym świecie, gdy kiedyś to pustkowicie przetną bite drogi, a Piktowie, którzy tego dożyją, zamienią się w spokojnych gospodarzy i pasterzy.

Za późno usłyszała trzask gałązek na lewo od siebie. Wyciągnęła sztylet i odwróciła się, by dźgnąć w ciemność, ale kosmata łapa zdzieliła ją w skroń. Cios zwałił ją z nóg. Upadając, uderzyła głową w drzewo. W oczach zawirowały jej gwiazdy.

Inna wielka, owłosiona i niehumanoidalnie silna łapa chwyciła ją za kostkę. Scyra wierzgnęła rozpaczliwie drugą nogą i poczuła, że trafiła w twardą jak kamień kość. Ból rozszedł się po jej ciele i eksplodował pod czaszką jak piorun.

Przy upadku zgubiła sztylet i teraz gorączkowo próbowała go po omacku odnaleźć. Nie mogłaby dosięgnąć nim przeciwników, ale mogłaby go użyć przeciwko sobie. Chakanów —

bo to musiały być one — nie przysłał tu ani jej przyjaciel, ani ojciec, ani Conan. Nie pozwoli, żeby ją...

Kosmata stopa kopnęła ją w żołądek. Głowa odskoczyła jej gwałtownie do tyłu i uderzyła w korzeń. Czuć opuściło ją i odpłynęła w ciemną otchłań nicości.

Wyglądało na to, że grotę nie jest dla Piktów żadnym tabu i nie obawiają się drzemiącej tu magii. Podpełzli tak blisko, że dopiero kilka strzał, które położyły trupem najzuchwalszych ostudziło ich zapędy.

Zuchwalstwo Piktów odebrałoby odwagę Bamula, gdyby Conan nie podtrzymał ich na

duchu. — Możliwe, że Piktowie spodziewają się, iż tutejsza magia położy kres naszemu życiu. Ale jest równie możliwe, że boją się, iż znajdziemy sposób, by obrócić jej moc przeciwko nim. Dlatego starają się zawczasu nas zabić.

Dobrze choć, że nikt nie próbował powiedzieć mu w twarz, że to bzdura. W głębi duszy, Conan mógł się tylko modlić, żeby miał rację. Lub przynajmniej o to, żeby nie zdarzyło się coś, co udowodni, że jej nie miał. Jeśli Bamula opuściłaby odwagę, rozwiałyby się ostatnia nadzieja. Cymmerianinowi i tym, którzy dokonali tego samego wyboru, pozostałoby wtedy tylko jedno.

Może nawet należałoby się zdecydować na ten ostateczny krok już teraz, ale Conan zawsze wierzył, że dopóki człowiek żyje, wszystko jest możliwe. Martwy niczego już nie zmieni; żywy — kto wie? Póki co, trzeba było opatrzyć rany, rozdać skąpe resztki żywności (twarde suchary i solone mięso) i wystawić straż. Conan chciał, żeby jeden wartownik czuwał u wejścia do groty, a drugi nieco w głębi, ale nie naciskał na to. Czuł, że Bamula boją się zapuszczać w czeluść jaskini i jego też nie opuszczał niepokój. Poza tym, wystawienie straży w głębi groty oznaczałoby, że obawia się ataku również stamtąd, nie mówiąc już o osłabieniu szczupłych sił obrońców i pozbawieniu snu większej liczby ludzi.

Ledwo „Warty zajęły pozycje, gdy rozległy się dzikie okrzyki Piktów i wszelkie nadzieje na sen przysły. Conan wykradł się w ciemność i zaczął się czołgać. Ryzykował spotkanie z zacząjonym Piktem, ale chciał sprawdzić, co się dzieje.

Był dziesięć kroków za głazami i wyteżał wszystkie zmysły, kiedy wyczuł jakiś ruch na lewo od siebie. Zamarł, ale nie mógł ocenić odległości tylko słuchem. Jeśli ukryty Pikt wydawał jakiś dźwięk, to zagłuszała go wrzawa w dole zbocza.

Nagle przeciwnik skoczył na Conana i niemal w tym samym momencie naprzeciw

pierwszego napastnika zamajaczyła druga postać. Cymmerianin przeturlał się poza zasięg atakujących i zerwał się na nogi. Dwóch Piktów zderzyło się ze sobą. Conan chwycił jednego za warkocz, drugiego za pióropusz i trzasnął głową o głowę. Obaj wrogowie zatoczyli się, ale nie zrezygnowali z walki. Conan mocniej złapał ich za tłuste włosy i powtórzył sztuczkę.

Tym razem z zadowoleniem usłyszał pękające kości. Obaj Piktowie osunęli się na ziemię.

Cymmerianin zawlókł ich do głazów, a potem dalej, w zasięg światła.

Blask częściowo rozjaśnił tajemnicę. Jeden z Piktów miał na sobie barwy wojenne, pióra i tatuaże plemienia Sów. Drugi należał do Węży.

— Przyjaciele Lyseniusa, czyli Sowy przybyli na wzgórze — powiedział Conan.

— Nie nazywasz ich naszymi przyjaciółmi — zauważył Kubwande i nie zabrzmiało to jak pytanie.

Gdyby tak zabrzmiało, Conan nie miałby ochoty odpowiadać. Najlepsze, co można było powiedzieć o przybyciu Sów to, że gdy ich walka z Wężami dobiegnie końca, wokół zostanie mniej Piktów. Ktokolwiek wygra bitwę, będzie musiał opatrywać rannych i zbierać zabitych.

Przez ten czas zastęp Conana odzyska siły w bezpiecznej, jak dotąd, grocie.

Wolałby, żeby nie musieli zwlekać. W bitewnym zamieszaniu, towarzyszącym niechybnie nocnemu starciu dwóch niezdyscyplinowanych oddziałów nie znających pola walki, łatwo mógłby się stąd wymknąć zastęp pięciokrotnie liczniejszy od garstki wojowników Conana. O

ile jego dowódca i część ludzi nie miałyby skrupułów, by zostawić towarzyszy niezdolnych do marszu.

Czterej mężczyźni i Vuona nie mogliby biec. Przynajmniej nie tej nocy. Conan nie poprowadziłby nikogo na pewną śmierć, zwłaszcza z ręki Piktów. Nie potrafiłby też zostawić tej piątki swojemu losowi ani zabić ich własnymi rękami, dopóki istniała jakaś nadzieja. Ta nadzieja malała z godziny na godzinę, ale wciąż się tliła.

Wściekły na wszystko, a głównie na siebie, Cymmerianin spacerował po grocie jak lew po klatce. Po co wszedł za Vuoną w te przeklęte wrota demonów?! I kiedy wreszcie nastanie świt?! Niebieska poświata przydawała jego oczom tak złowrogiego blasku, że kilku Bamula odpędziło zło, wykonując rytualne gesty.

Raz zdawało mu się, że słyszy pomrukiwania jakiejś nieziemskiej bestii, dochodzące z ciemnego zbocza wzgórza. Kiedy indziej był niemal pewien, że w głębi cichej dotąd groty słychać szum wody. Już chciał wybrać się tam, żeby to sprawdzić, gdy zobaczył, że Kubwande nie śpi. Natomiast Govindue i Vuona chrapali smacznie, jeszcze nie w objęciach, ale ich ręce prawie się stykały.

Conan nie powierzyłby dowództwa temu pyskatemu intrygantowi, nawet gdyby miał sam czuwać całą noc. Kubwande nie mógłby sprzedać Piktom niczego, czego by nie kupili, ale jego kunszt wojenny nie był już taki, jak dawniej. Cymmerianin doprowadził swój zastęp zbyt daleko, by wystawiać ludzi na

niechybna zgbę, choćby moment wcześniej niż było im pisane!

Liczenie własnych wojowników nie zajęło Sutharo nawet pół nocy, choć tak mu się zdawało. Kiedy skończył, był o wiele mniej zadowolony, niż kiedy zaczynał.

Węże, jak zwykle walczyły dobrze. I znały teren lepiej niż Sowy, co nie zdarzyło się, gdy ostatnio trzy razy Sutharo prowadził swoich przeciwko Wężom. I tym razem przepędził

Węże, ale wiele Sów padło lub odniosło zbyt ciężkie rany, by nadawać się do walki.

Poza tym, to była ziemia Węży. Gdyby choć jeden wojownik Węży umknął i zawiadomił

wodzów, że zjawiły się Sowy, Węże wróciłyby tu w wielkiej sile. Sutharo i ci ludzie, którzy mu pozostali, znaleźliby się między młotem a kowadłem, mając przed sobą świeże zastępy Węży, a za sobą wzgórze.

Mimo to, Sutharo nie zamierzał opuszczać zbocza, dopóki nie przybędzie Lysenius i tym samym wydawać cudzoziemców na pastwę Węży. Był wojownikiem Sów. Co więcej, piękna kobieta (jeśli nawet nie rasy piktyjskiej) obiecała być mu uległą, o ile on również dotrzyma danego jej słowa.

Miał tylko nadzieję, że nie straci znów zbyt wielu wojowników. Nie skończyłoby się to dla niego szczęśliwie. Może przestałby być wodzem, zanim jeszcze poślubiłby Scyrę, o ile w ogóle dożyłby tego dnia.

Sutharo siedział na pniu zwalonego drzewa, gdy usłyszał ostrzegawczy wrzask chakana.

Dobiegło go również pohukiwanie straży. Wstał i ruszył do lasu, skąd sygnalizował swe przybycie chakan.

Zobaczył nie jednego chakana, a trzy. Dwa niosły lektykę, a w niej...

— Scyra?

To była ona, lecz nie odezwała się. Na jej twarzy dojrzał sińce i rozmazaną krew. Odzienie miała poszarpane w kilku miejscach.

Trzeci chakan wystąpił naprzód i wyciągnął łapę. Wódz cofnął się. Potem przypomniał

sobie, że szamani używają tych bestii nie tylko do tropienia wrogów, ale i przenoszenia wiadomości. Zmusił się, by stać cierpliwie. Stwór położył włochatą dłoń na jego czole.

Przesłanie dotarło do umysłu Sutharo. Wysłał je przez chakana Vurag Yan, główny szaman Sów. Zrobił to tak, by nie mógł go odczytać Lysenius. Yan zdawał się być zły i kiedy Sutharo słuchał, zrozumiał dlaczego. Zaczął nawet podzielać gniew szamana.

Biały szaman i jego córka chcieli opuścić Piktów. Postanowili, że nie będzie złożenia krwawej

ofiary. Ani z Cymmerianina Conana i ludzi–demonów, ani nawet z żadnego Pikta.

Posąg nie ożyje i nie poprowadzi ich do zwycięstwa. Scyra zamierzała uciec wraz z ojcem i zostawić Sowę walczące z Wężami i ludźmi–demonami.

Ludzi — demonów było niewielu, ale mogli posiadać moc nie znaną Sutharo. Wódz

wiedział też, że Cymmerianin jest jeszcze bardziej nieziemski niż jego wojownicy.

— Co zatem rozkażesz, Vurag Yan? — zapytał Sutharo. Nie miał pojęcia, czy chakan jest w stanie przekazać jego pytanie szamanowi, czy też może tylko przynosić wiadomości od swego pana. Ale teraz miał okazję to sprawdzić.

Po chwili odpowiedź spłynęła poprzez bestię do umysłu wodza: — Twoja w tym głowa, żeby w ofierze złożyć Conana i jego zastęp. Przy takiej ilości dobrej krwi nawet ja potrafię ożywić posąg i rozkazywać mu.

Po raz pierwszy Sutharo usłyszał w głosie szamana cień skromności. Omal się nie

roześmiał. Przyszło mu do głowy, że warto by się potargować. Uznał to za konieczne. Ba!

Nawet mądre!

— Zatrzymam Scyrę.

— Nadal pragniesz tego ożenku? Twój synowie będą splamieni...

— Będę miał więcej synów czystej krwi niż ty, stary szurze leśny! Zatrzymując Scyrę, mogę rozkazywać jej ojcu i Conanowi! Im bardziej zechcą mi się przeciwstawić, tym bardziej narażają na niebezpieczeństwo, dopóki będzie w moich rękach. A może ty potrafisz mnie ochronić przed Lyseniusem, Conanem i Wężami naraz?

— Jesteś krnąbrny i buntowniczy, Sutharo.

— Dowodzę wojownikami, którzy już tu są i których ty będziesz potrzebował, żeby

dokończyć swe dzieło. Jestem ci tak samo potrzebny, jak ty mnie, Vurag Yan.

Chakan jęknął z bólu. Najwidoczniej gniew szamana wywołany tymi słowami bardzo mu dokuczył. Sutharo czekał, ale w jego umyśle z powrotem zapanowała nocna cisza, podobnie jak wokół jego ciała.

Spojrzał na wzgórze. Niełatwo będzie wdrzeć się do groty bronionej przez Cymmerianina i ludzi — demony. Zginie wielu wojowników. Sutharo miał nadzieję, że nie tak wielu, by Węże mogły wytluc pozostałych, zanim nadciągną posiłki lub Vurag Yan.

Choć gdyby tego dokonał... Pieśniom sławiącym wojownika, który dał Piktom narzędzie zemsty za

ich krzywdy nie byłoby końca. To on wyniósłby Sowę na najwyższe miejsce wśród plemion Pustkowia. Bez wątpienia Vurag Yan próbowałby przypisać sobie wszystkie zasługi, ale znalazłoby się dość takich, co zaświadczyliby, że to Sutharo należy się hołd. Zbyt wielu, by szaman mógł ich uciszyć.

Rzesłał posłańców, by zwołali podwładnych wodzów. Lepiej nie tracić czasu, żeby wróg nie zdążył zebrać sił. A jeszcze gorzej, gdyby zdążył wywołać magię z głębi jaskini.

Pojmany Pikt od Węży już nie żył, gdy Conan przyciągnął go do groty. Ten od Sów nie odzyskał przytomności, więc nie mógł mówić. Wkrótce i on zmarł. Bamula zaczęli szemrać, że duchy martwych mogą ożyć, jeśli ciała Piktów zostaną wśród nich.

Conan uważał, że po tym wszystkim, co dotąd przeszli, duchy Piktów to dziecinna igraszka.

Ale nie powiedział tego głośno, tylko skinął głową.

— Zaciągnijmy ich w głąb groty — zaproponował. — Tam magia powstrzyma duchy.

— A jeśli doda im sił? — zapytał Kubwande. Conan musiał oddać mu sprawiedliwość, że teraz wygląda nie tyle na wyrachowanego, co na wpół żywego ze strachu. Nie winił go za to, bo tutaj niemal deptali cienie bogów lub innych, mniej przyjaznych, istot... A przysięgał

Belit, że nie będzie tego robił.

Ale co człowiek robi dla siebie, to jedno, a co gotów jest zrobić dla tych, którzy mieli odwagę wiernie kroczyć za nim aż tu, to drugie.

— Gdyby magia w tej grocie była naszym wrogiem, już byłoby po nas. Nie może sprzyjać duchom Piktów. Ale jeśli ktoś ma ochotę, niech pójdzie ze mną, by odprawić rytuał plemienia Bamula, wiążący duchy z ciałem. Duchy tych Piktów powinny mieć przez to przynajmniej taki ból głowy, żeby dać nam spokój.

Ku zaskoczeniu Conana, zgłosił się Bowenu. Ubiegł nawet Govindue. Ale dobrze się stało, bo teraz dwaj młodszy rangą wodzowie mogli się wzajemnie pilnować. A Bowenu nie był

groźny dla Cymmerianina. Każdy z nich chwycił jedno ciało i obaj zagłębili się w tunel prowadzący do wnętrza wzgórza.

Korytarz przez jakiś czas biegł poziomo, może na przestrzeni pięćdziesięciu kroków. Potem łagodnie opadał w dół i rozszerzał się. Conanowi zdawało się, że dostrzega na ścianach zniszczone płaskorzeźby o węzowych kształtach. Przypominały dekoracje w świątyni Set, ale nie były całkiem takie same. A może to natura tak wyłobiła skałę, a jemu wydawało się, że widzi coś, czego nie ma? Zbyt wiele magii i brak wina przez dłuższy czas może sprawić, że człowieka ponosi fantazja.

Wreszcie skręcili i dotarli do miejsca, gdzie tunel rozszerzał się i jednocześnie przechodził

w komnatę zwieńczoną kopułą. Kamienne ściany lśniły szarawopurpurowym blaskiem w magicznej

poświacie i były zbyt gładkie jak na dzieło samej natury. Nie miały jednak żadnych dekoracji. Wokół grubo zalegał kurz. Tylko krąg o średnicy długości włóczni, znajdujący się pośrodku komnaty pozostawał tak czysty, jakby przed chwilą ktoś go dokładnie zamiótł i wytarł.

W kręgu stał posąg mężczyzny naturalnej wielkości. Postać była jednak wyższa i potężniejsza nawet od gigantycznego Cymmerianina. Ją też ktoś musiał niedawno pieczołowicie wyczyścić i Conan zauważył delikatne wzory łusek na jej skórze.

Oczy posągu miały w sobie coś z gada i Cymmerianin wzdrygnął się. Czy to jeden z legendarnych ludzi–węży z Valuzji? Tak stary, że jeszcze walczył z wojownikami Atlantydy?

Tacy jak on zniknęli na długo przed powstaniem nie istniejącego już dawno Cesarstwa Acheronńskiego, którego celem było sianie zniszczenia. Ale coś z ich magii przetrwało; mówiono, że dało początek kultowi Set, Wielkiego Węża.

Conan podszedł bliżej, ale nie ryzykował wejścia w czysty krąg. Musiała go stworzyć magia; wciąż tu żyła. Wolał nie kusić losu. Obszedł posąg dookoła, próbując uciszyć swe wątpliwości. Życzył sobie, żeby Bowenu zapanował nad swymi trzęsącymi się nogami, lub padł zemdlony. Antyczna magia, podobnie jak stare drapieżniki, umiała wyczuć strach. Tak przynajmniej nauczyło Conana doświadczenie.

Więc czy to człowiek–wąż? Łuska i oczy mówiły, że tak. Reszta temu przeczyła. Posąg przypominał wiekowego najemnika, wyczerpanego długą i niewdzięczną służbą u skąpych i wymagających władców, lecz wciąż wiernego i godnego zaufania. Jeśli to był człowiek–wąż, to przynajmniej jeden z tego gatunku odznaczał się jakąś cnotą. Albo tak go sobie wyobrażał

rzeźbiarz, co nie wychodziło na jedno. (Kiedyś w Argos Conan zgodził się, by artysta namalował jego portret. Kiedy zobaczył swą podobiznę, wyrzucił obraz przez okno i o mały włos nie zrobił tego z malarzem.)

Najbardziej niepokoiło Conana nie to, co posąg przedstawia, lecz samo jego istnienie. Czy Scyra jednak była zdrajczynią i za pomocą swych myśli skierowała ich do groty z posągiem, który chciał ożywić jej ojciec? Ożywić jako przywódcę Piktów za cenę złożenia krwawej ofiary z Conana i jego ludzi?

Ta myśl sprawiła, że nagle grotę wydała mu się chłodniejsza niż noc na zewnątrz, a niebieska poświata bardziej złowroga. Conan miał ochotę wejść do kręgu i zepchnąć posąg z postumentu, Gdyby runął i roztrzaskał się, żadne czary Lyseniusa nie tchnęłyby w niego życia...

Zrobił, jak postanowił. Jednym skokiem znalazł się przy figurze i natarł na nią z całą siłą.

Ale z równym powodzeniem mógłby się rzucać na ścianę jaskini. Trzy razy uderzał ciałem w posąg. Trzy razy nie nastąpiło nic niezwykłego, za to nabawił się całkiem ziemskich siniaków i zadrapań. I trzy razy posąg nawet nie drgnął.



— Conanie... — odezwał się w końcu Bowenu — jak długo chcesz kusić bogów?

— Dopóki nie będą mieli tego dosyć i albo położą mnie trupem, albo pozwolą mi zwalić na ziemię ten bezkształtny kamień! — warknął Cymmerianin. Ale nie ponowił próby. Wciąż nie działało się nic niezwykłego, lecz w kręgu czuł obecność potężnej mocy. Starej i uspionej, ale strasznej, gdy się obudzi.

Spojrzał na posąg. Nie pozostawił na nim śladów swych bezowocnych wysiłków. Kurz, który naniósł wchodząc do kręgu nagle rozjarzył się na czerwono i zniknął. Stało się to tak szybko, że Conan mógłby przysiąc, iż tylko to sobie wyobraził. Jedynie wiara we własne zmysły i wytrzeszczone oczy Bowenu upewniły go, że to nie sen.

Zostawili martwych Piktów tam, gdzie ich położyli i wrócili tą samą drogą. — Duch włóczący się pod okiem tego posągu musiałby być bardzo zuchwały — mruknął Conan.

Przeszli połowę korytarza, gdy ozwały się bębny i okrzyki wojenne Piktów. Potem

głośniejsze i bliższe przekleństwa Bamula. Conan i Bowenu spojrzeli na siebie i zaczęli biec.

Lysenius dziękował bogom, których nie czcił od wielu lat, że dwa z najbardziej potrzebnych mu tej nocy zaklęć może rzucić bez żadnych zewnętrznych oznak.

Zewnętrzne oznaki odprawiania czarów zaalarmowałyby strzegących go Piktów. Jego

reputacja mogłaby ich odstraszyć, powstrzymać ich włócznie, strzały i noże. Ale nic nie znaczyła dla chakana nasłanego przez Vurag Yana.

Widział bestię przycupniętą po drugiej stronie ogniska. Jej ślepia błyszcząły niczym rozżarzone, piekielne węgle. Na rozkaz swego pana stwór rzuciłby się przez ogień i zatopił

pazury w jego gardle, zanim zdążyłby wziąć głęboki oddech.

Lysenius postanowił, że kiedy będzie mógł zaryzykować gesty lub słowa, położy kres istnieniu chakana i wszystkich jego pobratymców. Bez owych pupilów szaman straci wiele ze swojej mocy szkodzenia innym.

Lysenius zebrał myśli i tym razem udało mu się skoncentrować na posągu stojącym w grocie. — Na moc Siedmiu Wód i Pięciu Gór, na Iblis, Mitrę, Croma i Seta, na Kłątwe Nienarodzonego Feniksa...

Słowa rozbrzmiewały echem w jego głowie, jakby wykrzykiwał je herold w jaskini.

Zachował obojętny wyraz twarzy i oddychał spokojnie. Nikt nie domyśliłby się, że pod tą maską kryje się cała magia świata. Nawet jego ręce spoczywały na kolanach nieruchomo, niczym śpiące szczenięta, które kiedyś pokazywał Scyrze, gdy miała pięć lat.

Tym zakątkiem umysłu, który nie był zajęty czarami, Lysenius znów się pomodlił. Tym razem do żadnego konkretnego boga. Miał tylko życzenie, by córka zobaczyła go takim, jakim był dawniej,

kiedy dzieło tej nocy dobiegnie końca. Nie na długo, ale nawet jeden dzień jej dawnej miłości całkiem by mu wystarczył.

O więcej nie prosił. Zbyt wiele ich teraz dzieliło. Poza tym, była już dojrzałą kobietą, nie dziewczycą, jeśli jej wewnętrzny głos mówił prawdę. (Czy to zasługa tego Cymmerianina?) Aczkolwiek wiele ich dzieliło do tej pory, teraz przejrzał na oczy. Mógłby jeszcze pomścić swą żonę; ta szlachetna istota zasługiwała na to. Ale nie z krzywdą dla Scyry. Najpierw musi ją ocalić. Potem, kiedy uwolni córkę z rąk wrogów i upewni się, że nic jej nie grozi, może staczać własne bitwy.

Gdybyż mógł użyć Kryształu z Thraz! To ułatwiłoby mu zadanie ożywienia posągu samą siłą woli, bez składania krwawej ofiary.

Lysenius wiedział, że kamień jest w namiocie. Dotykał go swymi myślami. Ale nie śmiał go przyciągnąć do siebie umysłem. Nie mógł się niczym zdradzić przed Piktami. Żadnych zewnętrznych oznak magii!

Ponadto, Piktowie nie znali przeznaczenia Kryształu z Thraz. Nie używali takich rzeczy przy odprawianiu swoich czarów. Im dłużej Lysenius ukrywał klejnot, tym lepiej mógł go potem wykorzystać do pewnych celów.

— Na piąty żywioł pod rozkazami bogów wojowników, zwany mud. Na Ishtar i

Semiramis...

Podniecenie Lyseniusa rosło. Oblizwał suche wargi i wziął głęboki oddech. Z daleka coś dotarło do jego umysłu. Otworzył się na to i rozpoznał pozdrowienie.

W odległej grocie, położonej w kraju Piktów z plemienia Węży, osobliwy posąg misternej roboty drgnął na swym cokole.

## XVII

Conan nie usłyszał, że posąg maszeruje przed siebie. Wycie Piktów zagłuszało wszystkie inne dźwięki, nie wyłączając ich własnych bębnow, wrzasku rannych i konających i okrzyków wojennych Bamula.

Jak dotąd, żaden Bamula nie poległ. Nawet ranni w potyczce na zboczu byli zdolni do walki. Kulejący mężczyzna mógł bez trudu odpierać wrogów na siedząco i ci z hakami strzelali równie skutecznie w tej pozycji, jak stojąc. W istocie nawet ślepy trafiłby w żywą ścianę Piktów, szturmujących hurmem groty.

Conan rzucił się do boju z cymmeriańskim okrzykiem, który odbił się głośnym echem wśród ścian jaskini i przez moment górował nawet nad wyciem Piktów.

Zerwał z pleców łuk i kołczan, odrzucił je na bok i w biegu dobył miecza i sztyletu.

Pikt przeskoczył nad pierwszą linią Bamula, uszedł przed włóczyniami drugiej linii i wpadł na Conana. Cymmerianin wystawił uniesione kolano i Pikt zawył nieswoim głosem, gdy zgiął się w pół. Zaciśnięta na rękojeści sztyletu potężna pięść Conana grzmotnęła wroga w kark i zdruzgotała go, niczym wilcze szczęki szczura.

Dwaj inni Piktowie, próbujący pójść w ślady pierwszego, zginęli od włóczni Bamula.

Kamienna podłoga groty zrobiła się jeszcze bardziej śliska od ich krwi.

Conan zebrał się w sobie, gdy następni Piktowie natarli na pierwszą linię Bamula i zepchnęli ją do drugiej linii, a tę z kolei na niego.

Podpierał obie linie obrońców z istic barbarzyńską siłą, rozpostarłszy szeroko ręce uzbrojone w miecz i sztylet.

— Nie cofajcie się, głupcy! — ryknął. — Nie dopuszczajcie ich dalej ani o krok! Nie pozwólcie im się przedrzeć taką chmarą! Znuście ich, by atakowali tylko po kilku naraz!

Bowenu znalazł się u jednego boku Cymmerianina, Govindue u drugiego. Obaj również zaparli się z całych sił i ich ociekające krwią włócznie zaczęły wściekle dźgać wrogów ponad głowami Bamula. Kątem oka Conan dostrzegł Vuonę przyciśniętą plecami do ściany.

Wyglądało na to, że przebiła włócznią brzuch jednego Pikta i teraz walczyła z drugim.

Zdążyła go już porządnie okaleczyć. Pikt patrzył na nią z niemym przerażeniem, jakby spodziewał się, że dziewczyna za chwilę pozbawi go męskości.

Natarcie Piktów załamało się w końcu pod pchnięciami włóczni. Zanim nastąpił drugi atak, Conan

przedarł się przed pierwszą linię obrony. Wznosił się nad szturmującymi jak niewzruszona skała i siekł na lewo i prawo. Ostrze jego miecza spływało krwią wrogów.

Rębał, kopał i wrzeszczał, a wokół niego rósł krąg śmierci. Podłogę jaskini zasłało wkrótce ponad dwadzieścia trupów. Jęczące niedobitki rzezi wpadały w ręce Vuony. Z wprawą podrzynała im gardła. Kilku rannych Piktów próbowało wypełznąć z groty, ale dobili ich łucznicy.

Od Conana, aż po wejście do jaskini można było brodzić we krwi. Wszędzie walały się ciała nieprzyjaciół. Obrońcy ucierpieli niewiele i kilka niegroźnych ran nie osłabiło ich ducha walki. Tym razem nie dało się zbierać strzał przed grotą, ale też o losach tej bitwy nie miały zadecydować łuki.

Co prawda, Conanowi wydawało się nieprawdopodobne, by jakakolwiek broń mogła

przechylić szalę zwycięstwa na stronę Bamula. Sowy straciły tylu wojowników, że ich wściekłość musiała się obrócić przeciw Lyseniusowi i Scyrze, jak również doprowadzić do ostatecznej rozprawy z Cymmerianinem i jego zastępem. Ale póki co, Conan nie tracił

nadziei.

W pewnym momencie do jego uszu dotarły zgrzyty dochodzące z głębi groty. Jakby kamień tarł o kamień. Zauważył też, że niebieska poświata zaczyna migotać niczym płomień latarni na silnym wietrze.

Zgrzyty rozlegały się coraz głośniejsze. Conan zerknął w głąb tunelu i zobaczył cień na ścianie.

Nie mógłby określić jego kształtu i nawet wolał nie próbować.

Ale ilekroć rozlegał się zgrzyt, cień poruszał się naprzód.

Zgrzytanie ustąpiło miejsca przeciągłemu skrzypieniu. Oczom Conana ukazało się coś o wiele większego niż cień. Zatoczyło się na ścianę i oparło o nią na moment, po czym wyprostowało się i znów zrobiło zgrzytliwy krok.

Ku nim kroczył posąg! Szedł chwiejnie niczym pijany pirat, ale żaden pirat nie mógłby być tak wysoki. Conan dostrzegł teraz, że to, co początkowo wziął za łuskę na ciele, jest obcisłą kolczugą okrywającą całą postać. Twarz nie miała więcej wyrazu niż przedtem, a oczy nadal przypominały bardziej węża niż istotę ludzką.

Conan stał w miejscu. Potem nawet się cofnął, nie spuszczać oka z figury. — Ludzkie mięśnie i stal mogły zdać się na nic przeciw ożywionemu posągowi tak samo, jak przeciw nieruchomemu. Jednak celne pchnięcie w czuły punkt powinno pozbawić go równowagi. Czy figura potrafi się podnieść, jeśli upadnie?

Zobaczył wytrzeszczone oczy Bamula. Większość patrzyła za siebie, zamiast w przód.

Gdyby teraz jacyś martwi Piktowie ożyli, odnieśli by łatwe zwycięstwo nad zastępem Conana.

Również ci na zewnątrz, jeśli w tej chwili zdecydowałoby się na atak. Odwaga Bamula mogła w końcu prysnąć w obliczu ociężałego wytworu magii i jeżeli wybraliby ucieczkę w noc, wprost w ręce Piktów, byłiby zgubieni.

Musieliby jednak przebiec obok Conana, a on nie zamierzał na to pozwolić. Istniało wiele gorszych rzeczy niż rozstanie się z życiem za sprawą magii i z pewnością należała do nich śmierć zadana przez Piktów.

Posąg zbliżał się. Bamula już bardziej nie mogli wytrzeszczyć oczu. Niektórzy z nich ociekali potem, mimo nocnego chłodu w jaskini. Tylko Govindue patrzył przed siebie z uniesioną włócznią. Jeden z łuczników nie wytrzymał i wypuścił strzałę. Cel był tak blisko, że nie chybiłby ani ślepiec, ani kaleka, ani nawet dziecko na rękach. Strzała trafiła posąg w pierś i... grot zniknął z głośnym trzaskiem i oślepiającym, niebieskim błyskiem. Na piersi posągu przez chwilę tlił się ogień, po czym zgasł.

W powietrzu zapachniało siarką. Swąd był tak duszący, że wszyscy zaczęli kaszleć i kichać.

Pozbawiona grotu strzała upadła na kamienną podłogę. Była w jednej trzeciej spalona — reszta jej długości zwęgliła się. Zadymiała i po chwili stopa kroczącej figury roztała ją na czarny pył.

Nawet Cymmerianin nie miał odwagi myśleć, co stałoby się ze śmiałkiem, który dotknąłby posągu nagą stalą. Metal widocznie był wrogiem magii uwięzionej w figurze. A gołe ręce?

To samo musiało przyjść do głowy jednemu z Bamula. Rzucił się biegiem przed siebie, podskoczył i uchwycił się ramienia posągu. Najwyraźniej chciał zachwiać figurą, kiedy stawiała następny krok. Może nagle szarpnięcie z jednej strony mogłoby pozbawić ją równowagi jak człowieka...

Ale posąg nie był człowiekiem. Pokazał to w następnej chwili. Gdy Bamula uczeplił się ramienia, uniosło się i wojownik zawisł nad ziemią, dyndając nogami niczym dziecko trzymane przez rodzica.

— Puść to, ty przeklęty głupcze! — ryknął ostrzegawczo Conan.

Za późno. Drugie ramię posągu zatoczyło łuk tak szybko, że nawet Cymmerianin ledwo zdążył dostrzec ten ruch. Kamienna pięść trafiła śmiałka w skroń i czaszka Bamula trzasnęła jak skorupka jajka. Krew, mózg i odłamki kości bryznęły na pozostałych.

Posąg trzymał teraz ciało w obu dłoniach. Conan zauważył, że jedna z nich jest

zakrwawiona, lecz czerwona barwa nagle zaczęła znikać jakby krew wsiąkała w kamień, niczym woda w piasek pustyni. Druga ręka zacisnęła się tak mocno, że palce zagłębiły się w ciemnej skórze wojownika. Ale ze zwłok nie wypłynęło więcej krwi.

W następnej chwili trup Bamula począł się kurczyć, a skóra zmarszczyła się jak winogrono leżące zbyt długo na słońcu. Pozostali wpatrywali się w to z rozdziawionymi ze zgrozy ustami. W końcu z martwego Bamula pozostał tylko wyschnięty worek z ludzkiej skóry, zwisający luźno z rąk posągu.

Conan nie był pewien, czy to imaginacja, czy rzeczywiście kamienna postać jakby trochę urosła. A w jej oczach zabłyśnięto światło, którego wcześniej nie widział.

Nie wydawało mu się, a to, na co patrzył, miało sens. Tyle sensu, ile w ogóle może mieć szaleństwo i magia razem wzięte! Posąg ożywiło jakieś zaklęcie, zapewne rzucone przez Lyseniusa, bez składania krwawej ofiary! Co nie znaczyło, że bez krwi się obędzie. Skoro posągowi nie złożono krwi w ofierze, musiał zdobyć ją sam.

Ale przynajmniej na razie nie wyglądało na to, by szukał następnej ofiary. Inny Bamula pobiegł w stronę posągu, przemknął pod kamiennymi ramionami, po czym cały i zdrow wyrósł za jego plecami. Conan nie miał pojęcia, co Bamula zamierza, skoro próby

przewrócenia figury i użycia broni spełzły na niczym.

Lecz ten wyczyn pokazał, że inni też mogą minąć posąg i zostawić mu wolną drogę do wyjścia z jaskini, na zbocze wzgórza i ku czekającym tam Piktom. Zapewne Lysenius nie miał nad figurą więcej władzy niż nad Wężami. Krocząc przed siebie, posąg mógł z jednakową siłą zmiatać z powierzchni ziemi Piktów i Hyboryjczyków i poić się ich krwią.

Należało go powstrzymać, a im prędzej, tym lepiej. Zastęp Conana mógł mieć w tym swój udział.

Jednak dzisiejszej nocy kamienna figura zabrała Cymmerianinowi pierwszego jak dotąd Bamula! Przekląłby na zawsze Stygijczyka, gdyby miał stracić więcej ludzi, skoro na Pustkowie Piktów to monstrum miało ofiar do woli. Niech się nimi napasie, a tymczasem on i jego zastęp wyrwą się stąd i podążą w dalszą drogę na południe. Ani Scyra, ani Lysenius nie mają tu nic do gadania!

Posągowi widocznie bardziej zależało na wydostaniu się z groty niż na szukaniu ofiar.

Jeden z Bamula próbował dać nura obok niego i nieopatrznie znalazł się w zasięgu kamiennego ramienia. Wielka dłoń zamknęła się na włosach śmiałka, ale nie zadała sobie trudu, by go przyciągnąć bliżej. Drugie ramię figury pozostało tym razem nieruchome.

Bamula zaklął, chwycił się za włosy, szarpnął i w końcu oswobodził się. Tyle że oskalpowany.

Vuona przebiegła bezpiecznie obok posągu. Potem w jej ślady poszli trzej następni Bamula.

W końcu na wprost kamiennej figury pozostał tylko Conan. Była tak blisko, że mógłby ją dźgnąć sztyletem. Ale nie zrobił tego, tylko sprężył się i jak pantera przeskoczył na drugą stronę.

Wylądował na rękach, przekoziołkował i natychmiast z obu nóg kopnął posąg z tyłu pod kolanami. Figura zadrżała, Cymmerianin poczuł ból w stopach i przez jego ciało aż po czubek głowy przebiegł wstrząs. Przeturlał się po ziemi, wstał i poruszył stopami. Najpierw jedną, potem drugą; wszystko było w porządku.

Poza kilkoma siniakami, nic mu się nie stało. Posągowi też nie. Wciąż nienaruszony i niepokonany,

maszerował nieugięcie po trupach Piktów, roztrącając niewysoką barykadę, którą Bamula ułożyli z ciał wrogów. Conan był ciekaw, czy wyciśnie z nich krew, kości i mięso. Ale kamienny olbrzym tylko odsuwał je na bok lub miażdżył swym ciężarem.

— Chyba są dla niego za mało świeże — orzekł Govindue. Conan drgnął na dźwięk ludzkiego głosu. Uświadomił sobie, że nikt nie wymówił słowa od czasu, gdy wykrzyknął ostrzeżenia dla martwego już teraz Bamula.

— Bądźcie gotowi — powiedział Cymmerianin. — Wymykamy się stąd, jak tylko ta głupawa kukiełka czarownika natknie się na Piktów. Kiedy zaczną z nią walczyć, musimy to wykorzystać, gdyż taka szansa już się nie powtórzy.

Żaden z Bamula nie wydawał się podzielać jego zdania, że to najlepsza szansa i Conan nie zamierzał się z nimi spierać. Ale sądząc po wrażeniu, jakie posąg zrobił na nim i jego ludziach, Piktowie musieliby oszaleć ze strachu. Trzeba było nie lada ducha do walki, by nocą stawić czoło zdesperowanemu wrogowi, a Conan wiedział, że on i jego ludzie będą zdesperowani do ostateczności.

Zgrzytanie i skrzypienie kroków posągu cichło z wolna, gdy wspinał się na głązy. Wyszedł już prawie poza krąg poświaty groty, ale Conan przysięgłby, że teraz zaczyna świecić własnym blaskiem. Wkrótce znajdzie się na otwartej przestrzeni i ukaże się oczom Piktów.

— Biegnijcie, jak potraficie najszybciej. Nie zostawimy tu nikogo żywego, ale też nie będziemy czekać na maruderów.

Nawet kulejący Bamula wytrzymał spojrzenie Conana i skinął głową. Na Croma, to było doborowe towarzystwo do stoczenia ostatniej bitwy! Gdyby Cymmerianin miał dwadzieścia tysięcy takich ludzi, a nie dwudziestu, byłby gotów oczyścić całe Pustkowie z Piktów i oddać je w darze Bossończykom.

Lysenius nie potrafiłby opisać w żadnym znanym człowiekowi języku, skąd wiedział, że posąg ożył i wymknął się spod kontroli. Być może nie było sposobu, by kierować nim tylko z tego obozu, oddalonego od groty o pół dnia marszu.

Jeśli tak, to zagrażał nie tylko Piktom, a jeżeli nawet tylko im, to Scyra wcale nie była bezpieczniejsza, dopóki chakan Vurag Yana przetrzymywał ją w obozie Sów...

Czas ruszać tam, gdzie jest potrzebny. Jeszcze nigdy nie rzucił zaklęcia władającego przejściem między światami niemal bez żadnych przygotowań, za to w obecności tylu świadków. Ale też nigdy nie próbował przenieść siebie ani niczego innego na tak małą odległość.

Istniały dwa niebezpieczeństwa: mógł zostać przyłapany w chwili rzucania zaklęcia lub któryś z

pilnujących go Piktów mógł podążyć za nim przejściem między światami. W

pierwszym przypadku byłby bezbronny; pozostałoby mu tylko mieć nadzieję i modlić się.

Co do drugiego — bardzo wątpił, by posąg uśmiercił Conana, lub któregoś z jego Bamula, dopóki Cymmerianin nimi dowodził. Lyseniusowi przyszło nagle do głowy, że gdyby

zamierzał wydać córkę za wielkiego wodza, to Conan górował nad każdym Piktem — i to nie tylko posturą. Jeśli Cymmerianin i jego ludzie nadał żyli i byli zdolni do walki, żaden Pikt, który podążyłby za Lyseniusem przejściem między światami nie pożyłby długo po dotarciu do kresu podróży u wejścia do groty.

Lysenius przyjął pozę stosowną do medytacji, co nie wzbudziło podejrzeń Piktów.

Popatrzyli na niego obojętnie i powrócili do swej gry hazardowej. Jeden z graczy na chwilę wyszedł z kręgu i przyniósł kilka tykw piwa. Kwaśny odór napoju omal nie przyprawił

Lysenusa o wymioty.

W jego głowie wirowały imiona rzadko przywoływanych bogów, zakazane od czasu

upadku Cesarstwa Acheronńskiego. Ale nie wymówił ich głośno. Tylko jego oczy ujrzały, że świat wokół nabiera złocistej barwy. Nagle złocista spirala stała się tak nieprzenikniona, że nikt nie mógł dostrzec w niej Lysenusa.

Jeden z Piktów rzucił się opętączo na złocistą ścianę, a jego towarzysze cisnęli w nią włócznie, wydobyli strzały i napięli łuki. Pierwszy Pikt rozpląnął się w powietrzu ze zdławionym wrzaskiem. Gdy echo jego krzyku zamarło, nad polaną przetoczył się grzmot.

Płomienie ogniska zatańczyły, liście na drzewach zadrżały i namiot maga zawalił się.

Po chwili polaną znów spowiała ciemność i zaległa cisza. Piktowie stali półkolem z rozdziawionymi ustami i gapili się na miejsce, gdzie dopiero co siedział Lysenius.

W czeluściach groty huk grzmotu był ogłuszający. Conan słyszał, jak Bamula krzyczą z bólu, hałas bowiem poraził im uszy. Otworzył usta, żeby osłabić ten skutek. Trudno było określić, skąd nadciągnął grzmot. W pierwszej chwili Conan obawiał się, że posag napotkał

na swej drodze magię Lysenusa lub czary Piktów i został zniszczony. Akurat w chwili, gdy przestał zagrazać Bamula i był im potrzebny!

Kiedy echo grzmotu zamierało, rozległ się piktyjski okrzyk wojenny, ciężkie kroki i brzęk metalu uderzającego o kamień. Odgłosy dobiegły z głębi jaskini! Od strony komnaty, gdzie wcześniej stał posąg! Conan wyszarpnął miecz z pochwy i pobiegł w tamtym kierunku.

Spodziewał się całej hordy Piktów nasłanych przez Lysenusa, by zaskoczyli jego zastęp z tyłu. Zamiast tego zobaczył tylko jednego Pikta i... najmniej oczekiwanego gościa. Lysenusa we własnej



osobie! Obaj przybysze toczyli ze sobą zacieklą walkę. Pikt dobył zardzewiałego sztyletu i właśnie zamierzał dźgnąć Lyseniusa pod żebra, gdy Conan powalił go na ziemię.

— Możesz schować ten miecz — odezwał się czarownik. Powiedział to z największą

godnością, na jaką może się zdobyć człowiek w takich okolicznościach. Spojrzał na konającego Pikta i otarł krew z górnej wargi. — Zdaje mi się, że tylko jeden z nich przybył tu za mną przez...

— Mogę schować ten miecz w twoim ciele — warknął wściekle Conan. — Chyba że

szybko zaczniesz mówić. Co tu robisz? Czy zdrada twojej córki nie...?

— Co?! Zdrada Scyry?!

Zdumienie w głosie maga musiało być prawdziwe, albo tak dobrze opanował aktorskie rzemiosło. Conan nie schował miecza, ale cofnął się o krok, by pokazać czarownikowi, że na razie nie użyje broni.

— W porządku. Zatem, jeśli jest coś, o czym powinienem wiedzieć, to lepiej zaraz mi to powiedz. Ten przekłety posąg wyszedł z groty i będzie wśród Piktów...

— O bogowie! Tego się obawiałem! On się nie zatrzyma, dopóki Scyra nie będzie martwa lub Piktowie, którzy ją przetrzymują, nie uciekną tak daleko, byśmy nie mogli ich doścignąć.

— Na Croma! Wysłucham cię, o ile będziesz gadał do rzeczy! Jeżeli zamierzasz pleść bzdury...

— Proszę, pozwól mi mówić.

Cymmerianin ustąpił, widząc, z jakim wysiłkiem czarownik próbuje się uspokoić, ale nie zamierzał zbyt długo czekać na wyjaśnienia. Nie przepadał za czarownikami. Rzadko też żywił przyjazne uczucia wobec tych, co nie potrafili w potrzebie stanąć zbrojnie u jego boku.

Lecz dzisiejszej nocy broń mogła nie wystarczyć. Jeśli Lysenius zmienił front...

Wyglądało na to, że tak. A przynajmniej zrezygnował z poświęcenia córki dla zemsty. Ale trudno było mieć pewność, a jeszcze trudniej zrozumieć, czego właściwie oczekuje od Conana.

Cymmerianina coraz bardziej świerzbiły ręce, by wbić w Lyseniusa miecz tak głęboko, aż rękojeść zazgrzyta o żebra, a ostrze wyjdzie plecami.

Powstrzymał się jednak. Żadna kobieta nie zasługiwała na to, by skończyć jako piktyjska niewolnica lub krwawa ofiara. Nawet taka, która go zdradziła. A po dziesięciokroć mniej taka, która tego nie zrobiła. Co więcej, Conan wiedział, jakie szansę na wydostanie się stąd ma jego zastęp, jeśli pomoc posągu nie wystarczy. Mniej więcej żadne.

Lysenius raczej nie mógł im już bardziej zaszkodzić, za to mógł pomóc.

— Przekonałeś mnie — oświadczył Cymmerianin. — Aleja i moi ludzie będziemy mieć

oczy dookoła głowy. Rzucisz na nas jeden grom, czy co tam masz w zwyczaju rzucać, a nie pożyczysz tak długo, by zdążyć rzucić następny.

— Całkiem słusznie — przyznał Lysenius bezbarwnym głosem. Conan zastanawiał się, czy hańba nie pozbawiła czarownika resztek oleju w głowie, których jeszcze nie odebrało mu uprawianie magii. Z czarownikami lepiej było uważać, nawet jeśli podawali się za przyjaciół.

— Zatem, niech tak będzie — powiedział. — Rób, co uważasz za najlepsze, a ja

wyczołgam się stąd i zobaczę, co wyprawia nasz kamiennogłowy przyjaciel. I niech cię nie zdziwi nic, co będziemy robić ja i moi ludzie.

Lysenius uśmiechnął się lodowato. — I wzajemnie.

Kiedy Scyra odzyskała przytomność, zobaczyła pochylającego się nad nią Sutharo. Jego twarz wyrażała zmęczenie bitwą, ale żadnej troski o nią. Był piktyjskim wodzem pośród swych wojowników i los kobiety nie mógł zaprzętać jego myśli.

Nie powiedział ani słowa o tym, co się stało, ale Scyra zaczęła nasłuchiwać, o czym rozprawiają wszyscy wokół. Jedynie chakany milczały, bo nie umiary mówić po ludzku. Ich mowę rozumiał tylko szaman.

Wyglądało na to, że jej ojciec będzie zdany na łaskę Piktów tak długo, jak ona będzie ich zakładniczką. Musiała zatem przestać nią być; obojętne, czy ucieknie, czy zginie. Każdy sposób był dobry, by odebrać Piktom władzę nad Lyseniusem.

Zanim jednak ucieknie lub zginie, postanowiła przysiąc coś przed wszystkimi bogami, którzy zechcą jej wysłuchać: Sutharo nie dożyje następnego wschodu słońca.

Zastanawiające, jak lekko zrobiło się jej na duszy po złożeniu tej przysięgi. Mimo iż wciąż była przywiązana do lektyki, spokojnie zapadła w sen.

Gdy się obudziła, wokół panowała ciemność. Zaczęła nasłuchiwać. Docierały do niej okrzyki Piktów, pełne raczej trwogi niż bojowego animuszu. W pierwszej chwili pomyślała, że wróciły Węże i to w takiej sile, że zdławiły wszelki opór Sów. Na myśl, że zginie niczym łosoś uderzony łbem o płaski kamień zrobiło się jej niedobrze.

Zaczęła się szarpać, nie zauważona przez strażę ani chakany. Tych drugich nie było w zasięgu wzroku, choć w ciemnym lesie mogły się kryć inne niebezpieczeństwa. Rozluźniła więzy na jednej ręce i jednej nodze i udało jej się spojrzeć w stronę wzgórza.

W wejściu do groty jarzyła się teraz niebieska poświata, a na jej tle wznosił się wysoki, ciemny kształt. Najpierw pomyślała, że to Conan, ale postać poruszała się zbyt wolno i sztywno jak na człowieka. To posąg kroczył naprzód, ożywiony w niewiadomy sposób, może nawet siłą własnej woli i bez czyjejkolwiek kontroli!

Noc wydała się jej nagle ciemniejsza i zimniejsza niż przedtem. Zdało się jej, że drzewa nad głową

za chwilę ożyją, wyciągną gałęzie w dół jak szpony, porwą ją z lektyki, uniosą wysoko i rozedrą niczym szmacianą lalkę, która trafiła w ręce niegrzecznego dziecka...

Scyra zagryzła wargi, żeby nie krzyknąć z rozpacz. Zaczęła gorączkowo szukać w myślach jakichś zaklęć, które mogłaby rzucić bez pomocy Kryształ z Thraz, ziół, specjalnych składników i magicznych szat, a tylko wykorzystując swój umysł i pamięć.

Zanim zdołała znaleźć w głowie coś użytecznego, Piktowie zebrali w sobie tyle odwagi, by zbliżyć się do posągu. A przynajmniej jeden z nich. Scyra widziała obie sylwetki na tle niebieskiej poświaty. Zobaczyła uniesioną włócznię, ale nie mogłaby powiedzieć, czy to wyzwanie, czy pozdrowienie.

Potem figura ruszyła naprzód. Już nie tak wolno i ociężale jak wcześniej, lecz szybko i zwinnie niczym sam Cymmerianin.

Potężne ramię chwyciło koniec włóczni i buchnęła z niego oślepiająca, niebieska kula ognia. Drzewce włóczni stanęło w płomieniach. Piktyjski wojownik zawył i odskoczył do tyłu.

Nie dość daleko. Drugie ramię posągu złapało go za rękę. Pikt znów zawył, tym razem z bólu. Figura poderwała go do góry. Nieszczęśnik szaleńczo machał w powietrzu nogami, a jego postać zaczęła się kurczyć i wyginać. Scyra ze zgrozą patrzyła, jak po chwili z Pikta pozostaje tylko sflaczały, skórzany worek, a jego trup zostaje odrzucony daleko niczym wyspany owoc.

Zgroza zabrzmiała również w okrzykach Piktów. Cofnęli się i zaczęli ciskać włócznie i miotać strzały z odległości, którą bez wątplenia uznali za bezpieczną.

Tam, gdzie groty trafiały w posąg, błyskały niebieskie iskry, a strzały i włócznie zapalały się. Nad kamienną postacią poczęła unosić się chmura smrodliwego dymu.

Jednak figura nie doznała żadnych szkód i ani się nie cofnęła, ani nie poszła naprzód. Nagle uniosła oba ramiona i z jej dłoni trysnęły niebieskie iskry, długie jak błyskawice. Nie wszystkie trafiły w cel; niektóre wypaliły tylko dymiące dziury w zboczu wzgórza.

Inne dosięgły pierzchających Piktów. Gdy wojownicy przystanęli, wokół nich rozjarzył się niebieski blask. Uciekinierom zatrzęsły się nogi i wrzasnęli tak, że ich przerażone głosy dotarły do uszu Scyry mimo trzasku iskier. Wyglądało to tak, jakby każdy z Piktów płonął

żywcem na swoim własnym stosie.

Potem iskry zgasły i pozostał tylko cuchnący dym. I zwęglone coś na ziemi.

Scyra znalazła wreszcie właściwe zaklęcie. Gdyby mogła dotrzeć myślami do umysłu Conana i jeśli Piktowie nie splądrowali jej namiotu...

Jest! Jej myśl przebyła całe mile i pochwyciła Kryształ z Thraz. Teraz musiała postępować wyjątkowo ostrożnie, jak przy odciąganiu jadu ze żmii, by sporządzić pewne napoje wymieniane tylko w zakazanych poza Stygią zwojach (rzadko zresztą spotykanych).

Była tak skoncentrowana na Kryształach, że nie zauważyła ciemnych postaci skradających się w dół zbocza po obu stronach posągu.

Conan po cichu prowadził grupę ratunkową w dół zbocza, choć snopy iskier tryskające z posągu rozświetlały ciemność częściej, niż by sobie życzył. Ale żadne nie poleciały w jego kierunku. Teraz miał tylko nadzieję, że rosnąca potęga posągu przyciągnie całą uwagę Piktów, zamiast zmusić ich do panicznej, bezładnej ucieczki.

Tego się najbardziej obawiał, poza zdradą Lyseniusa. Miał zbyt mało ludzi, by ścigać Scyrę i chakany przez ciemny las, nawet gdyby cały zastęp trzymał się razem. A tymczasem musiał go podzielić; jedna grupa pod jego dowództwem zdążyła na pomoc Scyrze, druga została z tyłu, by bronić Lyseniusa przed Piktami, a wszystkich Bamula przed zdradą Lyseniusa.

Bamula posiadli sztukę tak cichego poruszania się po skalistych zboczach jak po ojczyściej dżungli. Żadne kasznięcie czy potrącony stopą kamyk nie zdradzały obecności grupy ratunkowej na pochyłości wzgórza, choć mogliby sobie pozwolić na mniej ostrożności pośród huku gromów ciskanych przez posąg i wycia Piktów.

Poza kręgiem śmierci wokół figury, dalej znów zalegała ciemność i Conan odzyskał

zdolność ostrego widzenia. Zobaczył postać stojącą obok drzewa, a za nią cienie nie całkiem przypominające ludzi. Czy to nocne zwidy, lub urojenia wywołane działaniem magii, czy rzeczywiście pośród tych cieni leżał jakiś kształt?

Nie obawiał się postaci przy drzewie. Przynajmniej była człowiekiem i sądząc po piórach na głowie — wodzem. Zabicie piktyjskiego wodza, gdy jego zastępy już były w rozsypce za sprawą przerażającej magii, niemal na pewno oznaczało zmuszenie wroga do ucieczki.

Conan skierował swoich Bamula na lewo. Ciągający się tam teren stwarzał lepsze warunki do ukrycia się i podejścia niemal do samego wodza.

Na nieszczęście, wielu Piktów też szukało tam schronienia. Conan znalazł się nagle na wyciągnięcie ręki od przycupniętego wroga. Gdy się wycofywał, zgniótł dłonią gałązkę.

Wśród panującej chwilowo ciszy do uszu Pikta dobiegł jej trzask.

Pikt zerwał się na równe nogi i to samo uczynił Cymmerianin. Jego sztylet zatoczył

zabójczy łuk i utkwiał w piersi wroga. Z ust konającego trysnęła krew i osunął się bez dźwięku na ziemię. Ale Pikt miał obok towarzysza i ten zdążył wrzasnąć, zanim włócznia Bamula uciszyła go na zawsze.

Na zboczu nagle zaroilo się od Piktów, niczym od grzybów po deszczu. Wszyscy zdawali się mieć dość odwagi i broni, by stawić czoło ludzkiemu wrogowi. W dodatku, wszyscy oddzielali Conana od wodza.

Okrzyk wojenny Cymmerianina powstrzymał niektórych, jakby raptem wrosli w ziemię.

Zanim się ocknęli, Conan dostrzegł słabe miejsce w ich szyku. Runął tam, wymachując mieczem i sztyletem, a na ostrzach broni zamigotał złowrogo niebieski blask iskier, które znów sypnęły się z posągu. Barnuła rzucili się za nim i w okamgnieniu znaleźli się u jego boków, dźgając wokół jak szaleńcy stępienymi, unurzanyymi we krwi włóczniami.

Przebłysk odwagi u Piktów trwał krótko. Conan powalił w biegu dwóch samą masą swego ciała. Tratując ich, przebił następnego sztyletem, a dwóch innych usieknął mieczem. Sztylet trafił między żebra, a miecz odrąbał ramię i rozplątał czaszkę. Pikt z odciętą ręką skonał w następnym momencie, gdy nie wiadomo skąd pojawiła się Vuona i roztrzaskała mu głowę ciosem piktyjskiej maczugi.

— A ty co tu robisz? — warknął Conan.

— To moja ostatnia szansa, by zostać wojownikiem.

— Albo czymś innym, kiedy Piktowie nas otoczą, a my będziemy stać i mieć ozorami! —

rzucił wściekle Cymmerianin. Na kobiecie nie wywarło to wrażenia. W chwilę później chmara Piktów ruszyła na nich i mieli pełne ręce roboty.

Jeden Bamula padł. Conan wątpił, by jeszcze mógł się podnieść, gdy rzucił okiem na jego rany. Ale wokół wojownika leżały cztery trupy Piktów, a piąty kuśtykał z przetrąconą nogą.

Miecz Cymmerianina uwolnił go od kalectwa i wszystkich innych ziemskich trosk.

Teraz nic już nie zagrażało Conanowi drogi do wodza. Obaj mężczyźni zdali sobie z tego sprawę w tym samym momencie i Pikt odwrócił się. Conan natychmiast znalazł się za nim.

Pałał nie tylko chęcią uśmiercenia go, lecz okrycia hańbą po wsze czasy w oczach wojowników i bogów, jeśli zada mu cios w plecy.

Wódz znów się odwrócił i dźgnął przed siebie krótkim, gunderlandzkim mieczem.

Cymmerianin musiał być zwinny niczym jeleń, by ująć przed tym ciosem. Ale był za blisko, żeby zamachnąć się mieczem, a sztylet trzymał w drugiej dłoni.

Pięść Conana trafiła wodza w twarz, a siłę uderzenia spotęgowała waga rękojeści miecza.

Głowa Pikta odskoczyła do tyłu. Dźgnął na oślep jeszcze raz. Ostrze zadrasnęło skórę na żebrach Conana i z rany pociekła krew. Cymmerianin natarł na wroga, gdy ten zadawał

trzecie pchnięcie.

Tym razem Conan zrobił obrót ze sztyletem w lewej ręce. Broń zagłębiła się w gardle wodza i trzeci zamach na życie Cymmerianina zakończył się wśród bulgotu krwi.

Gunderlandzki miecz upadł z brzękiem na skały. Pikt dał nura, by go podnieść. Wtedy potężne kopnięcie Conana poderwało jego głowę do góry i rozległ się trzask pękającego kręgosłupa.

Żaden ludzki wróg nie zagrażał już Cymmerianinowi. Na wprost niego stały trzy chakany, broniąc dostępu do lektyki Scyry. Za nim rozbrzmiewały gromy ciskane przez posąg. A w grocie Lysenius kończył swe dzieło.

Nawet chakany mogły stracić odwagę, gdy rozległ się cymmeriański okrzyk wojenny. Na ten dźwięk Bamula, którzy jeszcze trzymali się na nogach w okamgnieniu stanęli u boku swego wodza. Grupa ratunkowa ruszyła naprzód jak zaciśnięta pięść.

Lysenius wiedział, co trzeba zrobić i jak, gdy tylko Scyra zostanie uwolniona z rąk Piktów.

Nie wiedział jedynie, jaką cenę przyjdzie mu za to zapłacić. Nie spodziewał się, że dowie się tego wcześniej niż w chwili zapłaty, co było bardziej powszechną rzeczą przy uprawianiu magii, niż jakikolwiek czarownik byłby gotów przyznać.

Teraz mógł tylko panować nad swoim umysłem, choć obawiał się, że Scyra może już nie żyje, a on o tym nic nie wie. Ale chyba przesłałaby mu ostatnią wiadomość?

Pewnie tak, jeśli wiedziałyby, co jej ojciec zamierza. Jeśli nie, lub gdyby umarła zbyt szybko, by rzucić zaklęcie... A Conan nie miał wewnętrznego głosu, by wiadomość mogła dotrzeć inną drogą...

Lysenius mruknął z niezadowoleniem. Gromy ciskane przez posąg na zboczu wzgórza zdawały się być echem jego pomruku.

Scyra na tyle rozluźniła więzy na obu rękach i jednej nodze, że mogła je teraz uwolnić w każdej chwili. Może nie dość szybko, by zdążyć ująć chakanom, gdyby zorientowały się w porę, ale magia, ciemność i bliskość wrogów powinny tak przytępić zmysły stworów, że nie dostrzegą jej ruchów.

Zacisnęła wolną dłoń na Kryształ z Thraz. Jak dotąd, nikt go nawet nie zauważył, a co dopiero mówić o podejrzeniach, do czego służy. Ale to mogło się zmienić lada moment.

Leżała spokojnie, starając się oddychać jak najciszej i opanować drżenie mięśni. Bała się jak nigdy przedtem, lecz zarazem miała poczucie własnej mocy i ono pozwalało jej tłumić strach.

Między nią a zboczem wzgórza nie było już Piktów, ale nie widziała też posągu. Całą jej uwagę przykuwała gigantyczna ludzka postać, która parła naprzód, uśmierciła Sutharo (Scyra nie śmiała przeklinać Conana za to, że pozbawił ją tej przyjemności) i zbliżała się ku niej.

Dwa chakany schyliły się, by unieść lektykę. Scyra przygotowała się do wyszarpięcia rąk i stopy z więzów i walki z pomocą kryształu, gdy nagle stwory zatrzymały się. Zdawały się nasłuchiwać.

Potem ruszyły na Conana. Trzeci chakan pochylił się i rozerwał pęta na nadgarstkach i kostkach Scyry niczym pajęczą sieć. Poczwała jednocześnie nadzieję i strach, kiedy zrozumiała. Vurag Yan rozkazał dwóm chakanom stanąć do walki, a trzeciemu uprowadzić ją. Gdyby uderzyła w bestie, gdy ich umysły połączone są z umysłem szamana...

Ta myśl dodała jej sił. Przeturlała się w stronę chakana i trzasnęła dłonią uzbrojoną w kryształ w owłosione ramię stwora. W tym samym momencie zebrała w sobie całą siłę woli, o jakiej kiedykolwiek marzyła, by przekazać proste polecenie do umysłu chakana.

GIŃ!

Bestia zawyla i wyprostowała się. Wyrzuciła do góry przednie łapy i odrzuciła łeb do tyłu.

Nie przestając wyc, utkwila niewidzące ślepa w gwiazdach. Z jej pyska, oczodołów i uszu buchnęła krew. Kończyny chakana zaczęły się trząść.

Sierść stwora zatliła się, a z jego ciała i łap poszedł smrodliwy dym. Bestia zachwiała się, opadła na przednie łapy i rzygnęła krwią. Dym zgęstniał i Scyra zobaczyła, jak sierść wije się i zamienia w popiół unoszony wiatrem, który zdawał się wiać z wnętrza chakana. Odór był

tak silny, że musiała się odwrócić. Zakrztusiła się i omal sama nie zwymiotowała.

Stwór wydał z siebie ostatni bulgot, opadł na pysk i znieruchomiał. Jego zwłoki wciąż dymiły, gdy Conan przyklęknął przy lektyce i postawił Scyrę na nogach. Oparła głowę na jego masywnej piersi, napawając się wolnością. Uważała jednak, by trzymać dłoń z kryształem z dala od Cymmerianina.

Kiedy cofnęła się, zobaczyła dwa martwe chakany przeszyte strzałami i włóczniami. Obok nich leżał jeden Bamula z głową wykręconą pod nienaturalnym kątem i ramieniem

wyrwanym ze stawu.

— Ja... dziękuję ci.

— Ojcu też podziękuj — doradził Conan.

— Mój...

— Robi jakieś magiczne sztuczki z tym przeklętym posągim. Teraz działa więcej, kiedy już jesteś uwolniona z rąk Piktów. — Conan ujął dłoń Scyry i nagle odskoczył, gdy dotknął

palcami Kryształu z Thraz.

— Wybacz — przeprosiła. — Jest teraz... rozbudzony.

— Do czego jeszcze go używasz, poza rzucaniem złych czarów na chakany?

— Próbowałam rzucić zły czar na ich władcę, ale nie wiem, czy mi się to udało. Nie mam pojęcia, czy moja klątwa dotarła do szamana Vurag Yana poprzez chakana.

Uważając, by tym razem nie dotknąć kryształu, Conan objął ją i posadził sobie na ramieniu.

— Powiesz mi więcej, gdy w zasięgu miecza nie będzie już żadnego Pikta.

— Sam zapytałeś, więc...

— Owszem, choć zawsze mądrzej jest nie pytać wiedźmy, bo człowiekowi może się nie spodobać odpowiedź!



W następnym momencie Cymmerianin pędził w górę zbocza. Bamula, którzy przeżyli, ledwo dyszeli z wysiłku, próbując za nim nadążyć.

Conan niósł Scyrę aż do głazów. Potem postawił ją na ziemi i cofnął się, by kryć tyły. Nie miał trudnego zadania, bo żaden Pikt nie śmiał przemknąć obok posągu i wspiąć się ku jaskini. Kilku odważniejszych łuczników wciąż strzelało, ale nie mogli zagrozić miotającemu iskry monstrum.

Gdy Bamula przybyli na miejsce, odór ich potu mieszał się ze swądem siarki i zwęglonych ciał. Conan właśnie liczył ludzi, kiedy noc rozbrzmiała nowymi okrzykami wojennymi Piktów.

— Czy oni nigdy nie rezygnują? — zapytała Vuona, próbując otoczyć Conana ramieniem.

Cymmerianin zauważył, że drugim ramieniem objęła Govindue, który zresztą nie zaprotestował.

— Niełatwo — odrzekł i delikatnie odsunął jej rękę. — Lepiej nie stójmy tu razem. Nawet strzały mogą znaleźć drogę do tak dużego celu, a oni jeszcze nie opróżnili swoich czarodziejskich kołczanów.

Z tego, co mówiła Scyra, wynikało, że w Piktach nie pozostało wiele mocy magicznej, przynajmniej tej nocy. Ale ich okrzyki brzmiały tak, jakby mieli tylu nowych wojowników, że nie potrzebowali pomocy czarów.

Scyra podeszła bliżej i przysłuchiwała się okrzykom. — To Węże. Wrócili w wielkiej sile.

Ale nie atakują. Chyba... Posłuchajcie!

Conan usłyszał dziwne, nieregularne uderzenia w pięć czy sześć bębnow naraz. Okrzyki ucichły. Słychać było tylko bębny i gromy posągu.

— To wezwanie do rozejmu. Chcą pertraktować — powiedziała Scyra. — Myślę, że Węże zamierzają zaproponować Sowom bezpieczne opuszczenie ich ziemi w zamian za przymierze przeciwko nam.

Conan splunął.

— To na piktyjskie intrygi! Dadzą radę nam i posągowi? Scyra nie odpowiedziała, tylko przysunęła się bliżej Cymmerianina. Jednak w blasku błyskawic wyczytał odpowiedź z jej twarzy.

— Na Croma! Jak następnym razem kobieta przebiegnie przez wrota czarownika, pozwolę mu je za nią zatrzasać! — Zerknął na Scyrę. — Ufam, że twój ojciec zdaje sobie sprawę, iż jest naszą ostatnią nadzieją?

— Zrobi wszystko, na co bogowie mu zezwolą.

— Więc módlmy się, żeby dziś byli wspaniałomyślni. Dla niego i dla nas!

Scyra miała wrażenie, że podczas jej nieobecności Lysenius nie rzucał żadnych czarów z wyjątkiem jednego. Na siebie samego. Nie obchodziły jej jego oczy bez wyrazu i ściągnięte wargi, ale sposób, w jaki się z nią przywitał. Objął ją serdecznie, choć wyczuła chłód jego ciała i drżenie ramion i rąk.

— Mam zamiar uwolnić nas od Piktów — oznajmił. — Z pomocą Kryształu z Thraz...

— Jeśli ma nam pomóc, muszę użyć go sama — przerwała mu Scyra.

— Więc jednak to prawda?

— Kiedy powiedziałam ci o tym po raz pierwszy, to nie była prawda — przyznała się, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy. — Teraz wierzę, że tak jest. Jeśli spróbujesz związać się z nim, możesz zginąć. A z pewnością twoje zaklęcia nie odniosą żadnego skutku.

— Czemu nie jestem zaskoczony, Scyro, że okłamałaś mnie dla mojego własnego dobra?

— zapytał ojciec.

— Może dlatego, że nie zrobiłam tego po raz pierwszy, choć nigdy przedtem nie były to aż tak ważne sprawy — odrzekła Scyra. Podniosła oczy i odczuła wielką ulgę, widząc na twarzy ojca wymuszony uśmiech.

— Skoro nie mogę użyć kryształu, muszę znaleźć inny sposób rozkazywania posągowi. Do tego celu potrzebna mi krew. Co więcej, krew wojownika.

Conan zmarszczył brwi. Mało, że wyglądał groźnie — wyglądał przerażająco! Scyra

położyła dłoń na ramieniu ojca, żeby nie pogarszał sprawy, zzymając się w obecności ponurego, cymmeriańskiego olbrzyma.

— Dlaczego nie zażądasz wprost mojej krwi? — spytał Conan zaskakująco spokojnym

głosem; — Myślałem, że posąg opił się jej już dość.

— Ale nie krwi człowieka bez wewnętrznego głosu — wyjaśnił Lysenius. — Muszę cię prosić i modlić się, byś w odpowiedzi na to nie przelał mojej. Nie doznałbyś żadnej krzywdy, chyba że przez przypadek.

— Wygląda na to, że uprawianie magii to ryzykowny interes. Ale jeszcze nie spotkałem czarownika lub wiedźmy, którzy nie kłamałiby, byle tylko wykaraskać się z tarapatów. Co ty na to, Scyro?

— Nie mam wycucia prawdy.

— Nie o to pytałem. Znasz swego ojca lepiej niż ja.

— Właśnie, Scyro. Mów śmiało.

— Na twoim miejscu, Conanie, dałabym krew.

Cymmerianin skinął głową. Scyra wiedziała, że ten prosty gest jest wart tyle, co u innego człowieka uroczysta przysięga. — Ile tej krwi? — zapytał.

Lysenius wyciągnął mały, srebrny sztylet. — Tylko tyle, by pokryła ostrze tego nożyka. Ale cięcie musi być świeże.

— Tnij, Scyro — powiedział Conan. — Byle szybko. Piktowie mogą mleć ozorami całą noc, ale mogą też zaatakować, zanim skończymy z tymi czarami.

Scyra dobyte własny sztylet, sprawdziła ostrze na kciuku, po czym lekko nacięła ramię Conana od góry do dołu. Omijała przy tym siniaki, już zasklepione drobne rany i tuzin starych blizn. Zdała sobie sprawę, że ten mężczyzna widział w życiu tyle bitew i potyczek, że starczyłoby dla dwóch innych, dwakroć starszych od niego.

Z ramienia pociekła krew. Miała zwyczajny, czerwony kolor. Nie wiedzieć czemu, Scyra spodziewała się, że będzie zielona albo, musująca, jak niektóre nemediańskie wina. W

każdym razie, nie ludzka.

Zamiast oddawać krew potrzebną do sztuczek czarownika i ryzykować walkę z Piktami, Conan wolałby teraz żłopać najcieńsze wino w najpodlejszej karczmie Aghrapuru. Nie mając jednak wyboru, podobnie jak jego ludzie, przystał na to, by pomóc czarownikowi. Tej nocy zginęli już trzej Bamula. Gdyby Sowy sprzymierzyły się z Wężami przeciwko nim, miałby szczęście, jeśli uszedłby stąd mając jeszcze trzech żywych.

Krew, cienko pokrywająca ostrze sztyletu, nie była wielką stratą. Stracił jej więcej za młodu, gdy zaczynała mu kiełkować broda i jeszcze nie opanował sztuki golenia się.

Tyle że podawanie niektórym czarownikom prawdziwego imienia, lub oddawanie części siebie, dawało im absolutną władzę nad człowiekiem. Lysenius mógł nie zdobyć tej władzy, a jeśli nawet, to nie wykorzystać jej, ale... kto to wie?

Conan wiedział jedno. Mógł ukatrupić czarownika wraz z córką, zanim zdążą unicestwić jego lub Bamula. Jeśli śmierć za sprawą magii miałaby być gorsza niż śmierć z rąk Piktów, to wybrałby tę drugą.

Odgłos piktyjskich bębnow dotarł do groty. Zjawił się Bowenu, by zameldować, że

Piktowie ani nie ruszyli naprzód, ani się nie wycofali i jest ich wielka siła u stóp wzgórza i w lesie.

— Wspaniale — orzekł Lysenius. — Im więcej ich pod ręką, tym mniej będzie was później ścigać.

Bowenu spojrział na czarownika, potem na Conana, wreszcie pokazał Cymmerianinowi i Bamula, że

bez wątpienia mają do czynienia z wariatem. Conan wzruszył ramionami i lekceważąco machnął ręką w stronę swoich ludzi. Nie wyglądało na to, by jego gest podniósł

Bowenu na duchu.

Scyra z trudem stłumiła uśmiech. Conan zerknął na nią spode łba.

— I co cię tak cieszy, kobieto?

— Właśnie, Scyro, doprawdy... — podchwycił Lysenius z wyrzutem. — Trochę godności.

Jesteśmy to winni tym, którzy wkrótce zginą.

Conan wolał nie pytać, kogo ma na myśli. Niedługo sam miał się o tym przekonać.

Ale nie umiał beczynnie siedzieć i czekać, aż para czarowników, mieniących się jego przyjaciółmi, zakończy bitwę. Sam chciał mieć udział w zwycięstwie i piktyjską krew na ostrzu miecza, zamiast swojej na sztylcie maga.

Lecz własne pragnienia dowódcy muszą ustąpić miejsca potrzebom jego ludzi. Tego

nauczył się w twardej szkole życia na polu bitwy, jak również od mądrzejszych od siebie —

choćby od Belit. Musiał spokojnie siedzieć i czekać, choć bynajmniej nie sprawiało mu to przyjemności.

Przez dłuższą chwilę nie działo się nic — ani naturalnego, ani magicznego. Tylko bębny Piktów słyhać było coraz głośniejsze. Conanowi niezbyt się to podobało; nie brzmiały już jak wezwanie do rozejmu, lecz raczej do szturm.

Na zboczu wciąż strzelały pioruny i błyskały magiczne ognie, ale posąg nie wydawał się panować niepodzielnie nad sytuacją. Dość Piktów zdołało przebiec obok niego i...

Powietrze w grocie nabrało znajomej, złocistej barwy i zaczęło wirować, posuwając się ku wyjściu, jakby wysysał je na zewnątrz jakiś olbrzym. Conan dał się pociągnąć złocistemu wirowi; nie miał wyboru. Wobec siły wichru był słaby jak dziecko.

Zaparł się o głaz i przez moment bał się, że wiatr uniesie go i ciśnie na zbocze wzgórza.

Usiadł i przywarł plecami do skały. Bamula przebiegali obok, zmagając się z wichurą. Łapał

jednego po drugim za kostki lub nadgarstki i przyciągał za kamienną osłonę. Natychmiast szukali sobie bezpiecznego zagłębienia lub skalnego występu, którego mogliby się uchwycić.

Conan nie miał odwagi wychylić się i spojrzeć, co dzieje się poza głazami. Widział tylko, że złocisty blask wchłonał niebieskie, magiczne światło i przyćmił nawet oślepiające błyski piorunów posągu. Całe wejście do jaskini przypominało teraz wrota gigantycznej kuźni buchającej złotym ogniem.

Wszyscy w grocie usłyszeli, kiedy złocisty wiatr dosięgnął Piktów. Nikt nie wyobrażał

sobie, że takie ryki mogą się wyrwać z ludzkich gardeł, nawet piktyjskich. A tutaj wrzeszczały jednocześnie całe ich setki.

Conanowi zdawało się, że wichur wyrywa wojownikom kończynę za kończyną, wypruwa im trzewia lub miażdży ich powoli i z rozmysłem. Ale gdyby ich miażdżył, nie byłiby w stanie tak wrzeszczeć.

Conan nigdy potem nie mógł powiedzieć, jak długo trwały krzyki. Z czasem złocisty wiatr ustał i wejście do groty pograżyło się w ciemności czarniejszej niż przedtem. Posąg zamilkł.

Ostrożnie jak kot przemykający pod nosem wściekłych psów, Cymmerianin przekradł się za głazy i na zbocze.

Noc dobiegała końca. Kiedy Conan odzyskał ostrość widzenia w mroku, nie dojrzał na wzgórzu ani jednego żywego Pikta. Ofiary posągu wciąż tam leżały, ale pozostał z nich tylko wystygły popiół. Rozrzucona broń wskazywała, gdzie byli żywi Piktowie, zanim uciekli.

A raczej zniknęli, podobnie jak kawał lasu u stóp wzgórza. Ziemia była zryta, jakby zorał

ją gigantyczny pług. Conan dostrzegł w niej wielkie dziury; stuletnie drzewa, które z trudem opasałoby ramionami dwóch mężczyzn, zostały wyrwane niczym marchewki z grządki.

Jeśli jakieś Sowy lub Węże przeżyły, to teraz albo jeszcze uciekały, albo czekały na skraju nietkniętej części lasu, o ile miały tyle odwagi. Conan bardzo w to wątpił. On nie zostałby w tej koszarnej okolicy za bogactwa żadnego królestwa. Ale gdyby nawet Piktowie czaili się tam, ich strzały nie doleciałyby do jaskini. Posąg ciągle stał i choć wyglądał, jakby uszło z niego życie, tylko wyjątkowo zuchwały Pikt mógłby się odważyć podejść do niego tej nocy.

Conan zostawił Govindue na straży, a sam wrócił do jaskini. Dawno nie widział Lyseniusa ani Scyry. Już nie obawiał się ich zdrady. Natomiast obawiał się, że może nie żyją i nie będzie miał okazji im podziękować. On i jego Bamula zawdzięczali Lyseniusowi to, że zapewne zobaczą następny wschód słońca.

Lysenius znów zakasłał. Scyra zwilżyła czystą szmatkę w resztkę wody i otarła świeżą krew z jego warg.

— To... na nic... Scyro... Za dużo wymagałem od mojego starego ciała...

— Nie jesteś stary, ojciec.

— Za późno... na kłamstwa — wysapał Lysenius. Odwrócił wzrok i Scyra zobaczyła cień na podłodze groty. Conan podszedł do niej i przyklęknął.

— Dziękujemy ci, Lyseniusie. Co zrobiłeś z Piktami?

— Och... Zabrałem ich przejściem... między światami. Miało większą moc niż

kiedykolwiek przedtem. Wszyscy stąd... zniknęli.

— Nie wolno ci mówić, ojczy. Męczysz się.

— Pewnie masz... rację. Bądź w życiu mądrzejsza... niż byłem ja.

Conan i Scyra czekali, co jeszcze powie Lysenius, ale to były jego ostatnie słowa. Po chwili Scyra zamknęła mu powieki i skrzyżowała jego ręce na piersi. Miał straszliwie spalone palce

— jego pierścienie stopiły się od magicznego żaru.

— Scyro, zabierz, co ci jest potrzebne i przygotuj się do drogi. Możemy odśpiewać pieśń za twego ojca, lub odprawić wszelkie inne wymagane rytuały, kiedy będziemy daleko od Piktów.

— Oni tu prędko nie wrócą, Conanie. — Scyra wstała i przywarła do niego. Objął ją delikatnie i przytulił. Bardzo tego potrzebowała.

— Ale wrócą — ciągnęła, jakby bardziej sama do siebie, wtulona w pierś Cymmerianina.

— Nie wydostaniecie się z Pustkowiecia na własnych nogach. Nie z Vuoną i rannymi.

— Może nie, ale im szybciej wyruszymy, tym większe mamy szansę. Chodź, Scyro. Nie chcę, żeby śmierć twego ojca poszła na marne.

— Ani ja. Ale wiem lepiej, jak tego uniknąć. — Poczwała, jak Conan sztywnieje. — Nawet teraz nie ufasz czarownicom? — spytała.

— To była ciężka noc, kobieto. Cokolwiek chcesz powiedzieć, mów szybko.

— Umiem władać przejściem między światami. Z pomocą Kryształu z Thraz mogę was odesłać z powrotem do Czarnych Królestw. Nie będziecie musieli zrobić nawet kroku.

— Piktowie też nie musieli i gdzie teraz są?

— Rozrzućni po świecie. Tak daleko, że nie zobaczą więcej swojej ziemi. Tego chciał mój ojciec. Ja wyślę was bezpiecznie do domu!

— Czarne Królestwa... Hmm... Nieważne. Muszę zapytać moich Bamula. Mają więcej do stracenia niż ja.

— Zapytaj ich, a ja się przygotowuję.

Conan nigdy potem nie miał pewności, czy Bamula w końcu zaufali Scyrze, czy tylko tak bardzo pragnęli zniknąć wreszcie z Pustkowiecia Piktów, że gotowi byli dosięść choćby księżycowych

smoków, byle się stąd wydostać. W każdym razie, żaden z nich, nawet Kubwande, nie protestował zbyt gorąco przeciw ponownemu przejściu przez wrota demonów.

— Pamiętajcie. Trzymajcie się mnie i nie myślcie o niczym — upomniał ich Conan. —

Scyra mówi, że może nas wysłać w każde miejsce, które ktoś z nas sobie wyobrazi. Ja mam zamiar wyobrazić sobie brzeg Afui...

— Oby to na pewno był brzeg — zauważył Bowenu. — Nie mam życzenia pływać pośród krokodyli.

— A ja nie mam życzenia się powtarzać — odparł Conan. — Trzymaj język za zębami.

Wyobrażę sobie brzeg Afui i przejście między światami powinno nas tam zabrać. Jeśli ktoś wyobrazi sobie inne miejsce, może się tam znaleźć sam. Albo dotrzeć donikąd lub... zabić nas wszystkich. Dlatego nie myślcie o niczym, nawet o piwie, które będziecie żłopać po powrocie. Wtedy może...

Powietrze wypełnił ostry zgrzyt, jakby skała tarła o skałę. Coś pojawiło się w wejściu do jaskini. Potem cień padł na oświetloną niebieskim blaskiem podłogę i oczom wszystkich ukazał się posąg.

— Na Croma!

Kamienny olbrzym szedł wolno jak człowiek pijany, do cna wyczerpany lub śmiertelnie chory. Poczerniał, a miejscami był nawet nadpalony, od mocy, którą z siebie wyzwolił i od wypitej krwi. I miał nową twarz — Conan widział ją, ilekroć spozjrzał w lustro.

Wszyscy jak jeden mąż usunęli się z drogi. Posąg minął ich i poczłapał w głąb grotty. Nie zwrócił na nikogo uwagi, nawet na Scyrę, która podbiegła do Conana. Cymmerianin łypnął na nią z góry. Dopiero w tej chwili zauważył, że ściany jaskini pokrywają teraz stygijskie płaskorzeźby.

— To... to nie moje dzieło — powiedziała Scyra. — Posąg i ty... Twój duch związał cię z...

— Stygijska magia związała mnie z tym kamiennym kłocem?!

— Ten „kamienny kloc” wyobraża potężnego wojownika z zamierzchłych czasów!

Dlaczego nie miałby być związany z duchem potężnego wojownika dnia dzisiejszego?

Conan nie widział powodu, dla którego nie mogłoby tak być i nie podejrzewał Scyry o czcze pochlebstwo. Ale też nie widział powodu, dla którego on i jego ludzie mieliby dłużej czekać na rozpoczęcie podróży, stojąc obok tej wyzwolonej magii. Magii wyzwolonej i najwyraźniej nie całkiem pod rozkazami Scyry.

— Idziesz z nami... — zaczął, ale jej wzrok powiedział mu, że dalsze słowa są zbędne.

— Muszę tu zostać, by rzucić zaklęcie i czuwać nad jego mocą, dopóki bezpiecznie nie przejdziecie.

Gdybym postąpiła inaczej, wszystko mogłoby pójść na opak, jak wtedy, gdy rzucił je mój ojciec.

— Możesz potem do nas dołączyć lub przynajmniej zapewnić sobie bezpieczeństwo?

— Kiedy zabezpieczę tę grotę i ciało mojego ojca, pomyślę o tym.

— Co za uparta kobieta! — Conan chciał powiedzieć to bardziej dosadnie, ale wiedział, że nic jej stąd nie ruszy.

— Chyba się takich nie boisz? Cymmerianin roześmiał się.

— Ma się rozumieć, że nie! Nawet w połowie nie tęskniłbym tak za Belit, gdyby była potulną kurą domową! — Pocałował mocno Scyrę. — Pamiętaj, że zmarnujesz się na tym pustkowiu. Lepiej się stąd wynieś tak szybko, jak tylko będziesz mogła.

— Zrobię to, przysięgam.

Scyra dotrzymała słowa. Wokół nich zawirował złocisty wiatr, grotę zniknęła i zanim ktokolwiek zdążył krzyknąć, pamiętając o Piktach, wszyscy znaleźli się na brzegu rzeki, skąd wyruszyli. Grzmot zamilkł w oddali, oszołomienie minęło i towarzysze Conana zaczęli rozglądać się wokół siebie, czy nikogo nie brakuje.

Nie brakowało nikogo oprócz Kubwande. Zastęp zaczął przeszukiwać brzeg w dół i w górę rzeki, aż zjawili się wieśniacy i omal nie uciekli zaraz z powrotem. Myśleli, że widzą duchy.

Wojownicy Conana udowodnili im, że są ludźmi z krwi i kości, po czym zagonili ich do poszukiwań.

Trwały one do zachodu słońca. Potem wieśniacy zabrali ich do wioski, nakarmili owsianką, pieczonymi bulwami ignamu i napoili piwem. Nie prosili o zapłatę i nie dostali jej; zastęp przysiągł sobie, że będą milczeli o swoich skarbach, dopóki nie zblizną się do domu.

Wtedy Bowenu podszedł do Conana, by mu coś wyznać.

— Widzi mi się, że Kubwande wołał wrócić do wodzów Bamula przed nami. Powiedział mi, że wyobrazi sobie siedzibę ich Rady Starszych.

Conan zaklął.

— A to głupiec! Przecież Scyra mówiła mi, a ja powtórzyłem wam, że...

— Ba! Ale Kubwande zawsze uważał, że jest mądrzejszy od innych. Chciał, żebym się do niego przyłączył i stanął w rządzie przede mną. Ale w ostatniej chwili dałem krok do przodu i on został na końcu. Dokądkolwiek się udał, poszedł tam sam.

Bowenu dolał sobie piwa i odszedł. Po chwili Vuona podniosła się z wdziękiem i poszła za nim. Govindue popatrzył za nią.



— Chyba jednak nie trzeba mi takiej żony — stwierdził.

— Chyba nie — przyznał Conan. — Ale chyba tobie też trzeba więcej piwa.

Govindue wypił, lecz jego młode oczy miały spojrzenie starego człowieka.

— Sądzisz, że jeszcze zobaczymy Kubwande?

— Nie. Ani Scyry. Niech to gromy biją! Niewiele czarownic ma tyle uczciwości, by płacić za swoje błędy, a to akurat musiała być ona!

Choć zapewne śmierć jej ojca była ceną nie do pozazdroszczenia, Conan rzadko widywał

ludzi tak spokojnie przyjmujących wyroki losu jak Scyra, gdy patrzyła na niego po raz ostatni.

— Uczciwość u kobiet to jak silna wola — orzekł Govindue. Wpatrywał się uroczyście niczym figura w świątyni w dym unoszący się aż pod dach chaty. — Ona pozwala im czynić cuda.

— Jedyne cuda, które mnie teraz obchodzi, to więcej piwa!

— Przyniosę — obiecał Govindue. — Ale nie za darmo — dodał poważnie.

— Co masz na myśli?

— Musisz nam pozwolić nazywać cię imieniem Amra.

Conan zapatrzył się w dym. Belit stawała się z wolna tylko ciepłym, przyjemnym

wspomnieniem. Przestawał odczuwać ból po jej stracie. To imię nie brzmiało już obco, a używanie go ci ludzie poczytywali sobie za zaszczyt.

— Skoro tak chcecie...

Govindue nie tracił czasu. Zerwał się na równe nogi, wyrwał dziewczynie tykwę z piwem i uniósł ją wysoko.

— Słuchajcie mnie, wojownicy, którzy poszliście za Conanem! Dziś w nocy i już zawsze będziemy zwać go Amrą! Ohbe Amra!

— Ohbe Amra! — Wojownicy zaintonowali pieśń i w ślad za nimi poszli wieśniacy.

Najpierw ci w chacie, później ci na zewnątrz, aż cała dżungla zdawała się nią rozbrzmiewać.

Conan znów wpatrzył się w dym i zobaczył w nim, jak ciemnowłosa kobieta zaprasza do krainy cieni inną, z kasztanowymi włosami. Był ciekaw, co Belit powie Scyrze. Nie żeby kiedykolwiek spodziewał się tego dowiedzieć... Atu marnowało się dobre piwo!

Ohbe.

# EPILOG

Pustkowie Piktów, wiele lat później

W ciszy wysłuchaliśmy opowieści Vasiliosa do samego końca. Słysząc było tylko krople deszczu na zewnątrz. Piktyjskie bębny ucichły. Dobosze zapewne skryli się przed ulewą, choć wolelibyśmy wierzyć, że odeszli.

— Na ile pewne jest, że wojownikiem dowodzącym ludźmi—demonami był Conan? — zapytał ktoś. Myślałem, że to Sarabos, ale Czarny Dragon siedział milczący jak posąg.

Vasilios wzruszył ramionami.

— Moja matka mówiła, że część Piktów, którzy go widzieli, wyszła cało z pogromu wrót demonów. Kilku żyło dość długo, by znów walczyć pod Velitrium. Rozpoznali aquilońskiego generała.

Musiało być ich bardzo niewiele. Pomijając wojny, życie Piktów zawsze było trudne i krótkie. Zwłaszcza od kiedy Aquilonia zaczęła coraz mocniej pchać się przez Pogranicze na Pustkowie. Poza tym, pamięć ludzka lubi płać figle. Obojętne, czy będzie to Hyboryjczyk, Stygijczyk czy Pikt.

Ale opowieść była warta wysłuchania.

Nie tylko tej jednej zresztą wysłuchaliśmy, siedząc w grocie przez dwa dni. Nie mieliśmy wiele do roboty, poza czuwaniem, czy nie nadciąga atak Piktów, który nigdy nie nastąpił i zapuszczaniem się tak daleko w głąb jaskini, na ile pozwalała długość naszej liny i skąpe zapasy pochodni. Tuż za komnatą z posągiem znaleźliśmy wodę, toteż nie mieliśmy potrzeby ani wielkiej ochoty zgłębiać dalszych tajemnic tego, co mogło kryć się we wnętrzu wzgórza.

Bardziej ciekawi byliśmy, kiedy nadejdzie pomoc. Bez wątpienia nasza kompania posłała po posiłki, gdy nie powrócił zastęp, który wyruszył po wodę. Modliliśmy się, by nie próbowali ratować nas sami i nie wpadli w ręce Piktów.

Było dobrze po południu drugiego dnia naszego pobytu w grocie, gdy znów usłyszeliśmy piktyjskie bębny. Potem zamilkły, za to w lesie ozwały się ptaki i zwierzęta. To wojownicy podawali rozkazy od czoła po tyły. Warty doniosły, że widać Piktów pomiędzy drzewami.

(Jeśli historia była prawdziwa, to las musiał odrosnąć szybko i gęsto na tej połaci zrównanej z ziemią za sprawą niszczycielskiej magii.)

Zachowanie Piktów mogło zwiastować natarcie i oznaczać, że niestraszne im tabu. Lecz ci z naszych, którzy mieli większe doświadczenie w walkach na Pustkowie, orzekli, iż wygląda na to, że Piktowie zwołują ludzi do wymarszu. W rzeczy samej, wszelkie odgłosy wkrótce zamilkły w oddali. A gdy zaległa cisza, warty doniosły, że Piktowie zniknęli.

Wyszedłem właśnie, by osobiście to sprawdzić, kiedy cisza rozbrzmiała dźwiękiem

bossońskich rogów wojennych. Zdawało się być ich po trzykroć więcej i zbliżały się z każdym zadęciem. Potem spośród drzew wypadło ponad pół tuzina zwiadowców w zielonych tunikach i spodniach. Gnali ku nam, w górę zbocza.

Byliśmy ocaleni. Licząc naszą kompanię i przybyłe posiłki; szło po nas trzystu ludzi.

Takich sił Piktowie rzadko mogli się spodziewać o tej porze roku. Wiedzieliśmy, że będziemy musieli ruszać stąd szybko i nie starczy czasu na dokładniejsze zbadanie groty, bez względu na to, jak wiele pochodni przyniosą ze sobą nasi wybawcy. Ale mała to była strata.

Niemalą natomiast pozostawała tajemnica, w jaki sposób komendant Fortu Nyaro, który wysłał posiłki dowiedział się, że potrzebujemy pomocy. Wszyscy zwiadowcy, sierżanci i kapitanowie mówili to samo: do fortu przybył posłaniec z meldunkiem, że jesteśmy oblężeni przez Piktów. Przy czym tak dokładnie opisał, gdzie' jesteśmy, że znalazłoby nas dziecko.

Nikt jednak nie widział na własne oczy owego posłańca. Kilku ludzi powiedziało

wprawdzie, że zauważyli kogoś, kto mógł być nim, lecz każdy opisał go całkiem inaczej. Za to wszyscy zgodnie utrzymywali, że meldunek dostarczono już pierwszej deszczowej nocy, ledwo odkryliśmy grootę!

Ptak nie przeleciałby przez taką ulewę. A gdyby nawet — nie doleciałby tak szybko. Nic, co porusza się na własnych nogach, a zwłaszcza człowiek, nie dotarłoby do Fortu Nyaro w godzinę!

Po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, że stawiam więcej pytań, niż dostaję odpowiedzi.

Poczułem się niepewnie; po cóż zatem dłużej pytać? Rozkazałem sierżantom zabrać rannych i resztki zapasów i przygotować ludzi do wymarszu. Sam wróciłem do posągu.

Zastałem tam Sarabosa. Siedział ze skrzyżowanymi nogami i patrzył w przestrzeń.

Stanąłem obok i zanim któryś z nas zdążył wypowiedzieć słowo, dołączył do nas Vasilios.

— Aaa... Dobrze myślałem, że tu was znajdę, panowie dowódcy. Słyszałem o posłańcu, co go nie było.

— Im mniej będziemy o tym rozprawiać, tym lepiej — upomniałem go.

— Tak jest, panie kapitanie. Ale skoro już coś wyszło na jaw, zwykle więcej zachodu z zatajaniem tego niż to warte.

— Ile to zachodu, sam ocenię. Jak znajdę sposób na tych, co rozpuszczają języki —

odparłem zły. Chciałem zostać sam, ale Sarabos uniósł dłoń.

— Niech mówi, co wie.

Nie miałem życzenia spierać się z Czarnym Dragonem w rodzaju Sarabosa.

— Zatem mów, Vasilios. Byle krótko.

— To niezbyt długa historia. Chodzi tylko o to, że nie ja jeden znam ojca kapitana Sarabosa. Inni też pewnie wiedzą, kim jest, toteż nie chciałem rozbudzać w nich nadziei.

Niezbyt pewien jestem jednej części mej opowieści.

— Której części? — warknąłem. — Coś pominąłeś?

— W rzeczy samej... Opowieść głosi, że posąg... posąg przybędzie na pomoc wojownikowi, z którym łączą go więzy krwi.

Spojrzałem na kamienną figurę. Nie wyglądało na to, by ruszyła się z miejsca choćby o włos, a co dopiero, żeby całkiem ożyła! A wokół groty nie walały się zwęglone trapy Piktów.

Lecz czy zostałyby jakieś ślady, gdyby tylko wysłała meldunek, że syn Conana, Sarabos, potrzebuje pomocy? To też była pomoc, w każdym sensie tego słowa, w jakim mogliby go użyć bogowie czy ludzie.

— Obstawiam przy swoim — powiedziałem. — Im mniej wokół tego hałasu, tym lepiej.

— To prawda — przyznał Sarabos i wstał. — Kapłani Mitry stają się w ostatnich latach coraz bardziej surowi i zacofani. Nie w smak im magiczne tajemnice. Mogą nam rozkazać obalić posąg lub zabrać go z Pustkowie do jednej z ich świątyń.

Posąg musiał ważyć tyle, co dwa lub trzy konie w bojowym rynsztunku. Pomysł ciągnięcia go przez Pustkowie Piktów był przerażający. Naszły mnie bezbożne myśli, gdy dumałem o kapłanach Mitry. Jednak...

— A co będzie, jeśli Piktowie posiadają sztukę rozkazywania mu? — zapytałem.

— Jeśli jest związany z czyjąś krwią, tylko ta krew nim rządzi. A także krew potomków wywodzących się z mojego... z tego rodu. Włącznie z Conanem Drugim, który dobrze włada tym, co odziedziczył, lecz może potrzebować pomocy, by udźwignąć wszystko na swoich barkach.

W ciemności rozświetlanej tylko kagankiem Sarabosa i moją pochodnią, popatrzyliśmy na siebie, a potem na posąg. Może była to wina chybotliwego światła, ale wydało mi się, że twarz posągu zmieniła wyraz. Wcześniej patrzyła ponuro na świat. Teraz przysiągłbym, że wykrzywił ją uśmiech. A ten uśmiech jakby przypominał inny, jakże często widywany na twarzy nie nazwanego po imieniu ojca Sarabosa.

Miałem dość.

— Powtarzam, zachowajmy w tej sprawie milczenie. To nasza powinność wobec Dynastii Conana.

— Nasz obowiązek — podchwycili inni, a na ich twarzach odmalował się nieprzenikniony wyraz. Odwróciliśmy się i wyszliśmy tunelem w gasnące światło dnia, sączące się do zewnętrznej groty.